NATALIA ROLLECZEK

idylla

CZYTELNIK

CZYTELNIK

Bohdan Czeszko

EDUKACJA
NIESENTYMENTALNA

Czajka (Izabela Stachowicz)

CÓRKA CZAROWNICY
NA HUŚTAWCE

Helena Duninówna

CI, KTÓRYCH ZNAŁAM

Stanisław Dygat

SŁOTNE WIECZORY

Aleksander Jackiewicz

ŚMIERĆ DONŻUANA

NATALIA ROLLECZEK

IDYLLA

opowiadania

75
7to

CZYTELNIK · 1959

Sosny na żywicę

Żywicowy teren ciągnął się wzdłuż toru. Torami przewalały się wojenne transporty. Stalową arterią pędziła krew, tłoczona w pożerający ją organizm. Transporty stawały w żywicowym lesie ze zgrzytem zderzaków i ulgą głębokiego wdechu lokomotywy. Przetrzymywane, czekały godzinami na podniesione ramię semaforu. Marcowy śnieg kładł się na listwach zapartych bydlęcych i żołnierskich wagonów, ofutrzał ustawione w szeregi zabawek auta, pogrubiał stosy sztywnej słomy; podniesione pyski armat warowały na lorach.

W żywicowym lesie cicho i nieprzerwanie powiększał się zastęp drzew z żółtawą klepsydrą zdartego prostokąta kory. W zmierzchu, gdy komin lokomotywy ciskał rojowiskiem iskier, sosny odprowadzały go światłem obnażonych miejsc na mrocznych, wilgotnych pniach.

Bliżej przystanku stoi kilka drewnianych parterowych willi. Jedna z nich ze zbutwiałym gankiem, w opuszczonym ogrodzie, wygląda jak wytrząśnięty i odrzucony ul.

Wieś niknie w wąwozie.

Dwór wiłkowicki skryty w lipcowej bani parku oddycha powietrzem, którego nie skleja zapach żywicy, bo las opada tu zagajnikiem i szerokie pola podpełzają pod dom.

Obszerny powóz zajeżdża pod hall. Pani Maru Łę-

gocka przyjechała... Idąc przez hall zrzuca z siebie okrycie, futro. Jest już w swoim pokoju. Rozbiera się i kładzie do łóżka. Z zamkniętymi oczyma czeka, aż lokaj poda herbatę... Story i obicia na drzwiach sciszają głosy domu i światło z zewnątrz. Zuza śpi w łóżeczku... Spokojna wegetatywność dworu nasyca ciało Maru.

Kroki — i do pokoju wchodzi Łęgocki.

— Jest list od Pruchnickiej do ciebie, Maruniu.

Maru nie odwraca się od ściany: musi przede wszystkim odpocząć, chce mieć spokój, a Karol wie, jak ona nie lubi, gdy jej w tym przeszkadzają.

— Nie mogłabyś, Maruniu, teraz go przeczytać, później zapomnisz.

— Zostaw go.

Łęgocki podchodzi do łóżeczka i bierze rozbudzoną Zuzę na kolana.

— Co ci mama, papusiu, przywiozła z Krakowa?

— Nic mi nie przywiozła, nawet mnie nie pocałowała...

— To niesprawiedliwe — wybucha Zuza — żebyś ty był kochany ostatni.

— Słyszysz, Maru — śmieje się Łęgocki — jestem kochany ostatni.

Maru wrzuca niedbale do szufladki przeczytany list.

— Dlaczego ty ją budzisz? Wybijesz ją zupełnie ze snu.

Karol wychodzi z pokoju. Maru odczytuje powtórnie list, drze go, zaciąga lepiej kołdrę na siebie. I na nowo spokój otacza siatką łóżko. Ale teraz bzyka w niej uprzykrzenie treść listu i Maru traci smak spoczynku... Czego więc ta Pruchnicka chce? Zajęcia dla bratanka we dworze? Osiemnastoletni chłopak pracuje w wiłkowickich torfach i grozi mu zabranie do żywicowania... Więc co z tego? Wiłkowice-dwór mają wystar-

czającą ilość ludzi... Że żywicowanie to przemysł wojenny, gdzie każde uchybienie grozi karą za sabotaż... Ale dlaczego ona ma o to prosić męża... taki smarkacz-maturzysta może narobić kłopotu i jak ona, Maru, będzie wyglądała ze swoją protekcją... Lepiej nie mieszać się do tego... Maru naciąga kołdrę na głowę i zasypia.

*

Przy podwieczorku Karol zaczyna ożywiony:

— Czerwony Krzyż zwraca się do Wiłkowic, żebyśmy się zajęli wysiedloną kapitanową Lipecką. Można by ją wziąć na nauczycielkę do Zuzy.

Maru rozdrażnia to niesłychanie. Jakaś Lipecka do ich domu? Oczywiście Karol ją zna, już coś dwa razy o niej wspominał. Ale nie chodzi o tamtą kobietę, tylko o Zuzę. Karol niepotrzebnie miesza się do wychowania dziecka.

— Możesz to mnie zostawić, już ja o nauce Zuzy pomyślę, gdy będzie trzeba. Czy ja ci się kiedy wtrącam w nie swoje rzeczy w twojej kancelarii?

— Aa, jeśli to nazywasz wtrącaniem się w nie swoje rzeczy...

Karol wstaje i zaczyna chodzić po pokoju. Mimo woli rzuca spojrzenie na żonę. Maru wybiera spokojnie łyżeczką pieczone jabłko. Na rozchylonych ustach i w brunatnych, do upalonych ziaren podobnych oczach ma swój zwykły wyraz rozmarzenia i lenistwa. Szlafrok zsunął się trochę z jej ramion i od białego karku odbijają rudawe włosy. Pełne i giętkie ciało Maru przypomina mu ciężkie skrzydło, w którym ptak chowa ostry dziób: tak w ciele Maru kryje się potężny egoizm macierzyński posiadania wyłącznie dla siebie dziecka. Swoją drogą będzie musiał sprowadzić Li-

pecką chociażby na krótki czas, bo Czerwony Krzyż się obrazi.

— Lipecka to pociągająca i miła kobieta — roześmiał się przypuszczając ewentualną zazdrość żony.

Maru skończyła skrobać jabłko. Teraz nie powie mężowi o Pruchnickiej — mógłby słusznie zauważyć, że ona wtrąca się w nie swoje sprawy.

W drzwiach stanęła pokojówka.

— Proszę jaśnie pana, przyjechali Niemcy ze starostwa i chcą z jaśnie panem mówić.

— Proś do salonu.

Łęgocki zamyślił się. Między nim a starostwem szła gra o grubą stawkę: bronił lasu przed wydaniem na żywicowanie. Ostatnio ściągnął komisję i uzyskał opinię, że las jest za młody — kosztowało to ładnych parę tysięcy. Zarząd leśny w starostwie wściekał się, a on potrzebował zgody starostwa na otwarcie marmoladowni. Ale las, las — zdrowe sosny nie mogą iść na żywicę.

*

Zimny deszcz marcowy pada. Od niego topnieje śnieg i ogród wygląda jak brunatna kraszanka upstrzona zielenią. Po gontach i słupach domu Pruchnickich spływa woda. Przed dom zajeżdża wóz wyładowany pękatymi workami. Jurek widzi go z okien i biegnie otworzyć bramę. Teraz razem z woźnicą taszczą wory na górę. Jurkowi ciężar zjeżdża z pleców, worek pęka i po schodach spływają nasiona jak ruchomy chodnik.

— Jureczku — staje w drzwiach ciotka — idź do Franka Palika, niech ci pomoże nosić.

Jurek wybiega zły. Do Palików jest daleko, zresztą Palik na pewno nie zechce. Przechodzi koło żywicowego lasu. „Niezatrudnionym wstęp wzbroniony pod

karą śmierci" — tak mówi napis. Jurek patrzy na sosny: zdarte pasma kory odsłaniają żółtą plamę, jakby w naznaczonych pniach tkwiło oko porosłe sztywną błoną.

Chata Palików stoi w lesie koło toru. Kiedy przelatują tędy pociągi, drgają ściany domu i gałęzie uderzają o dach.

Jurek zastaje Palika przy goleniu. Teraz jest mu głupio mówić o tych workach, bo Palik ma śnieżną koszulę na sobie, odprasowane spodnie i wyświecone buty. Jurek nosi bluzę bez koszuli i drewniaki z popękanymi przyszwami. Witają go niewyraźnie (dawniej Palik rąbał drzewo i nosił wodę u ciotki).

— Cholerne pociągi — mruczy Franek drapiąc brzytwą brodę — stół się trzęsie i ino patrzeć, jak lusterko grzmotnie. Niech no pan Jurek potrzyma trochę. — Jurek niby się śmieje i trzyma lusterko.

— Kiedym w Niemczech robił — mówi Franek — tom się nie mógł obejść bez tego trzęsienia chałupy. Żem miał spokój w izbie, to mi tak było jak w trumnie. Koło Hamburga siedziałem, alem się wcale nie napracował, tyle roboty, co koło samej baorki.

Jurek poczerwieniał.

— Ty byś, Palik, nie mógł worków na strych nosić? Leśnictwo wynajęło u nas strych na nasiona. — Franek milczy i zaczyna wiązać krawat.

Wchodzi Zośka i patrzy z podziwem na męża.

— Cóżeś się tak, Franuś, wypiął?

— Nie wisz? Bo z kawalerem idę, to przecie nie będę golizną świecił.

Zośka śmieje się i zezuje na Jurka, który zrywa się i chwyta za czapkę.

— No, pan Jurek zaczeka, to pójdziemy razem.

I Franek wkłada ciepły kożuszek, szyję owija szalikiem. Wychodzą. Palik jest krępy, ma twarz czerwoną,

włosy przycięte na szczotkę. Jurek jest wyższy od niego o dobrą głowę.

— Co Palik będzie teraz robił?

— Ja tu od lat byłem gajowym, to i dalej nim będę. Do Niemiec mnie już nie wezmą, bo Zośka smaruje czym się da komendanta. Teraz Łęgocki naprzyjmował nowych, ale kiedym, cholera, tyle lat za gajowego stał, to mnie musi wziąć.

Obaj przenoszą wzrok na drzewa. Sosny nawilgły i stoją ciemne jak osmalone słupy.

— Ja już dłużej na torfach nie będę robił — mówi niedbale Jurek — najprędzej pójdę do gorzelni do dworu, dziedzic mi to wyrobi — kombinuje, chcąc sobie wynagrodzić ten półkożuszek i nowe buty Palika. Tamten patrzy z boku na chłopca.

— Dziedzic to Jurkowi obiecał?

— No, pewnie — potakuje Jurek niewyraźnie — może nie do gorzelni, ale zawsze gdzieś we dworze mnie wkręci.

— Aha — Palik poprawia czapkę i milkną obaj.

Przed domem Pruchnickich stoi powóz.

Jurek czuje szybkie uderzenia serca. Powóz wiłkowicki... zgodzili się. Bo po cóż zatrzymywaliby się tutaj? Jurek jest jednym skokiem przy powozie. Kłania się Łęgockiej. (Czy ona może mieć naprawdę 45 lat?) Właściwie jest rozczarowany, spodziewał się zobaczyć Łęgockiego.

— Otrzymałam list od pani Pruchnickiej — mówi dziedziczka — ale, niestety, nie da się to załatwić tak, jak ciotka pana prosiła.

Jurek patrzy nieruchomo na zamszową rękę, układającą fałdy pledu na kolanach, i rumieńce uderzają mu na twarz. Przy furtce stoi Palik, który prawdopodobnie wszystko słyszy. Upokorzenie chwyta Jurka za gardło.

— Tak, tak — mruczy w okropnym strachu, aby Łęgocka nie chciała dalej mówić.

Maru podnosi wzrok na Jurka.

— Możemy państwu inaczej pomóc: skierujemy tutaj wysiedloną kapitanową, państwo wynajmiecie jej mieszkanie, zawsze to coś przyniesie.

Jurek prawie nie uważa na to, co ona mówi — żeby tylko prędzej odjechała, bo Palik stoi cały czas.

W końcu stangret zacina konie, Jurek całuje zamszową rękę. Powóz znika za zakrętem. Jurek zwraca się do Palika, krew bije mu do twarzy. Ale Franek nic nie mówi i Jurek uspokaja się. Teraz zaczyna żałować — powinien był coś powiedzieć Łęgockiej, jakoś przekonać, pewnie wzięła go za durnia, stał jak słup. Jest strasznie zły na ciotkę: gdyby go nie posyłała do Palika, byłby się rozmówił z dziedziczką.

Łęgocka dojeżdża do Wiłkowic, pogodzona zupełnie z sumieniem. Mężowi nie mówiła nic o prośbie Pruchnickiej, bo miała wstręt do biegania za cudzymi sprawami. Pruchnicka będzie mieć lokatorkę, za którą Wiłkowice będą płacić, a ona sama pozbędzie się z domu Lipeckiej, która drażniła ją niesłychanie. Maru czuła się podniecona jak po strategicznym zwycięstwie, a przy tym przyjemnie było pomyśleć, że się tym Pruchnickim pomogło.

W salonie Lipecka przeglądała z Zuzą jakąś książkę. Kiedy Maru weszła, podniosła się, wypytując z troskliwością, czy Maru nie zaszkodziła wilgoć. W tym czasie rzucała spojrzenia w lustro, które odbijało jej zgrabną figurę i śniady owal twarzy, otoczonej ciemnymi puklami dziewczęcego uczesania. Maru odpowiadała zdenerwowana.

— Będziemy musieli jednakże przenieść panią. Pokój pani jest wilgotny, więc chociażby ze względu na zdrowie niestosowny, a innego do dyspozycji nie ma-

my. Będzie pani mieszkać w willi u Pruchnickich z całym zaprowiantowaniem.

Lipecka słuchała uważnie z lekko ironicznym uśmieszkiem.

— Mąż będzie pamiętał, aby pani otrzymywała wszystko regularnie — dokończyła Maru niezmiernie sztywno, a widząc, że Zuza słucha z otwartymi ustami, zwróciła się rozdrażniona do dziecka:

— Idź do tatusia...

Zuza pierzchła z pokoju. To bardzo dobrze, że Lipeckiej nie będzie: dawniej, gdy mamusi nie było, to tatuś bawił się z Zuzą, a teraz to ta Lipecka chodzi za papą i śmieje się wciąż, a tatuś nigdy nie powie jej, że śmieje się do sera... Pchnęła drzwi do kancelarii. Tatuś rozmawia z rządcą i widać od razu, że jest zły — dlatego Zuza, gdy ojciec wziął ją na kolana, rezygnuje z ruszania ołówków na biurku.

— O ten las nie mamy już co dłużej walczyć — powiedział Łęgocki — zgniatając papierosa — gdy będziemy się upierać, starosta nie da koncesji na marmoladownię, a bez niej nie ruszymy w interesach.

— Pan dziedzic musi wystawić dwóch ludzi do żywicowania, taki przyszedł przepis — wtrącił rządca.

— No i kogo damy? — zafrasował się Łęgocki.

— Nikt z dobrawoli, panie dziedzicu, nie pójdzie, bo chłopcy klną jak cholera, że przy takiej robocie łatwo kark skręcić: złamie ci się narzędzie, to zaraz, że sabotaż, i policja włazi.

— U diabła — zaklął dziedzic — moich fornali mi szkoda, chyba Palika wyznaczymy, ten nie ma co robić u nas, bo przyjąłem już gajowego.

— To jeden, a drugi?

— Kogoś z torfiarzy.

Łęgocki sięgnął po listę i przebiegał oczami...

— Cóż, kiedy to wszystko dzieciate i stare... Aha,

Jerzy Pruchnicki, o, ten w sam raz, młody, to dla niego zdrowo, wyrobi sobie siły... Dwie osoby na utrzymaniu... hm... ile oni dają żywiczarzom? — zwrócił się do rządcy.

— Ledwie co, ale stara Pruchnicka ma dom, ogród, gospodarstwo — mnożył pospiesznie bogactwa Pruchnickich rządca, aby dziedzic nie rozmyślił się i nie kazał mu szukać kogoś na miejsce Jurka.

— Skoro tak — mówi Łęgocki — to trzeba posłać zawiadomienia tym dwóm. Tego Pruchnickiego nie znam, ale myślę, że się nada, a z Palikiem to już niech się komisja leśna gryzie. Ja wolę nie mieć go u siebie...

— Niech papa pożegna się z panią Lipecką, bo ona już u nas nie będzie — zawołała Zuza, gdy znikł rządca.

— Co takiego? — zmarszczył się Łęgocki.

— Mama to powie papie sama — wykrzykiwało dziecko.

W salonie była tylko Maru.

— Znalazłam mieszkanie dla Lipeckiej — zaczęła patrząc z ukosa na męża — nie może przecież mieszkać w tym wilgotnym pokoju.

— Gdzie ją umieścisz?

— U Pruchnickich — rzuciła po chwili wahania.

— U Pruchnickich?... Aha... to pewnie matka czy ciotka tego Pruchnickiego, którego wykazałem na żywiczarza.

Maru zrobiło się nieswojo.

— Wykazałeś go? Po co?

Karol spojrzał zdziwiony na żonę.

— Jestem obowiązany dostarczyć z majątku dwóch żywiczarzy, tym bardziej że nasz las pójdzie na żywicę.

Maru nie odezwała się na to. Pruchniccy... las... co ją to wszystko w gruncie rzeczy obchodzi? Ona chce mieć spokój i Lipeckiej pozbyła się dlatego, że zakłó-

cała tę spokojną wegetatywność wiłkowicką, którą Maru tak pielęgnowała, gdzie życie jej i Zuzy tkwiło jakby w basenie, a stały dopływ i odpływ wody był unormowany, że nic nie mogło zmienić jego powierzchni i ciepłoty.

Karol obserwował żonę: z przymglonych zawsze oczu wyczytywał jej myśli. Jego żona nienawidziła, na swój bierny, ale w istocie potężny sposób, tego wszystkiego, co przynosiło jakąś zmianę. Dla siebie i dziecka stworzyła to życie w Wiłkowicach, podobne do życia atolu, który niezmiennie pokrywa się roślinnością, kiedy morze rozbija okręty i zżera skały.

*

Kapitanowa wprowadziła się do Pruchnickich tego samego dnia, kiedy Jurek dostał wezwanie do żywicowania. Zalewała go gorycz: dwór wyrządził mu świństwo, o które nigdy by tych ludzi nie posądził. On to zapamięta Łęgockiemu i tej obłudnej Łęgockiej. Przecież ciotka pisała do nich... Teraz, kiedy ich spotka, plunie im pod nogi. Ale nie, nawet śliny szkoda, to są snoby, które nie widzą świata poza swoimi w koronach. Jak to Łęgocki powiedział? Że „to dla Pruchnickiego będzie zdrowo, bo sobie siły wyrobi". Jurka o mało krew nie zalała, kiedy mu rządca to powtórzył. Niechby on sam tego spróbował... Płakał z wściekłości na swoim stryszku. Tak bolały go naciągnięte przy żywicowaniu mięśnie... Palik mądry, uciekł od razu i nie przychodził do chałupy: bimber cichaczem robi i gwiżdże na Łęgockiego, na policję...

Jurek nawet w domu nie mógł zostać: Lipecka zajęła dwa pokoje, tak że on musiał się wynieść ze spaniem na poddasze. Rządziła się jak u siebie w domu, stale pożyczała coś od ciotki i potem zapominała od-

dać. Zdecydował się już wystąpić i zaprotestować, ale jakoś zachowywał tylko pogardliwe milczenie. Powinna się była domyślić z tego, że nic sobie z niej nie robi...

A później las zaczął go coraz bardziej wciągać w siebie. Tygodnie zaczynały się dla Jurka jak karby dziesięciny na lasce poznaczonych pni.

Las wytryskiwał już wiosną; świetlista smołowatość lepiła gałęzie drzew, wilgoć pełzła jak rudawy puch liszki, dymiła nawilgła kora.

Żywiczarze rozchodzili się co wieczór z ramionami zesztywniałymi od stałego trzymania ich do góry. Przez żywiczarzy od zdrowego pnia lasu odpadały coraz to nowe jego kawały z naznaczonymi sosnami. Łoskot kolejowych transportów, pierścienie przesuwających się cystern przywoływały pośpiech żywiczarzy: godzina opuszczona w lesie to sabotaż.

Pył zdzieranej kory osiada Jurkowi na twarzy razem z żywicą i potem, tatuuje nagie piersi, ramiona. Na obnażonej skórze sosen zostają delikatne rysy nacięć, jakby Jurek odbił tam wizerunek swoich chudych żeber i mostka. Tymi rysami ścieka żywica, tak jak po Jurku spływa pot. Wieczorem wali się zmęczony na stryszku. Zapach i chłód sosen wieje przez szczeliny leśną ziemią, słychać dudnienie pociągów: rozjuszony chłop podskakuje podkutymi żelazem butami, miażdżąc jak skorupki ludzi i domy...

Rano zrywa się Jurek o czwartej. Tak już się jakoś utarło, że przychodzi najwcześniej i uważają go za pierwszego żywiczarza. W jego beczce jest najwięcej żywicy. Jurek spieszy się z wykonaniem roboty, aby się jej pozbyć, ale wynik jest ten, że nadleśny go chwali i stawia za wzór, a Jurkowi to jednak sprawia przyjemność i satysfakcję. Skoro już robi, nie chce być najgorszy, tylko pierwszy. Nawet trochę się pu-

szy, bo dostał nadzór nad narzędziami. Ale przed żywicowaniem musi jeszcze szuflować nasiona na strychu; od tego po dwóch godzinach drętwieją ręce. Lipecka i ciotka śmieją się, że Jurka czuć jak sosnową trumnę. Jego to złości, ale Lipecka ma niezwykły głos — czasami wsłuchiwał się weń na stryszku, nie rozróżniając nawet tego, co mówiła.

Ze strychu schodzi Jurek na śniadanie. Ciotka dolała wody do mleka i mówi, że koza dała dziś więcej: jest to jeden z jej pajęczych wysiłków, aby zakryć ich biedę, tak jakby usiłowała zasnuć dziurę wybitą w murze.

Któregoś dnia spotyka Jurek Palika. Od Franka idzie zapach wódki.

— O, pan Jurek teraz za mechanika od drzewa jest, co? — krzywi się złośliwie.

— Dajcie mi spokój, nie mam czasu — wzrusza niechętnie ramionami Jurek. Ale tamten idzie za nim.

— He, he, he, to pan Jurek pierwszy żywiczarz, a ja mam w d.... żywicę, dwór mnie wykazał, jaśnie pan powiedział: „Palik pójdzie żywicować", a ja, proszę jaśnie pana, niech się jaśnie pan pocałuje w tyłek, dziesięć lat gajowym byłem, słyszy pan Jurek? Żeby nie ja, toby ten las chłopy wynieśli, a teraz, cholery, każą mi las paskudzić?... To ja z domu uciekł, niech tam Zośka skuczy, i do lasu... Stałem ja za lasem, to i las za mną teraz stoi — zatoczył się. — Słyszysz ty, żywiczarska mordo, nie będę z tobą świnił drzewa — krzyczał. — I cóż tak uciekasz? Nie pachnie ci wódka?

Jurek wcale nie uciekał. Szedł z opuszczoną głową koło Palika. Franek miał rację: to było świństwo, co oni robili w lesie. A chociaż Palik był pijany, wyrąbał Jurkowi trzeźwą prawdę, bo przecież Jurek w gruncie rzeczy cieszył się i puszył, że jest pierwszy z żywi-

czarzy, a żywicowanie to była pałka gorsza od rzeźnickiej; tam się zabijało zwierzę od razu, a tu wyskrobywało się życie z drzewa powoli...

Palik woli puszczać bimber, bo tak mu doradziło jego sumienie gajowego, a innego sumienia Palik nie ma...

Franek, gulgoczący coś bez związku, wytrzeźwiał nagle i patrzył zdumiony na Jurka, który potrząsając go za ramię krzyczał:

— Ja ci, Franek, zazdroszczę, żeś uciekł... Widzisz, ja nie mogę teraz... — Puścił go i nacisnąwszy czapkę na oczy, pobiegł naprzód. Palik stał chwilę, a potem gwizdnął przeciągle.

*

Jurek pracował cały dzień jak ogłupiały. Rzucał się na sosny, zdzierał zapamiętale korę, póki nie błysnęła wilgotna kremowa tkanka. Błyskawicznymi przecięciami drążył nie naruszoną powierzchnię i tak otwarte sosny zaczynały sączyć do podstawionych naczyń białawy płyn. Dopiero przeciągły alarmowy gwizd nadleśnego oderwał Jurka od roboty. Na sygnał żywiczarze zbierali się pod sosną, gdzie kontroler sprawdzał codziennie obecność robotników i stan narzędzi.

Jurek, dochodząc do placu, widzi stojące na szosie auto i powóz wiłkowicki. Przed szosą rozmawiają żywo: kilku Niemców w wojskowych mundurach, starosta i Łęgocki. Jurek domyśla się inspekcji. Żywiczarze stoją już w grupie. Pruchnicki dołącza się do nich. Wojskowi oglądają kubki, gdzie spływa żywica, i wymieniają uwagi. Jurek nic z tego nie rozumie, bo nie zna niemieckiego. W tej chwili słyszy swoje nazwisko: nadleśny go wywołuje. Jurek występuje naprzód. Wygląda jak prawdziwy robociarz: obnażony do pasa, pociemniały od żywicy i prochu, na skórze widać stare blizny od skaleczeń narzędziem i świeże zadrapania.

Nadleśny coś mówi do komisji. Niemcy patrzą uważnie na Jurka i przytakują, a jeden podnosi aparat fotograficzny. Jurek czuje na sobie oko obiektywu. Krew uderza mu do twarzy: fotografują go jak rozpłodnika z obory... Któryś z Niemców wraca do szopy, wynosi litr wódki i wpycha ją młodemu Pruchnickiemu pod rękę. Teraz podchodzą kolejno i ściskają mu dłoń.

— Dobry robotnik, pierwszy robotnik...

Znów prztyka aparat.

Jurek blednie coraz bardziej, zaciska palce na szyjce butelki. Psiakrew, jeszcze jedno słowo, a trzaśnie flaszką w te uśmiechnięte pyski... Mgła zasłania mu oczy. W tej chwili czyjś głos go otrzeźwia. Przed nim stoi Łęgocki.

— Jesteście pierwszym żywiczarzem w Generalnym Gubernatorstwie — mówi z powściągliwą ironią. — Możecie się podać o medal do propagandy. — A widząc, że tamten stoi nieruchomo, jakby nie rozumiał, dodaje wyjaśniająco:

— Tutejszy okręg ma najwyższą produkcję w całym GG, a znowu wy jesteście pierwszym w tym okręgu, rozumiecie? Jak wasze nazwisko? — dodaje z niecierpliwiony — bo nie słyszałem, z Wiłkowic jesteście czy ze Smoliska?

Jurek patrzy uważnie na kapelusz, krawat i garnitur tego pana, do którego pisał, aby go uwolnił od żywicowania, i który raczył mu teraz doradzać, aby się zgłosił po medal do propagandy. Chłopak zaczyna się śmiać, ale tak, że głosu prawie nie słychać, tylko rozsuwają mu się wargi i widać zaciśnięte twardo zęby. Ten pan drwi sobie z całej parady, jaką tu urządzili Niemcy Jurkowi, a przecież i Jurek czuje, że to było obrzydliwe...

— No, jakże się nazywacie? — niecierpliwi się Łęgocki.

— Je ne comprends pas — odpowiada obelżywym tonem Pruchnicki, śmiejąc się wyszczerzonymi zębami. Twarz Łęgockiego czerwienieje gwałtownie, ale Jurek odwraca się na pięcie i odchodzi.

Auta z gośćmi rozjeżdżają się i dziedzic wraca do powozu, gdzie czeka na niego Maru. Konie już ruszają z miejsca, kiedy dziedzic zatrzymuje z powozu nadleśnego.

— Panie inżynierze, jak się nazywa ten wasz beniaminek?

— Pruchnicki Jerzy, maturzysta — śmieje się inżynier. — Teraz przez cały letni sezon będziemy mieć inspekcje na karku; oni boją się, by pan nie zrobił jakiej „siuchty" z żywicą, zwłaszcza że to jest pański las, rozumie pan? Komisje wyłapały takie wypadki, gdzie dwór kupował od robotników żywicę.

Mężczyźni kłaniają się sobie i powóz odjeżdża.

Łęgocki jest poruszony.

— No, no, kto by się tego spodziewał... — wykrzykuje do żony. — Pozbyłem się sam doskonałego pracownika... Że mi też do głowy nie przyszło dowiedzieć się, kto to jest ten Pruchnicki, nim go wykazałem do żywicowania... A to mi dał nauczkę: „Je ne comprends pas..." Mówiłem ci, Maru, co on powiedział? — zwrócił się do żony siedzącej z uparcie odwróconą głową.

— Daj mi spokój — rzuca opryskliwie Maru. — To twoja rzecz znać ludzi, którzy u ciebie pracują, a nie moja, żeby się nimi zajmować. — W głosie Łęgockiej znać szczególne jakieś rozdrażnienie.

Małżeństwo dojeżdża w milczeniu do Wiłkowic.

Jurek włóczył się jak pijany po lesie, chociaż nie tknął wódki. Oddał ją kolegom.

Deptali go wszyscy: Franek, Łęgocki, nawet ta Li-

pecka musiała drwić z niego w duchu... Litr wódki jak kość uwięzionemu psu, a on, dureń, idiota, stał jak krowa przed obiektywem, zamiast wyrwać aparat i rzucić nim o pień...

Cała jego młodość roztrzaskała się tu o te sosny jak gniazdo zrzucone z drzewa. Jurek przyciska mokrą twarz do mchu, do ziemi... Każdy dzień przeżyty w lesie budzi się w nim od nowa i ściska za gardło. Słoty i chłód przenikający ciało, upał, który wyciskał strugi potu gryzącego plecy, stały pośpiech odrętwiający ramiona, tak że po pracy zwisały jak drewniane, i proch, proch zestrugiwanej kory, od którego wiecznie piekły i łzawiły oczy, bo zarząd żałował im okularów. Albo te kradzione, wsiąkające w ręce urzędników, nim dotarły do żywiczarzy, nędzne przydziały razowej mąki...

Jurek, wróciwszy późno w nocy do domu, przewracał się na sienniku, nie mogąc zasnąć.

Pociągi przelatywały z dudnieniem opętanego pośpiechu, wżerały się w noc jak swobodnie puszczone świdry. Zapalczywe i niepohamowane wybijały tajemnicę wrogich Jurkowi wysiłków: „Alle Räder müssen rollen für den Sieg..."

W korycie szyn drżał potok stalowej lawy, znacząc się w ciemności odpryskami gwizdów, pojękiem i zachłystywaniem zduszonej pary. Jurek wsłuchuje się w to w ciemności i czuje, że leży pod rozpędzonym żelazem, nie może podnieść głowy. Litery pisane kredą odpadają z wagonów i wklinowują się w pnie jak białe, żywicowe blizny: „Alle Räder müssen rollen für den Sieg..." — i oto drzewa zaczynają się zwalać, toczą się, zrastają w sosnowe tratwy, tratwy zbijają się w morze pofalowanych pni. Jurek dyszy ciężko. Teraz sosny toczą się po nim i przyklejają do ciała żywicowymi plamami...

Nazajutrz była niedziela. Jurek schodząc ze stryszku natknął się w podwórzu na Lipecką; zaczerwienił się i ukłonił, nie patrząc na nią.

— Pan wychodzi? To doskonale, bo ja też, pójdziemy razem.

— Idę do przystanku — mruknął.

— A ja na przystanek — roześmiała się. — Niech pan zaczeka.

Sterczał więc na podwórzu, a pani kapitanowa pobiegła żywo, wpadła do domu, wreszcie wyszła z walizeczką.

Szedł obok niej w milczeniu drogą leśną.

Wiosna miotała się już w gałęziach i puchach, giętki, wezbrany maj tłoczył żywicę sperloną brzegami nacięć. W. rowach i rozpadlinach musowało złocistozielone listowie, całe polany mieniły się w słońcu, zapach suchej, rozgrzanej kory odurzał jak cynamon. Jurek odkrył dopiero w tym lesie, że Lipecka umie chodzić jak młoda dziewczyna, z takim radosnym uniesieniem ramion i piersi, jakby wbiegała do wody na czubkach palców.

Nagle wybuchnęła śmiechem:

— Pan jest jak idol z żywicy: ciemny, ponury i nic nie mówi, zupełnie jak fetysz.

Oczy chłopca zwróciły się na twarz kobiety i nie mogły się od niej oderwać... Słońce przesypywało się przez liście i złote jaszczurki pierzchały po czarnych włosach, drgały w oczach, ześlizgiwały się po ciemnym jedwabiu sukni... Jurkowi zakręciło się w głowie. Lipecka wyglądała jak smagły strumień.

— Nie, to pani jest jak żywica — żywica, która się pieni — roześmiał się nagle i szczerze.

Rzuciła mu szybkie, uważne spojrzenie i przesunęła chłodnymi palcami po nagim przedramieniu chłopca.

— Zawsze taki zapracowany, nie ma czasu dla siebie?

Nie zdążył odpowiedzieć. Koło nich przejeżdżał powóz. Siedzący w nim Łęgocki zatrzymał stangreta i wyskoczył. Jurek zaambarasowany czekał na boku; o kilkanaście kroków rozmawiali tamci dwoje. Trwało to krótko, za chwilę Łęgocki wsiadł z powrotem i odjechał, a Lipecka powracała do Jurka z roześmianą twarzą. Wsunęła mu rękę pod ramię.

— O czym pan tak duma?

— Jak daleko mam jeszcze panią odprowadzić — odparł, zły na jej rozmowę z Łęgockim.

— To świetnie — roześmiała się. — Nie chce pan iść, więc siadajmy.

Zeszła z drogi i usiadła na trawie, opierając głowę o pień drzewa. Jurek, zaskoczony, nie wiedział, co ma robić. Wyciągnął się obok i czuł, że mu jest głupio. Nie patrzył w stronę towarzyszki. Miał nad sobą gałęzie posczepiane z niebem, jakby ktoś między liście powtykał krokusy. Jurek wymyślił to, nie chcąc przyznać głosu dzikiemu biciu serca, od którego aż bolały żebra. Właściwie to on się chyba zaraz pożegna i pójdzie... Nagle serce stanęło jak zatrzaśnięte: Lipecka oparła mu głowę na piersiach i teraz śmiała się do niego z dołu rozchylonymi wargami. Jurek przylgnął wzrokiem do jej twarzy, szyi, obnażonych zębów, uchylonych rzęs, do skóry matowo zaróżowionej i cienkiej, na której mieniły się złotawe cienie. Powieki kobiety podniosły się: spojrzała na Jurka wilgotnym, czarnym połyskiem. Jurek stracił wszystko z oczu, wyciągnął rękę i położył dłoń na jej piersi. Cofnął ją zaraz, jak ukłuty krzyknął coś cicho, odwracając głowę.

Ramię Lipeckiej przygięło jego twarz ku sobie; sku-

pionymi i radosnymi oczami patrzyła w ściągnięte rysy chłopaka.

— W sobotę będę wracać statkiem, niech pan na mnie czeka na przystani przed południem.

Podniosła się zaraz z ziemi i roześmiała lekko, odsuwając jego rękę, którą przesunął po jej śmigłych, smukłych nogach. Odeszła sama na przystanek. Jurek leżał z założonymi pod głowę rękami, nie ruszał się z miejsca. Serce mu tłukło, pod powiekami na cienkiej, jedwabnej skórze pierzchały wciąż złote jaszczurki.

*

Młody Pruchnicki żywicował niedbale, nie spiesząc się. Denerwowały go uwagi nadleśniczego. Przykładał ostrze do łyka gładkiego jak kobiece kolano i robił nacięcia z uczuciem, że w sobie samym pogłębia jakąś osobliwą ranę. Dręczył go niepokój, ale nie z powodu Lipeckiej; wspomnienie o niej zwinęło się w srebrną kulkę, która toczyła się lekko w jego drogach krwionośnych. To sosny zaczynały go już przygniatać; w swoim korniczym dążeniu dotrzebił się już do jądra lasu. I tu dopiero poczuł się jakąś larwą zżerającą drewno. Ta myśl nie dawała mu spokoju.

Oto jest wieczór; szelest gałęzi rozciąga las. Jurek brnie z jednego żywego pierścienia w drugi, jakby opadał na dno leśne, a kręgi sosen rozchodziły się do niewiadomego brzegu. Jurek siada i obejmuje kolana ramionami. Patrzy na drzewa.

Lipecka na pewno by go nie zrozumiała: za trzy lata spłynie wszystka żywica i zostanie jałowe drzewo, z którego, jak mówi Franek, trumien nawet robić nie warto, bo robak je zaraz stoczy... Zresztą — co sosny. To z nich tak ściągają żywicę. Po wojnie i oni wszyscy

będą takim zżywicowanym drzewem, nie na budowę zdrowego domu. Jurek myśli o swoich kolegach. Trzymają się jak naznaczone sosny, które ciągną soki, a wykapuje z nich życie. On sam zaszedł w jakieś błędne koło, jakby pobłądził w mroku między pniami; nienawidzi tej roboty, a wykonuje ją jak wariat, za co dostaje premię od tych, którym by skoczył do gardła. Brzydzi się nią tak samo, jak Łęgocki, który z niego drwi. Łęgocki, którego kochanką jest pewnie Lipecka śmiejąca się do Jurka gorącymi oczami. Chłopiec trzyma się za głowę, w której wre upał.

A noc rośnie jak grzybnia, spajając każdy przebłysk światła.

Jurek czuje się strasznie słaby, jakby dotknął samego dna leśnego i teraz leżał na nim ciężar głębi leśnej, poprzerastanej liśćmi, zlepionej żywicą, porosłej kożuchem cienia. Oddycha ciężko... Wokół niego jest coś, co niewidzialnie nań naciska. Z góry spada plugawy wrzask wroni, chłopiec wzdryga się. Za drzewem ktoś się porusza... Po chwili ochrypłe, przyciszone:

— Pan Jurek...

To głos Franka. Palik jednym susem znajduje się koło Pruchnickiego, siada.

— Pan Jurek jeszcze w lesie?

— A jeszcze.

— Pan Jurek to się chycił całkiem nie dla siebie roboty.

— A niby co miałem robić? — odgryza się Jurek ze złością. Dotyka niechcący ręki Palika i ogarnia go wstręt: ręka jest lepka, gorąca.

A Palik wybucha:

— Jurek może mieć zarobek sakramencki i nic się nie narobić. Trzeba ino cisnąć to cholerskie żywiczarstwo.

— To do czego mam się zabrać? — Jurek nie po-

znaje własnego ochrypłego głosu. Duszna, ziejąca upałem ciemność wysusza mu krtań.

— Jest tu taki jeden interes, ino o tym, rozumie Jurek, nikomu ani pary. Są tu tacy, co przyjeżdżają za bimbrem; klawe batiary. Jak im trzeba, to kradną, ale za wódkę to zawsze honorowo płacą. Czym Jurek chce: skóra, płótno, można i na ubranie się dorobić...

Jurek słucha i krew mu bije do głowy. Pośpieszny oddech Franka obsypuje go gorącym popiołem.

Ubranie. On miał tylko zmianę żywiczarskich drelichów... Pokazać się raz w garniturze, jąk przyzwoity człowiek. — Ty, słuchaj — zwrócił się gwałtownie do Palika i nagle coś mu odebrało głos; pomiędzy nim a Frankiem stała ciemność gęsta, nieruchoma, podobna do czarnej, skrzepłej krwi. Nie widział twarzy ani ręki Palika, tylko głos tamtego ochrypły skrzypi jak ocieranie narzędzi o korę, ciągnie go... Jurek wie, że nie powinien o nic pytać, każde słowo to pogrążenie się w tym gorącym czadzie.

— Ty, słuchaj — powtarza drżącym głosem — kiedy ty do nich chodzisz?

Ciemność pospiesza zaraz kuszeniem, które jest ustępliwe, niedbałe i przez to bardziej pociągające.

— Ja tam pana Jurka nie namawiam, ale iść tak dwa razy na tydzień, to starczy potem na cały miesiąc.

— Cały miesiąc...

Jurkowi galopowało w głowie. A on: codziennie harówka do nocy, jęczmienny chleb. Czuje, że za chwilę przegra. Powinien uciec. Nie ma siły. Sosny zamknęły drogę.

Otwiera już usta, żeby powiedzieć „tak", kiedy w ciemność nagle tryska:

— Jurek miałby z tego wszelakie dobro, a wtedy to

i dziewczęta inaczej patrzą na chłopca. Pan Jurek już jest taki, co swoją dziewczynę powinien mieć.

Jurek ostatnim wysiłkiem zrywa się.

— Jak samemu Frankowi tak dobrze, to po co namawiać mnie?

Franek milknie zakłopotany. Po chwili:

— Bo widzi pan Jurek, we dwóch się lepiej kalkuluje. Ja bym więcej zarobił i Jurek by dostał swoje.

— Jak Frankowi mało, to niech Franek przyjdzie do mnie, ja mu z wypłaty dołożę, a niech mi da spokój — wybuchnął Jurek z wściekłością, żalem — i czując, że już dłużej nie wytrzyma, nie potrafi się oprzeć, porywa się na oślep przed siebie, między sosny, i biegnie kierowany białymi znakami, jakby pod ich ślepotą ukrywało się czujne, widzące wszystko oko.

*

Nazajutrz Maru postanowiła odwiedzić Lipecką. Wypadało to zrobić, skoro kapitanowa była jakiś czas gościem Wiłkowic. Tym samym mogła pokazać mężowi, że nic sobie nie robi z plotek o jego stosunkach z tamtą. Korciło ją także, by przyjrzeć się temu Jurkowi. Wtedy w lesie miał w sobie jednak coś osobliwego, skoro Karol tak go sobie zapamiętał. Nawet powiedział, że chłopakowi przysługuje podwyżka z propagandy.

Maru zatrzasnęła furtkę i szła przez zachwaszczony ogródek, gdzie pasła się koza. Na podwórzu Łęgocka zetknęła się z Pruchnicką. Siwa głowa na cienkiej szyjce i suchy kadłub okryty czarnym fartuchem — czyniły ją podobną do smutnej, chudej indyczki. Łęgocka wyciągnęła rękę na powitanie.

— Czy mogę się widzieć z kapitanową Lipecką?

— Pani Lipecka wyjechała tydzień temu, dzisiaj dopiero wróci.

Staruszka odpowiadała nerwowo, jej czerwone powieki migotały szybko. Łęgocka rozglądała się po podwórzu.

— Jakże się pani powodzi teraz?

— Teraz? — powtórzyła powoli Pruchnicka. — Pani ma na myśli, od kiedy Jurek poszedł żywicować?

Maru nie to miała na myśli, więc zmilczała. Staruszka ciągnęła dalej łzawym głosem, potrząsając głową.

— Zmarnuje się nasz chłopak, cały dzień go w domu nie ma, a wieczorem przychodzi taki zmęczony, że nawet jeść nie chce. Niech pani pomyśli: anginę przechodził, a do roboty iść musiał.

Łęgocka czuła się nieswojo.

— I gdzie jest teraz bratanek?

Pruchnicka zwróciła na nią zmrużone oczy.

— Wyszedł zaraz rano, powinien niedługo przyjść, bo to już południe. Taka jestem czegoś niespokojna o niego...

Pruchnicka nie wyznała, że czysta koszula, o którą się Jurek awanturował rano, niezwykła staranność, z jaką robił toaletę, wzbudziły w niej szereg podejrzeń. Staruszce trzęsły się ręce na myśl, że Jurek może mieć tajemnice, o które nawet nie wolno zapytać.

Łęgocka żegnała się niezwykle uprzejmie.

— Mąż mówił, że komisja ma zamiar przyznać podwyżkę panu Jurkowi.

Pruchnicka milcząc odprowadzała ją do furtki.

*

Ta wizyta zupełnie popsuła Maru humor. W domu zrobiła wymówki Karolowi, że nie daje naprawić re-

sorów w powozie, a później musiała skarcić małą Zuzę za obgryzanie paznokci.

— Jak będziesz tak robić, to cię Niemcy zamkną za to.

Dziecko popatrzyło przerażone na matkę, chowając za siebie rączkę. Maru wyszła z pokoju... Jej natchniony energią głos słychać było za chwilę w kredensie. Zuza wałęsała się bez celu, gdy nagle posłyszała zgrzyt kół. Rzuciła się do okna.

Łęgocki siedział w kancelarii, kiedy otwarły się drzwi i wpadła Zuza.

— Niech mi papa obetnie paznokcie — trzęsła się — oni tu zaraz będą...

Łęgocki wziął córeczkę na kolana.

— Kto tu będzie?

— Niemcy. Mama mówiła — szlochało dziecko — że Niemcy zabierają za obgryzanie paznokci... Niech papa zobaczy.

Zuza podniosła rączkę i patrzyła z żałością na drobne ślady ząbków. Łęgocki roześmiał się.

— Więc żebyś już nie płakała, to i ja będę miał takie same. We dwoje damy sobie radę, co?

Oczy Zuzy, wzniesione z ciekawością na ojca, patrzyły z zachwytem, jak najdroższy papuńcio przycinał sobie zębami jeden paznokieć za drugim.

— To papa nic się nie boi?

Nagle w przedpokoju rozległ się głos:

— Wo ist Herr Legocki?

Zuza z oczyma pełnymi łez wskazała paluszkiem na rękę ojca.

— Nic się nie bój — roześmiał się Łęgocki. — Schowam ją do kieszeni, a ty zmykaj do mamy.

Maru piła herbatę, kiedy Zuza wpadła, wołając od progu:

— Niech mama da prędko papie nożyczki albo pilnik, bo wezmą papę, papa obgryzł sobie paznokcie...

Maru było już tego za dużo: musi odseparować Zuzę od ojca, bo Karol zepsuje ją zupełnie. Postawiła dziecko do kąta. Zuza trzęsła się od płaczu, powtarzając z łkaniem: — Wezmą... wezmą papę...

A w kancelarii Łęgocki stał patrząc ze zdumieniem na czterech urzędników policji.

— Na pańskim obszarze leśnym — wykładał jeden z nich sucho — popełniono kradzież żywicy w rejonie Jerzego Pruchnickiego. Nadleśniczy, notując rano nieobecność Pruchnickiego, stwierdził również, że jego beczka jest otwarta i próżna. Wszystkie poszlaki, jak i poprzednia fałszywa gorliwość Pruchnickiego, wskazują na to, że to akt sabotażu i że winny działał w zmowie. Ponieważ pan, znający Pruchnickiego, który był pańskim robotnikiem, sam wykazał go do żywicowania, musimy więc zastosować do pana tę przykrą formalność, że zostanie pan zatrzymany chwilowo w śledztwie aż do znalezienia winowajcy.

Łęgocki milczał ogłuszony: on przez Jurka Pruchnickiego... koło odwróciło się i uderzyło w niego... „Będę miał czas zastanowić się nad tym w więzieniu" — pomyślał i czując wyczekujące spojrzenia na sobie, przybrał ironiczno-ugrzecznioną postawę.

— Panom, zdaje się, spieszno? Jestem gotowy do stawienia się przed komisją, tylko panowie pozwolą — płaszcz...

Wyszli do hallu. Tutaj zetknęli się z Maru. Zbladła.

— Co się stało?

— Młody Pruchnicki zniknął wraz z żywicą — odparł krótko Karol.

Ucałował rękę żony.

— Uważaj na Zuzę, niech nie obgryza paznokci — uśmiechnął się gorzko.

Za chwilę zaturkotała bryczka uwożąca mężczyzn.

Maru wróciła do pokoju. Kolana uginały się pod nią: tak nagle i co to wszystko miało znaczyć?

Przy oknie stała Zuza patrząc suchymi oczami za oddalającą się bryczką. Policzki i oczy dziecka płonęły.

— To przez mamę. Mamusia nie dała papie nożyczek i dlatego papę zabrali.

Teraz Maru wybuchła łkaniem.

— Mama pojedzie po papę? — pyta dziecinny głosik.

Maru, klęcząc przy łóżku, z łkaniem potrząsa głową:

— Tak, pojedzie...

I Maru podnosi się z kolan, bo trzeba jechać, pytać o tego Jurka, szukać dróg ratowania męża...

*

Jurek szedł drogą leśną do przystani.

Statek powinien przybyć za godzinę, akurat zdąży na czas. Właściwie sam nie wiedział, dlaczego idzie. Lipecka powiedziała mu, żeby przyszedł na przystań... no i co z tego? — Co z tego? — powtarzał z zaciśniętymi zębami, bo mu się nagle przypomniała jej chłodna i piękna ręka.

— Pewnie chce, żebym jej odniósł walizkę — drwił z siebie. — Tak, oczywiście, żeby jej odnieść bagaże — powtarzał w duchu czując, że to nieprawda. Lipecka chciała być z nim sama, tak jak wtedy, gdy ją odprowadzał. Zaczął drżeć na całym ciele, gdy nagle, jak piorun, uderzyło go podejrzenie: a jeśli chciała zadrwić sobie z Jurka i na przystani czeka już Łęgocki z powozem?...

Nie, tego by nie zrobiła — uspokoił się, ale radość w nim zgasła.

Przypomniał mu się Franek i myśli poszły w młynek. Gdyby posłuchał Franka, miałby ubranie, pieniądze... Łęgocki na pewno robi Lipeckiej prezenty... Mógłby wyjeżdżać co jakiś czas do miasta, poznałby trochę lokale i wziąłby się do książek...

Wtedy w lesie śmiała się z niego, że nic nie mówi. O czym ona mogła rozmawiać z Łęgockim?

W tej chwili wydało mu się, że statek musiał już przybić i że on się spóźni. Zaczął biec, gdy nagle na zakręcie ktoś szybko wysunął się zza drzewa i chwycił go za ramię.

— Co ty, puść mnie — szarpnął się Jurek poznając Palika.

— A gdzie to? — mówi tamten przez zęby.

— A co to Franka obchodzi?

Palik nagle puszcza Jurka z taką siłą, że ten się zatacza.

— No to leć, leć, bratku, tam już czekają na ciebie.

— Czekają? Kto? — Jurkowi przelatuje błyskawicznie myśl, czy Franek nie wie, że on ma się widzieć z Lipecką.

— Patrzcie go, zuch, będzie jeszcze w oczy świecił, że nic nie wie, co się stało...

Jurka chwyta nagle niepokój.

— Franek, do jasnej cholery, gadaj zaraz.

Palik odwraca głowę:

— Bo to Jurkowi żywicę skradli...

Chłopak stoi jak piorunem rażony.

— Łżesz... Nieprawda... — krzyczy i rzuca się z podniesioną pięścią. Ale Franek nie rusza się z miejsca.

— Trzeba było dziś rano do roboty iść, a nie włóczyć się, toby ci nikt beczki nie odbił. Brzydziło ci się z Palikiem bimber nosić, wolałeś premiówki brać, fotogra-

fowi stawać, aż ci się w końcu dostało, ty, ty, cholerski żywiczarzu...

Jurek słucha i blednie, a Franek syczy nienawiścią, aż mu czerwienieją żyły na czole.

— Gdzie Jurek idzie — krzyknął jednak ostro, widząc że Jurek zawraca w stronę Wiłkowic.

— A co będę stał! — wzrusza ramionami Jurek. — Pójdę, zgłoszę się na posterunek.

Palik przeląkł się. Ładna historia. Jeśli Jurek wróci, wyda się, że to nie on ukradł.

— Pan Jurek to nie ma co na posterunek iść, tam nie będą pytać, tylko od razu kula w łeb za sabotaż. To jest wojna, a nie gadanie, i policja już pewnie szuka Jurka.

Chłopiec siada nad rowem i ukrywa twarz w dłoniach. Franek stoi nad nim. Bierze go złość na Jurka. Żeby go raz trzasnął, toby się wszystko skończyło, ale potem nie miałby co robić w Wiłkowicach. Nagle przychodzi mu myśl:

— Jurek teraz nie ma gdzie się podziać, to pójdzie ze mną. Tamte batiary, co bimber kupują, wezmą Jurka do kompanii, krzywdy oni żadnej nie zrobią, tyle że Jurek nauczy się bimber pić. — I Franek krzywi nawet wargi w uśmiechu, bo mu ciężar spadł z serca. Jurek wstaje, patrzy prosto w twarz Palika.

— Ja wiem, tyś ukradł moją żywicę.

Franek się cofa, krew mu zalewa oczy, podnosi pięść. Jurek postępuje naprzód, Franek znów cofa się jak pijany. Dyszy ciężko.

— Niech pan Jurek lepiej nie krzyczy, bobym mu musiał buzię zatkać.

Patrzą obaj na siebie. Wokół nich zrywa się szum sosnowy, wiatr gnie gałęzie.

— Pójdziesz do ciotki, powiesz, żem zdrów i że nie mogę wracać.

Franek otwiera usta, żeby zakpić z Jurka. Pada z nich, wbrew temu, co Franek chce:

— Powiem...

Teraz patrzą na siebie spokojnie.

— Jurek gdzie teraz pójdzie? — pyta Franek i czeka złośliwie, jak tamten będzie się wykręcał, ale Jurek odpowiada szczerze.

— Chciałbym jechać do Krakowa.

— Złapią zaraz w pociągu — przerywa Franek. — Nawet nie ma co ludziom pokazywać się na oczy. Jurek lepiej zrobi, jak pójdzie lasem do Smolisk, przejdzie rzekę koło młyna i dalej lasem aż do starej torfiarni. Tam są partyzanty, nasze to chłopaki ze wsi, to Jurek może do nich przystać. Mówili o nich te batiary od bimbru, bo wzięli od nich w portki.

Jurek namyśla się.

— Tak, pójdę do nich...

Teraz stoją obaj w milczeniu, nie wiedząc co mówić więcej, ale zwlekają z rozejściem się. Są sami, tylko sosny rdzewieją wokół nich. Jurek nie ma żalu do Franka. Nie powie mu tego, ale Franek uwolnił go od sosen na żywicę. Widocznie nie mogło się to inaczej skończyć, tylko tak... Trochę ciotki mu żal, ale dwór się nią chyba zaopiekuje. Teraz patrzy na drogę do przystani i wie, że nigdy nie dojdzie do tego statku, którym ona przypłynie.

— Ano, to ja idę — przerywa wreszcie milczenie.

Franek rusza za nim.

— Może Jurek by chciał...

— Czego? — odwraca się ostro chłopak.

— Może Jurek chce zapalić, to ja mam...

— Nie, nie trzeba mi — odpowiada Jurek opryskliwie.

Idą w milczeniu. Wreszcie chłopiec odwraca się.

— Franek — mówi i tamten podrywa głowę. — Fra-

nek, czemu ty do partyzantów nie idziesz? Byłby z ciebie chłop — chce mówić spokojnie, ale głos trochę mu drży — a tak babrzesz się w takim świństwie ze złodziejami...

— Nie mogę teraz, oni pilnują mnie, boją się, żebym ich nie wsypał. Teraz Jurek będzie szedł lasem i trzymał się wąwozu aż do rzeki, pamięta Jurek?

— Pamiętam, nie zabłądzę. — Jurek zsuwa się w wąwóz. Franek patrzy za nim.

— Nie daj się im — woła z dołu chłopiec.

— Niech się Jurek trzyma...

Gałęzie zasłaniają już zupełnie Jurka, ale Franek nie rusza z miejsca. Nachyla się nad wąwozem i krzyczy:

— Na jesieni w torfiarni, przyjdę do was...

Z dołu coraz dalszy głos Jurka:

— Pamiętaj, ciotka...

I jeszcze z obu stron:

— Trzymaj się...

Franek podnosi się i rusza do wsi. Jurek brnie wąwozem. Każdy w swoją stronę.

1946 r.

Gawron

Było to zimą czterdziestego pierwszego, a może czterdziestego drugiego roku. Drewniany domek na skraju osady pozbawiony właściciela, zapomniany przez swoich i rozgrabiony przez obcych, przyjął troje przybłędów. Dwie odrapane izdebki z piecem kuchennym i kupą starej mierzwy na pryczy stanowiły komplet mieszkalny, mogący oczarować każdego włóczęgę. Nasze dotychczasowe noclegi w ziemiankach, szałasach i stodołach wpoiły w nas szacunek dla klamki u drzwi — zatem, uczciwszy cud mieszkania rozpromienionym wzrokiem, objęliśmy domek w posiadanie. Pewni, że dowództwo otrzymało meldunek o rozbiciu naszej grupy szturmowej, zasobnej w sześć angielskich karabinów na trzydziestu ludzi, myśleliśmy o krótkim pobycie w chałupce i szybkim wcieleniu do któregoś z nowopowstających oddziałów. W na poły wypalonej osadzie żyło kilkanaście rodzin, dookoła niej zawarły się potężnym pierścieniem lasy chrzęszczące od mrozu, spojone obfitą masą śniegu. Słabo przetarty szlak łączył osadę z miasteczkiem, jednym z najnędzniejszych, jak wszystko, co zdołało jeszcze przetrwać w tych stronach.

Naszym opiekunem był gajowy Bronek, kolega Jurka z partyzantki, młody, niski i pucołowaty. Gałęzie ułożone w stos pod naszą chałupką, pół metra ziemniaków i ćwiartka baraniny zamrożonej w piw-

niczce — były najlepszym dowodem anielskości Bronka, kryjącej się w sukiennym ubraniu żołnierskim pod baranim kożuchem.

Uwolnieni od trosk materialnych spychaliśmy czas każdy według swoich możliwości. Ja leniuchowałam, powtarzając w pamięci niemieckie i francuskie słówka, Irma leczyła w osadzie chorych na czyraki i biegunkę, Jurek chodził codziennie z gajowym do lasu, po południu rąbał na podwórzu drzewo.

A tymczasem śnieg padający bez wytchnienia zaprowadził urodziwy ład wokół domu. Unieważnił badyle, koślawe podwórko, zimową grudę i nastroszone krzaki. Gęsta biała masa zastygła w łagodnych i leniwych formach, narzucając otoczeniu zimną wytworność, od której niechlubnie odbijały nasze zniszczone buty i podarte kurtki. Oszczędzając drew, wieczory spędzaliśmy przy piecu, nie odrywając wzroku od drgających żółto szpar. Radosne szczeliny rychło zalepiała szarość. Wystygły piec zamieniał się w opuchły i twardy brzuch nieboszczyka, brudna szarość spełzała z okien na środek izby. Z kątów i od progu czuć było kwasem zimna. W izbie nastawała noc. Irma wstawała z ławy i trąc odmrożone ręce mówiła głosem nabrzmiałym łzami, że jutro ona pójdzie sama do lasu po drzewo, ażeby skończyć z głupim oszczędzaniem polan.

Jurek, jak gdyby tylko na to czekał, wkładał czapkę, wsuwał podarte rękawice i szedł na podwórze rąbać drwa. Przytulone jedna do drugiej słuchałyśmy stęknięć i zgrzytów mrozu. W nocy bywało 30 stopni. Świat ścieśniał się, tężał i zestalał. W bezksiężycowe noce unosił się nad ziemią mdły, biały opar. Z podwórza dochodziło pojękiwanie kloca. Ocierałam dziecinne łzy Irmy. Jurek kochał ją pierwszą miłością pełną zachwytu i pokory, która z pogardą odrzuca przebiegłe pod-

szepty zmysłów. Był romantykiem i uważał się za piekielnie trzeźwego człowieka. Gdy wracał z podwórza niosąc naręcze drew, aby rzucić je pod piec, u nóg Irmy, ta odwracała wzruszoną twarz. Zdaje się, że nikt już potem nie składał u jej stóp tak cierpliwego i zapamiętałego wyznania miłości bez słów.

Pewnego dnia nasz zwiastun Dobrej Nowiny, zapukawszy do okien, zawołał:

— Otwórzcie, dziewczęta. Przyniosłem wam kolędę.

Kolęda leżała w skórzanej torbie, pieczołowicie owinięta w szmaty. Bronek wyjął butelkę z żółtą cieczą.

— To śmierdzi naftą — powiedziała Irma z zachwytem.

— Czekajcie. Jeszcze nie widziałyście wszystkiego.

Wydobyta z brudnych powijaków na stole stanęła lampa. Oczarowani dotykaliśmy z czcią mosiężnej podstawki, szklanego zbiornika na naftę, porcelanowego abażuru w pięknym pomarańczowym kolorze. Każdy z nas podkręcił kilkakrotnie knot w maszynce.

— Działa! — rzekł z uznaniem Jurek.

— Tylko nie podkręcać za ostro, bo będzie filować — przestrzegał Bronek zadowolony i dumny. — Tego numeru szkła nie dostaniecie nigdzie, więc uważajcie, żeby nie stłuc.

Odszedł, pozostawiając nas z bezcennym klejnotem stojącym skromnie na stole. Nasyciwszy się jego blaskiem w izbie, wyszliśmy na dwór przyjrzeć się, jak ten cud z daleka wygląda.

Wewnątrz starego wydrążonego pnia płonął pomarańczowy ogień. Gdy zmrok wessał się już w zeszroniałą skorupę, z domu pozostały tylko dwa jaskrawe otwory, wycięte w granatowej czarności i podklejone czerwoną bibułką.

2

Niedorzeczny przypadek z blaszanym pudłem od śmieci uzyskał w przebiegu późniejszych wydarzeń rangę fatalistycznej przepowiedni. Na razie jednak byliśmy zbyt zadomowieni w miernej pospolitości naszych dni, ażeby pojąć doniosłość znaku, który dla tajemniczej ironii losu przybrał postać gawrona.

Pewnego dnia wyszedłszy przed dom ujrzałam blaszane pudło od marmolady przewrócone, a śmieci, które w nim były, rozsypane po śniegu. Wiatr bawił się kąśliwie resztkami zgniłej słomy, szkło i kłąb starych szmat leżały pod progiem. Zrobiłam porządek na podwórzu, rupiecie powędrowały z powrotem do pudła. Następnego dnia znalazłam je znowu pod ścianą. Ktoś kpił tu sobie z moich wysiłków. Po kilku dniach zaciekłego czyhania u okna przestępca ujawnił się tuż przed moim nosem.

Duży gawron siedział na brzegu blaszanego pudła, wyszarpując z wnętrza nędzne resztki, a nie znalazłszy nic do zjedzenia, z gniewem ciskał je precz, na śnieg.

— To zrobił gawron! — krzyknęłam wpadając do kuchni. — Musisz, Jurek, wziąć drąg i strącić gniazdo z drzewa. Niech się wyniesie stąd.

Jurek przytaknął w milczeniu i dalej naprawiał but. Gniazdo pozostało nieruszone. Nazajutrz Irma powróciła z osady obdarzona cennym upominkiem. Ujrzawszy ją u furtki z garnkiem w jednej i zawiniątkiem w drugiej ręce, rzuciłam się na jej spotkanie, odebrałam węzełek z jajkami, Irma poniosła garnek z mlekiem. Złożyłyśmy nasze bogactwa na ławeczce na ganku i otrzepując śnieg z butów, radośnie podniecone mówiłyśmy o przysmakach, których wizje zrealizujemy mając do dyspozycji litr mleka i cztery jaja. Nagle jak upiór spadł z gałęzi prosto na ławkę gawron.

Trącone naczynie przechyliło się i runęło na ziemię. Gawron szarpał chusteczkę i tłukł dziobem w jaja. Nie ocalało ani jedno. Niedługo potem zbił szybę rzucając się na okno, za którym leżał okrągły bochenek chleba. Te wypadki położyły zaciekłą nieprzyjaźń pomiędzy mną a gawronem.

— Najwyższy czas, ażebyś go stąd przepędził — mówiłam do Jurka. — Zniszcz gniazdo. Zniszcz koniecznie. Inaczej będzie dalej zatruwał nam życie.

Jurek odpowiadał milczeniem. Przyparty do muru przez Irmę uchylił się stanowczo od spełnienia naszego żądania.

Irmę, której dotychczas niczego nie odmawiał, stropiło to i zaskoczyło. Była rozczarowana. A więc Jurek nie był tak szczery i oddany, jak mniemała. Ambicja jej cierpiała. Poróżnieni przez gawrona odzywali się do siebie mało i wymuszenie. Jurek przepadał na całe dnie z Bronkiem w lesie albo z furią rąbał drzewo. Irma przeżywała pierwszy zawód. A gawron, zadufany w opiekę Jurka, rozgościł się bezczelnie na naszym podwórzu. Niech no tylko któreś z nas pokazało się na progu, rzucał się z gałęzi w dół, szalał, ciskał się i miotał po śniegu, demonstrując swój głód niczym stara, cwana łajdaczka aranżująca widowisko dla uwiedzenia gawiedzi.

Obecność jego przewodu pokarmowego w moim pobliżu doprowadzała mnie do pasji. Myśmy też były głodne i z wesołą ironią starałyśmy się zwalczać ten bolesny temat. Gawron natomiast w każdej sposobnej chwili demonstrował swoje prawo do żarcia, jakby jego żołądek był panem i władcą naszego domu.

Tymczasem narastały kłopoty. Ziemniaków ubywało, a wyglądany łącznik z dowództwa nie zjawił się dotąd. Pewnego ranka dno w worku zastałyśmy puste. Tego samego dnia, wyszedłszy z kubłem popiołu

na podwórze — zdrętwiałam. Czarne ptaszysko wdzięczyło się pokracznie skrzecząc, przechylając łebek i podskakując koło Jurka, który karmił je z ręki rozgotowanym ziemniakiem.

Ujrzawszy mnie, zdrajca przyłapany na przeniewierstwie zaczerwienił się i wymknął z podwórza. Zawróciłam do domu.

— Jurek chce pokazać, że nic sobie z nas nie robi — zakończyłam oskarżenie. — Przewróciło mu się w głowie od czasu, jak dostał belkę plutonowego. Ale ja też mam ten stopień i nie pozwolę, ażeby grał nam na nosie. Muszę tylko wiedzieć, czy ty jesteś ze mną, czy nie?

— Tak, tak... — przytaknęła gorąco Irma zbyt słaba na to, ażeby znieść myśl, iż można by ją posądzić o stronniczą wyrozumiałość. Ona też chciała być obiektywna i stawiać surowe wymagania koleżeńskiej solidarności ponad rozpaczliwe względy uczucia.

Moja mowa do Jurka miała wyszukane pozory dobrotliwej wyższości.

— Nie mamy nic przeciwko temu, ażebyś żył wedle swoich upodobań. Proszę bardzo, zachowaj sobie swojego gawrona. Przestajemy wymagać, ażebyś go przepędził i zniszczył gniazdo. Ale nie licz więcej na naszą przyjaźń.

Gdyby Jurek zaprotestował lub cokolwiek powiedział, droga do rozejmu i zgody byłaby otwarta. Oskarżony, który nie potakuje ani się nie broni, rzuca cień na słuszne stanowisko oskarżyciela. W chytry sposób, nie ruszywszy się z miejsca, dokonuje zamachu na moralną wyższość tamtego, wystawiając jego racjom milczący znak zapytania. Oskarżyciel nie pragnie pognębienia oskarżonego. On płonie tylko czystą, bezinteresowną żądzą ukazania własnej słuszności w całym należnym jej blasku. I właśnie ta bezintere-

sowna i nieprzeparta żądza pokazania własnej słuszności zmusza go do piętrzenia dowodów winy za wszelką cenę.

Ponadto — upływały dwa tygodnie naszej kwarantanny, a dowództwo żadnym znakiem nie przyznawało się do nas. Zapas goryczy w mym sercu wystarczał do zatopienia nie jednego, ale wszystkich gawronów żyjących w okolicy. Z powyższych powodów Jurek usłyszał ode mnie, że jest dekownikiem, bo chociaż ani ja, ani Irma nie uważamy siebie za bohaterki, ale na jego miejscu nie czekałybyśmy, aż nas znajdzie rozkaz, ale same wyszłybyśmy mu naprzeciw, co właśnie mamy zamiar w najbliższych dniach uczynić. Oczywiście, Jurek może nadal tu siedzieć, pieścić się z gawronem, zjadać Bronkowe ziemniaki. Każdy żołnierz AK odpowiada przed własnym poczuciem godności ze swojej żołnierskiej postawy.

W trakcie tych dogłębnych pouczeń, rzucanych w pobladłą twarz Jurka i błagające o litość oczy Irmy, błysnęło mi w głowie: „Gdyby Jurek był mój, a Irma by go tak obrażała, jak teraz ja — zabiłabym ją chyba". Poczułam lekceważenie i wzgardę dla obojga. Ponieważ Jurek nie był mój, tylko Irmy, należało im się wysłuchać oskarżeń do końca.

Zarzuty były zresztą wyssane z palca. Bezspornym natomiast był fakt, że w konflikcie o gniazdo Jurek trzymał stronę gawrona. Gdyby okazał gotowość do odwołania tej obrażającej nas komitywy, sprawa wzięłaby inny obrót.

Wyczerpana zamilkłam. Jurek poprosił spokojnie o igłę z nitką. Irma podała ją zgnębiona. Ja, zwycięska i niespokojna, usiadłam przy stole. Niedozwolone chwyty, których obficie użyłam, odbijały się brakiem zaufania w mojej psychice. Nie mogłam już nikomu ufać. Ani Jurkowi, bo był spokojny i jego milczenie

budziło mój niepokój, że przegrałam, ani Irmie, która nie sprzeciwiała się, ale też i nie poparła żadnym słowem. Odczułam w pełni zmęczenie i gorycz człowieka, którego obezwładniło zwycięstwo.

Wieczór minął w milczeniu. Jurek, spuściwszy nisko głowę, zszywał podartą kurtkę. Pomarańczowe światło lampy dawało złudzenie ciepłej harmonii, panującej w izbie. Jurek wykorzystał do ostatka sytuację zwyciężonego, ażeby podkreślić swoje odosobnienie. Obrabiał kurtkę do późna w noc.

Rano Irma zagotowała ostatek kartofli w łupach, wysypała dymiące na stół i podzieliła równo na trzy części. Każdy wziął swoją i zaczął jeść. Jurek, patrząc nam wyzywająco w oczy, wpuścił trzy ziemniaki do kieszeni. Przeliczył się jednak z siłami. Ciemny rumieniec zabarwił mu policzki. Rzucił jeszcze spojrzenie na Irmę i sięgnął po czapkę.

— Nie siedźcie niepotrzebnie wieczorem — bąknął patrząc w podłogę. — Lepiej idźcie wcześnie spać. — Nałożył kurtkę i wyszedł.

Spojrzałam na Irmę. Była głupio i niepotrzebnie blada. Tymczasem Jurek karmił już na podwórzu swojego gawrona. Nadszedł Bronek.

Pogadali chwilę i ruszyli razem ku drodze.

Widziałyśmy ich przez okienko. Jurek wysoki, szeroki w ramionach, zbyt wybujały na swoje dwadzieścia lat. Ledwie mieścił się w ciasnej kurteczce. Czerwone wielkie dłonie wystawały z przykrótkich rękawów. Podstrzyżona ciemna głowa i opalona szyja, obrócone w skłonie ku Bronkowi, który dowodził coś gestykulując żywo, odbijały się ciemną, płaską plamą na wyiskrzonym tle.

Z tego spaceru Bronek powrócił do swoich po trzech latach, a Jurek nie powrócił wcale. W pamiętnym dniu przyłączyli się do miejscowej partyzantki BCh,

biorąc udział w akcji na wagony z odzieżą dla niemieckich żołnierzy. Akcja powiodła się szczęśliwie. Spalono duże ilości mundurów, gaci i koców z pokrzywy. Naszych padło sześciu.

Czekałyśmy na Jurka cztery dni, kryjąc jedna przed drugą lęk. O akcji głośno było w miasteczku. Ostatnie słowa Jurka o „niepotrzebnym siedzeniu wieczorem" rzucały złowieszczy cień na wesoły abażur. Piątego dnia Irma, rzuciwszy mi rozpaczliwe spojrzenie zapłakanych oczu, poszła na ganek do gawrona. Siedział nastroszony na poręczy, niczym zgorzkniały odludek. Znikła gdzieś jego zapalczywość, natręctwo i upór. Dziobnął niedbale ciepły ziemniak, przełknął okruch, jakby chcąc tym Irmie zrobić przyjemność, i podniósłszy łebek do góry zamyślił się. Czekałyśmy z zapartym oddechem. Strzepnął skrzydłami i spojrzał ku nam wypukłym oczkiem. Irma wyciągnęła drżącą rękę. Uchylił się od pogłaskania spokojnie, ale stanowczo. Był nieprzeciętną indywidualnością pośród gawronów, czego ja w zaślepieniu pychy nie chciałam widzieć.

Irma z zastygłą w powietrzu ręką stała bez ruchu. Ptak patrzał na nią jednym okiem. Przypomniała mi się płaskorzeźba z dziewczyną i krogulcem. Dziewczyna unieruchomiona w kamieniu żyła dzięki bolesności wyrazu. W wizerunku krogulca była mądrość i spokój wobec bezsilnych wysiłków ludzkiego życia.

Irma westchnęła, odwróciła się od poręczy. Gawron zerwał się i popłynął na drzewo. Jeszcze przez kilka dni Irma wychodziła na ganek niosąc ziemniaki, które gawron raczył przyjmować z wyższością świadczącą o znudzeniu. Po tygodniu znikł nieodwołalnie i bez śladu. Nie czuł się na siłach znosić nadal naszego towarzystwa. Wraz ze zniknięciem gawrona odeszła nas wiara w możliwość powrotu Jurka.

3

Gdy w 1953 roku spotkałyśmy się ponownie z Bronkiem, dawny zwiastun Dobrej Nowiny przemienił się w spoconego, łysego urzędnika Urzędu Likwidacyjnego nieruchomości poniemieckich. W kompetencji dzielnego gajowego partyzanta leżały teraz nie wyszabrowane jeszcze stare tapczany, „nakasliki" i zapluskwione trzcinowe fotele. Ożenił się, miał trudne życie i utrzymując liczną rodzinę zdawał się nie mieć nic wspólnego z pucołowatym żołnierzem w baranim kożuszku, który ongiś chodził w BCh z bronią po lesie i zabijał hitlerowców.

Po ogólnych wspominkach rozmowa zeszła na osobę Jurka. Irma, wpatrując się znużonymi oczami w łysego urzędniczka, poprosiła, ażeby opowiedział coś z przeżyć partyzanckich, które mieli z Jurkiem...

— To chyba opowiem wam tę przygodę z gawronem w 40 roku — odrzekł młodniejąc w miarę, jak mówił. — Siedzieliśmy razem z Jurkiem w więzieniu w Rzeszowie. Chodziło o kradzież kilkudziesięciu par niemieckich butów wojskowych z magazynu. Więzienie w Rzeszowie to był kiedyś pałac, a potem siedziba sądu. Była późna jesień, z przymrozkami. To pamiętam dokładnie. Siedzieliśmy z Jurkiem w celi na drugim piętrze razem z dwoma starymi kryminalistami i nudziliśmy się jak cholera. Pod oknami był dziedziniec, po którym chodziły straże. Grunt opadał w dół, niżej umieszczony był mur, który wystawał ponad poziom dziedzińca. Za murem park, a w każdym razie drzewa.

Pod ten mur przychodziły rodziny, które chciały dowiedzieć się czegoś o uwięzionych. Pomiędzy aresztantami a tamtymi, którzy czekali pod murem, istniała komunikacja powietrzna. Więźniowie pisali grypsy i ugniatali w kulkę z chlebem. Kto miał wprawę,

a umiał dobrze się zamachnąć, tak żeby jego kulka nie zaczepiła o kraty, ten wygrywał. Kulka przelatywała ponad dziedzińcem i lądowała akurat tam, gdzie trzeba było. Ci, którzy znali dobrze tę sztukę, wyręczali młodszych, każąc sobie dobrze za to płacić. Jurek wiedział, że jego matka przyjechała do Rzeszowa i czeka pod murem na gryps. Zaczął ćwiczyć się w rzucaniu, ale nic z tego nie wychodziło. Za każdym razem trafiał w kratę. Jeden z tamtych opryszków, którzy siedzieli z nami, pokazał mu, jak to się robi. Boże święty! to był piękny rzut. Kulka przeszła okieneczkiem pomiędzy kraty, ponad całym dziedzińcem, i spadła za mur. Zawarli umowę. Za dwie dzienne porcje chleba Jurkowy gryps dostanie się na świat tak, jakby przeniósł go pocztowy gołąb. Jurek napisał kartkę, tamten zagniótł ją w kulce chleba wielkości włoskiego orzecha, stanął pod ścianą naprzeciwko okna, przeżegnał się, zamachnął i — pac!

Kulka poszła jak jaskółka, uderzyła brzeżkiem o kratę, z rozpędu wyszła na zewnątrz i tu zaczęła pionowo spadać w dół, wzdłuż muru, powiewając grypsikiem jak chorągiewką, która trzymała się resztek pokruszonego chleba. Rzuciliśmy się do kraty patrzeć. Zdążyliśmy akurat zobaczyć na dole hełm i buty żandarma, które biegły co tchu w to miejsce, gdzie spadła nasza przesyłka lotnicza. Żandarm już sięgnął po nią, ale gawron był szybszy. Spadł pod nogi Niemca, porwał kulkę w dziób i odpłynął. Widzieliśmy, jak siadał na jednym z drzew, które rosły za murem. Ten gawron to musiał być prawdziwy rzeszowiak. Chleb połknął, a grypsikowi pozwolił opaść na ziemię.

Potem, kiedy nas wykupili z więzienia, okazało się, że gryps dotarł do rąk matki Jurka. Gawronowi to zawdzięczał. Różne hece zdarzały się człowiekowi, ale ta,

powiem, najsilniej utkwiła mi w pamięci. To była naprawdę ładna historia i szkoda byłoby ją zapomnieć.

Po odejściu Bronka siedziałyśmy z Irmą w milczeniu. Pomarańczowy abażur nasycał pokój ciepłym światłem. W kręgu palącej się lampy, spuściwszy ciemną głowę, siedział Jurek zszywając podartą kurtkę. A potem przeciął zębami nitkę, podniósł się i posłuszny milczącemu skinieniu losu, który czekał za progiem — odchodził od nas w noc. Przed odejściem rzucał gawronowi garść rozgotowanych ziemniaków. Może tym gestem chciał uczcić przyjazne siły życia? Może pragnął zaskarbić sobie ich przychylność i jak niegdyś w więzieniu w Rzeszowie uzyskać łaskawą a niepojętą odmianę przeznaczenia? Miał dwadzieścia lat i przygoda z gawronem była najpiękniejszym ze starożytnych mitów, jaki miał czas przeżyć.

A może czarny ptak, umykający po śniegu, był dla niego symbolem otwierającym skarbiec tych mocy w przyrodzie, które mogą wesprzeć wątłą odwagę człowieka, pożywić serce, rozjaśnić nadzieję?

Jego rumieniec, gdy został zdybany na karmieniu gawrona, był dowodem pięknej, męskiej odwagi w przyznaniu się do lęku i do nadziei. Bo na pewno nie była to tylko uboga i prostolinijna wdzięczność podana w ziemniakach w zamian za doznaną niegdyś przysługę od jednego z gawronów.

Uczyniwszy czar przymierza z łaskawymi mocami życia, Jurek odchodził spokojnie ku płomiennemu celowi, który go był wybrał sobie tak, jak wybierał ich wszystkich — mądrych i głupich, małych i wielkich, wspaniałych i tchórzliwych. Wszyscy oni zostali wezwani przez nadludzki cel przerażający siły jednych, porywający drugich. W spieszonych, leśnych kolumnach Jurek był gdzieś tam na boku, w którymś z kolei rzędzie. Wystające z przykrótkich rękawów duże czer-

wone ręce starał się ukryć przed natarczywością mrozu. Widzimy go biegnącego z karabinem w dłoni do ognistego węzła walki. Przez szacunek dla ludzkiego wysiłku, wzruszenia i napięcia nie będziemy mu wypominać, że w tym ognistym jęzorze, który wessie Jurka i strawi, nie płonie most ani zapas amunicji (o czym tak pięknie jest potem pisać w powieściach) — tylko pokrzywowe gacie, onucki żołnierskie i koce. Zapewne Jurek biegnąc nie myśli o tym, że akcja, w której bierze tak poważny udział, przysporzy kłopotów intendenturze Wermachtu i jakaś maleńka cząsteczka armii niemieckiej ucierpi gorzej w łydki i pośladki od mrozu.

On w tej chwili wyrwał się ze swego przeznaczenia, które kazało mu rąbać drwa i jeść w stodołach cudze ziemniaki. Cały jest sprężony biegiem i skokiem. Jeszcze chwila, zanim wpadnie w ogień i będzie prawie nieśmiertelny jak grecki dyskobol. U jego głowy, ponad ramieniem, jak czarna pieśń i chrapliwy krzyk zwycięstwa łopoce gawron.

Luty, 1958 r.

Idylla

W lecie 45 roku Anna otrzymała z Austrii list od bratanicy, donoszący o rychłym jej przyjeździe do ojczyzny. Zwięzłą treść listu wzbogacała znakomicie wzmianka z postscriptum o dwóch kufrach zawierających „skromny bagaż osobisty" Ireny. Anna była w ciężkich opałach finansowych i przyjazd kuzynki wyposażonej w dobra Austrii wzbudził w niej nadzieję na szczęśliwszą odmianę niewesołej sytuacji. Zwierzywszy się sąsiadom z radosnej wieści, zabrała się ochoczo do odświeżania mieszkania, które ubóstwem wyglądu mogłoby zrazić Irenę. Zaciągnąwszy więc kilka pożyczek na konto przyjazdu „Austriaczki", zakupiła firanki do okien, chodnik szmaciany przeniosła do kuchni, kładąc na jego miejsce pluszowy, poleciła tapicerowi naprawić tapczan, wzięła na raty narzutę i kilim, a ozdobiwszy pokój kilkoma zbytecznymi przedmiotami, zaczęła wyglądać przybycia bratanicy.

Przez pierwsze dziesięć dni zakupowała codziennie świeże kwiatki do flakonu i dwa razy dziennie odkurzała w mieszkaniu graciki. W wyniku tych zmian nastąpiło gwałtowne oziębienie stosunków z sąsiadami, którzy zazdroszcząc Annie bliskiej zmiany losu, pozwalali sobie głośno wyrażać domysły na temat pochodzenia bogactw „Austriaczki".

Anna odrzucała insynuację z oburzeniem i pokłóciwszy się z oszczercami, w Bogu złożyła nadzieję na szybki przyjazd Ireny.

Minęło kilka dalszych tygodni. Zarobione z trudem pieniądze szły na pokrycie zaciągniętych długów. Anna zaniechała kupowania kwiatków. Po dwóch miesiącach w obawie przed molami zdjęła ze ściany kilim, zwinęła nowy chodnik pluszowy, kładąc na jego miejsce stary, a na zgryźliwe pytania sąsiadów, czy zapowiedziany gość już przyjechał, odwracała głowę udając, że nie słyszy. Gdy przeszły trzy miesiące, Anna zacięła się w gniewnym milczeniu.

Pewnego dnia, wróciwszy z zakupów do mieszkania, ujrzała w kuchni zniszczoną walizę. Z krzesła podniosła się szczupła dziewczyna i postępując ku osłupiałej, rzekła serdecznie proszącym tonem:

— Dzień dobry, ciociu. Czy ciocia mnie przyjmie?

Wymieniły kilkanaście uścisków, zapytań i wykrzykników. Anna podała herbatę i zerkając na tandetną sukienkę oraz niewymyślne sandały podróżniczki zauważyła od niechcenia:

— Ubrałaś się praktycznie do podróży. To dobrze. W czasie takiej jazdy ubranie bardzo się niszczy.

— Wszystko, co miałam, zapakowałam do dwóch kufrów i czterech waliz — rzekła Irena z westchnieniem. — Bagaż jak na całą rodzinę. Szofer, który ładował go do auta, śmiał się, że pół Austrii chcę wywieźć.

Anna, której świtały już w głowie pewne niedobre podejrzenia w związku z lichym wyglądem Ireny, nabrała otuchy:

— A nie bałaś się zostawić tego wszystkiego w przechowalni? Masz ty pojęcie, jak dzisiaj kradną?

Irena roześmiała się beztrosko:

— Mnie już nic ukraść nie mogą. Ach, gdybyś wiedziała, ciociu, co zapakowałam do kufrów! Posłuchaj tylko: dwa zamszowe płaszcze, jeden skórzany, pelisę, krótkie futerko, dwanaście par butów, dwa aparaty fotograficzne, radio, bieliznę, sześć kuponów i inne

głupstwa. Dla cioci cudowny pled angielski, sweter i srebrnego lisa...

Anna, uścisnąwszy gorąco Irenę, spytała wzruszona:

— Ale że pozwolono ci to zabrać? Podobno robią przeszkody i celnicy odbierają w pociągu. Szczęście, że mogłaś wywieźć wszystko.

— Ostatni rok pracowałam w Czerwonym Krzyżu, miałam dużo znajomości i zdobyłam specjalne zezwolenie od władz.

— Ach, tak! Więc pracowałaś w Czerwonym Krzyżu... — podchwyciła stara panna z ulgą. — I jak ci tam było?

— Musisz, ciociu, wysłuchać wszystkiego od początku, bo inaczej ciężko ci będzie zrozumieć.

I młoda podróżniczka zaczęła opowiadać:

— ...Koniec wojny zastał mnie w miasteczku koło Linz. Miasto zajęli Amerykanie, ale już się mówiło o tym, że Linz będzie oddane Rosjanom. W miasteczku była grupa Polaków zdecydowanych na powrót do kraju. Udało się nam zdobyć dwie ciężarówki. Zamierzaliśmy jechać do Pragi i tam dołączyć do większej grupy repatriantów. Dotarliśmy do Linz. Na ulicach pełno było wojska, uciekinierów z obozu, podróżnych i wszelakiej zbieraniny. Słychać było język angielski, rosyjski, niemiecki, słowacki, polski — panował wielki ruch, jakby całe Linz zamieniło się w jeden wielki dworzec.

Nasza ciężarówka opuszczała przedmieście Linzu, kiedy podjechał do nas jeep z trzema drabami w skombinowanych mundurach, podszywających się pod mundury amerykańskie. Zatrzymali szofera naszego auta, dwóch wskoczyło do ciężarówki i zabrało się do rewidowania podróżnych. Mój pierścień z brylantem był trochę ciasny. Opluli mi cały palec, zanim

zdołali go ściągnąć. Cały mój bagaż i walizki sąsiadów wylądowały w jeepie.

Na ostatek usłyszałam: „auf wiedersehen" w złej niemczyźnie i wraz z odjazdem jeepa postradałam nadzieję ujrzenia czegokolwiek z moich rzeczy. Wysiadłam z wozu, gdzie podróżni zastanawiali się gorączkowo, co dalej robić, i na piechotę powróciłam do śródmieścia. Weszłam do najbliższej komendy wojsk amerykańskich i zgłosiłam dyżurnemu podoficerowi o rabunku, którego padłam ofiarą.

Po chwili stałam przed biurkiem, za którym siedział młody blondyn z zadartym nosem, w randze kapitana. Prócz niego był jeszcze drugi oficer i tłumacz, bo kapitan znał słabo niemiecki, a ja nie dość biegle angielski. Gratulowałam sobie, że zapamiętałam numer jeepa, jako że nie przyszło mi do głowy, iż numer mógł być fałszywy. Pewna, że przyglądający mi się uważnie blondyn z zadartym nosem zarządzi pościg, w wyniku którego odzyskam bagaż, nabrałam otuchy.

Gdy skończyłam mówić, tłumacz porozumiawszy się z oficerami podsunął mi angielski tekst.

— Podpiszcie oświadczenie, że okradli was uciekinierzy i że zwracacie się o pomoc do komendy wojsk amerykańskich.

— Kiedy odzyskam bagaż?

Wzruszył ramionami.

— Podobnych spraw mamy po kilka dziennie.

Podpisałam. Tłumacz bez słowa zabrał pismo i wraz z drugim oficerem wyszedł z pokoju. Zostałam w nim tylko ja i kapitan, który przyglądał mi się bez słowa. W kancelarii było cicho, stałam przed biurkiem i ogarniała mnie coraz większa złość i rozczarowanie.

Kapitan wstał, włożył czapkę, rękawiczki i otworzywszy szeroko drzwi, gestem polecił mi wyjść. Rozgoryczona ruszyłam za nim. Przed budynkiem stała

duża odkryta limuzyna. Kapitan zajął miejsce koło szofera i znowu gestem, bez słowa, nakazał mi usiąść w tyle.

Auto ruszyło, a ja, unoszona na poduszkach, poczułam się dumna ze swej przygody. Ostatecznie nie każdemu się zdarza w przeciągu paru chwil stracić cały swój majątek osobisty i wylądować w limuzynie alianckiego oficera. Jak na początek było to wcale nieźle. Gdyby nie żal z powodu straty, czułabym się jak najbardziej o key!

Niedługo byliśmy w śródmieściu. Szofer podjechał do chodnika, gdzie szedł starszy pan z walizką w ręce. Wóz stanął, szofer otworzył drzwiczki, a kapitan w jednym zdaniu, popartym rozkazującym gestem, polecił mężczyźnie złożyć walizkę w aucie...

Nie pamiętam, ile czasu trwała ta zabawa. W każdym razie jeszcze z pięć czy siedem razy podjeżdżaliśmy do nieświadomych niczego przechodniów, spieszących z walizkami. Ach, mówię cioci, trzeba było widzieć ich miny — zbaraniałe, czerwone od irytacji, osłupiałe, przerażone — no i to majestatyczne skinienie kapitana dłonią w rękawiczce, gdy salutował obrabowanym. I ten imponujący wóz odjeżdżający sprzed nosa oszołomionej ofiary. W mieście trwał jeszcze wojenny bałagan i nikomu z poszkodowanych nie śniło się zaprotestować.

Dusząc się ze śmiechu, odetchnęłam z ulgą, gdy wóz, nie mogąc już pomieścić więcej waliz, opuścił Linz i ruszyliśmy w stronę miasteczka. Zapadł zmierzch, jechaliśmy zadrzewioną aleją, po obu stronach rozpościerała się willowa dzielnica. Nie dbałam ani trochę, dokąd jadę i po co? Świat wirował, a ja kręciłam się razem z nim. To było upajające i tylko myśl o moich kufrach mąciła mi błogi nastrój. Było cudownie czuć się unoszoną przez pęd i nie troszczyć

się o resztę. Toteż drżałam z podniecenia i ciekawości, jak gdyby za chwilę miały się przede mną otworzyć drzwi na salę pełną muzyki i tańczących par.

Auto zatrzymało się przed furtką. Za siatką w głębi ogrodu przebłyskiwała kremowa willa. Właśnie zapaliły się lampy uliczne i cała scena ożyła jak obraz na ekranie. Pusta ulica, czarny samochód, furtka, no i nas dwoje.

Oficer wyskoczył z auta, otworzył drzwiczki i pomógł mi wydostać się spomiędzy waliz. Potem otworzył furtkę kluczem, który wyjął z kieszeni. Weszliśmy do ogrodu i trzymając się za ręce poszliśmy przed siebie.

Ciociu, to właśnie była bajka... ta willa, śliczna jak cacko, cicha i błyszcząca w mroku czarnymi szybami. Tam nie było nikogo. My pierwsi mieliśmy dopiero wejść do tajemniczego pałacyku. Ogród miał mnóstwo pachnących klombów i długie aleje, które ginęły w zmierzchu. Miałam świadomość, że to, co przeżywam, jest prawdziwym romansem jak w książce, że podobna bajka zdarza się w życiu tylko raz i, czy ciocia uwierzy? w tamtej chwili nie żałowałam wcale utraconego bagażu.

Wchodząc na schody, spojrzałam w twarz kapitana. Uśmiechnęliśmy się jedno do drugiego. Lekko uścisnął moją rękę i wtedy, ciocia rozumie, wtedy uprzytomniłam sobie, że w tym ślicznym pałacyku nie będę sama. Nie byłam świętoszkiem i nie miałam nic przeciwko takiej miłości, która by rzuciła mego partnera przede mną na kolana. Oczami duszy widziałam siebie na tapczanie, przy którym stoi wazon z heliotropami czy innymi kwiatami w tym guście. Z dreszczykiem pomyślałam, że gdy znajdziemy się sam na sam, będzie usiłował mnie pocałować. Sprawa o tyle się komplikowała, że nie był zupełnie typem, który by mi się

podobał, a znów byłoby czystą głupotą odtrącać taką znajomość. Ponadto byłam ciekawa, czy Amerykanie naprawdę są tak brutalni, jak o nich się opowiada, i zdecydowałam się odwlekać punkt kulminacyjny przygody jak długo się da. Przeczuwałam, że oficer szybko się zadurzy, będzie topił nieszczęśliwą miłość w whisky, zechce obsypywać mnie kosztownościami (nie miałabym nic przeciwko temu, gdyby to mogło obywać się bez rewanżu z mej strony!), a natomiast ja, na skutek ironii losu, zakocham się w jego adiutancie albo przyjacielu, który powinien być brunetem w moim typie, wysokim, opalonym na brąz, o białych zębach i bezczelnie miłym uśmiechu.

Zanim zdążyłam sobie to wszystko wyobrazić, znaleźliśmy się w szykownie urządzonym jakby saloniku z tapczanem na środku. Był tam wspaniały dywan, bufet, kryształy, olejne landszafty i takie tam różne cuda.

Stałam niezdecydowana, rozglądając się niczym tłumok ze wsi po pałacu, czując się jakoś głupio, niezręcznie i już z całego serca żałując, że dałam się w to wciągnąć. Kapitan stał przede mną, z rękoma w tyle, bez słowa mi się przyglądając. Rzucił czapkę na tapczan, podszedł do mnie i popchnął na fotel.

Opadłam na siedzenie i zamykając oczy i zaciskając zęby pomyślałam z pasją:

„Dobrze mi tak. Teraz trzeba będzie płacić za walizki". I nie wiem dlaczego, zaczęłam w myśli liczyć, ile ich w aucie było.

Ponieważ nic się dalej nie działo, otworzyłam oczy i westchnęłam. Kapitan siedział naprzeciwko w fotelu, spokojnie na mnie patrząc. Wstał, zgasił papierosa, podszedł i podniósł mi palcem brodę.

— Ruhig, gut? nicht weinen — powiedział. Wyszedł i zaraz powrócił.

Za nim weszła z miednicą wody jasnowłosa, pulchna, młoda kobieta w batystowym fartuszku pokojówki. Zamieniłyśmy spojrzenia i coś takiego pomiędzy nami zapadło, jakbyśmy znały się od urodzenia i nienawidziły się od pierwszej chwili. Ona to była Niemka z Bawarii, prawowita właścicielka tej willi, jej mąż, bogaty fabrykant wina, uciekł przed armią do Szwajcarii. Dlaczego Erika została? — Bóg to raczy wiedzieć. Może skorzystała z okazji uwolnienia się od starego męża (widziałam jego fotografię — łysy i gruby), może żal jej było opuszczać pałacyk? Może liczyła, że swoimi wdziękami ocali majątek od rozgrabienia? W każdym razie, jeśli spodziewała się szczęśliwszej zmiany losu, umiejętnie to kryła. Na razie była pokojówką u kapitana, a przybłęda miała zająć miejsce pierwszej damy w willi. Rozumiałam, ciociu, przykre położenie Eriki i żeby się od niej odczepić, chętnie byłabym zrezygnowała z jej posług, ale tego znowu ona nie chciała, bojąc się kapitana, który zlecił jej opiekę nad moją osobą. Z tych względów narzucała mi się ze swymi grzecznościami, nazbyt wymuszonymi, ażeby mogły sprawiać przyjemność.

Teraz, nie zważając na moje protesty, ściągnęła mi z nóg pończochy i pantofle, wrzuciła mydło do wody i narobiła w miednicy mnóstwo piany. Oficer, ściągnąwszy z siebie marynarkę, zawinął rękawy od koszuli. Kazano mi włożyć nogi do wody. Erika czuwała z boku z rozłożonym ręcznikiem. Nikt się nie śmiał, jak gdyby to były przygotowania do operacji. Kapitan z powagą przystąpił do mnie i zabrał się do masowania mojej głowy. Proszę wyobrazić sobie tak idiotyczną sytuację! Gdy ja czyniłam wysiłek usiłując oswoić się z tym, co mnie dalej czeka, oficer jak gdyby nigdy nic masował mi głowę, zmuszając mnie do siedzenia z nogami w miednicy. Sytuacja wyglądała haniebnie głupio, ale

jej skutek był znakomity! Całe znużenie i naprężenie nerwowe przeszło po chwili, jakby wsiąknęło w mydliny. Czułam się świetnie. Mogłabym była wstawszy z krzesła iść natychmiast na dansing i przetańczyć całą noc bez zmęczenia.

Polecam ci, ciociu, ten środek. W dobrze ciepłych mydlinach zanurzyć nogi, masaż głowy od skroni do czoła, a wszelka migrena odchodzi, jak ręką odjął. Myślę, że obejdzie się nawet bez zagranicznego mydła. Wystarczy krajowe.

Erika wytarła mi do sucha nogi, posprzątała, potem zaścieliła tapczan do spania, przysuwając do niego stolik; postawiła na nim whisky, butelkę soku pomarańczowego, kieliszki i biszkopty. Zapaliła boczne światło i nastawiła radio na lekką muzykę. Podchwyciłam jej spojrzenie skierowane na mnie. Takim wzrokiem nie patrzy się nawet na brudnego pudla, przywleczonego z ulicy. To było rozbrajające, za kogo ona mnie uważała... Gdyby nie obecność kapitana, byłabym pokazała małpie język...

Za chwilę jedliśmy kolację. Potem on, nie spiesząc się, obierał jabłko, a ja ze zdziwieniem przyglądałam się mężczyźnie, którego dwie godziny temu jeszcze wcale nie znałam i z którym miałam spędzić noc. Nie byłam już dzieckiem, nie kochałam nikogo. Aliancki oficer nie wzbudzał we mnie wstrętu, ale był mi tak zdecydowanie obojętny, że musiałam się zmuszać, ażeby nie ziewać patrząc na niego. Dotychczas zachowywał się jak gentleman, ale w jego spokoju było coś podejrzanego. Unikał patrzenia na mnie; zauważyłam, że ręce trzymające jabłko i nożyk drżą lekko. Mnie zresztą też drżały; zaciskałam w zdenerwowaniu zęby i mówiłam sobie w duchu, że jeśli coś ma nastąpić, to niech następuje zaraz, byle prędko, i żeby już jak najprędzej było po wszystkim.

Nastrój był, można powiedzieć, szalenie wytworny i odpowiedni do zmysłowej sytuacji. Za oknami noc. Sami w przytulnym saloniku. On młody, przedstawiciel zwycięskiej armii i raczej sympatyczny. Ja też do rzeczy. Bladopomarańczowe światło nakrywało przedmioty ciepłym abażurem. Duża kolorowa ćma krążyła wokół lampy i falowała melodia argentyńskiego tanga. Jednym słowem: szał w bombonierce. Wszystko to mogło być podniecające, a ja siedziałam zimna, zimna jak wiadro lodu. Ani śladu uniesienia, które mną owładnęło, gdy wstępowałam na stopnie willi. Przyglądałam się memu rycerzowi — a mówiąc ściślej: zdobywcy cudzych walizek, i widziałam go bez obsłonek takim, jakim był: jasny blondyn, chłopięca uroda, gdy ja przepadam za męską; skłonność do czerwienienia się i nerwowego zagryzania ust. Do tego nos bardziej zadarty, niżby mieć wypadało. Mówiąc krótko — nie wzbudzał we mnie żadnego zainteresowania. Czułam narastającą wzgardę, ponieważ w mojej przygodzie nie zaprezentował nic romantycznego. Pościg za walizami, potem masaż, mycie nóg i — spać. Jeśli tak miała wyglądać amerykańska miłość, to już wolałabym naszą — środkowo-europejską.

Westchnęłam. Musiał opacznie zrozumieć moje rozczarowanie, bo zaraz wstał, przyciągnął mnie do siebie, wskazał palcem i spytał:

— Name?

— Irena...

— Ach so... Irena... — Ich Toni — i przyciągając mnie jeszcze silniej, wymamrotał:

— Irena haben keine Angst. Toni hat keine d i n k s. Nicht machen b a b y.

Pocałował mnie silnie w usta. Oboje przewróciliśmy się na tapczan. Nie wypuszczając mnie z ramion, Tonio oparł policzek o mój, objął silniej i zaraz zasnął.

Chciałam się uwolnić z jego ramion, ale było mi tak miękko, ciepło, Tonio trzymał mnie tak mocno, czułam się jak w braterskim uścisku. Zasnęłam.

Otworzywszy oczy, nie poznałam, gdzie się znajduję. Leżałam w pościeli, na szerokim tapczanie, w zachwycającej nocnej koszuli, która nie była moją. Błądząc oczami po przedmiotach, szukałam w pamięci ubiegłego wieczoru, gdy do rzeczywistości przywołało mnie stukanie w ścianę. To wołał Tonio, umyślnie przekręcając wyrazy i kalecząc język niemiecki:

— Gut Morgen, Irena! Toni hat keine b a b y gemacht. Toni ist ganz o key!

Wybuchnęłam śmiechem. Uchyliły się ostrożnie drzwi i stanął w nich Tonio w pidżamie, schludny, szczupły, czyściutki, po kąpieli... I znowu zamiast tego, czego się spodziewałam, rzucił gąbką w moją stronę, wołając po angielsku:

— Wstawaj, leniu!

Tak się to zaczęło.

Powinnam była czuć się szczęśliwa i może byłam nią przez pierwsze dni... Erika odnosiła się do mnie z uległym szacunkiem niewolnicy przydzielonej do posług osobistych zdobycznej żonie wodza. Park był zachwycający, jedzenie wyśmienite. Leżałam na szezlongu w jedwabnym szlafroku Eriki i przewracałam strony kolorowych amerykańskich magazynów. Tonio wpadał dwa razy dziennie, rzucał mi na kolana pudełka czekoladek, ilustrowane „Official police cases", pornograficzne magazyny, klepał po łopatce, wołał, że wyglądam „o key" i gwizdnąwszy na psa, szedł bawić się z nim do ogrodu. Tańczyliśmy, graliśmy w piłkę albo rozwiązywaliśmy krzyżówki. Scena z pierwszego wieczoru, kiedy tak błogo zasnęłam w jego objęciach, już się nie powtórzyła. Z dnia na dzień czułam się coraz bardziej nieswojo. Było coś nienaturalnego w tej kole-

żeńskiej hałaśliwości, z jaką Tonio witał mnie i żegnał. Krępowało mnie, gdy patrzał na mnie, sądząc, że tego nie widzę. Nieraz wolałabym, żeby sobie poszedł, a gdy go brakowało, rozczulałam się nad sobą żałując, że jestem sama i nie ma nikogo, kto by mnie bodaj przytulił.

Denerwowało mnie, że sprawa — jakby to powiedzieć — nie posuwa się naprzód. Powinna była się posuwać, ponieważ to należało do reguł przygody wojennej. Oczywiście w moich marzeniach nie zrezygnowałam z szałowego bruneta, który pewnego dnia pojawi się w ogrodzie, stanie przy moim boku i pochyliwszy nade mną swą smukłą sylwetkę w mundurze majora, powie miażdżąc mnie w ramionach i spalając moje usta w płomiennych pocałunkach: „I am mad of jou". Wyznanie miłości po angielsku wydawało mi się bardziej wytworne od oświadczyn w języku niemieckim. Ale skoro pożądany brunet się nie zjawiał, nie miałam nic przeciwko temu, ażeby Tonio wszedł w jego rolę, popadając w nieodwzajemnioną miłość do mej osoby i próbując ze mną bodaj flirtować. Stopniowo doszłam do przekonania, że schludny Tonio z zadartym nosem wystrychnął mnie na dudka. Nie nastąpiło nic z tego, o co każdy szanujący kobietę gentleman postarałby się, będąc na jego miejscu. Nic, literalnie nic. Ani odrobiny, nie większej od listka, jakiegoś flirciku. Żadnego zalecania się, żadnych prób zbliżenia, które jeszcze są niewinne, a już elektryzują duszę i ciało. Gdyby chociaż Tonio okazał się tym brutalem, którego tak pociągająco opisują romanse. Skąd! Tonio nie trzymał nóg na stole, nie pluł, nie przylepiał sobie amerykańskiej gumy do różnych części ciała; zamiast żłopać whisky, pił normalnie, ale się nie upijał; nie był ani tak głupi, ani tak patologiczny, ani tak wyuzdany, jak można było się spodziewać, nasłuchawszy się przez lata

ubiegłe opowiadań pań z towarzystwa współpracujących z armią aliancką. Pod innym natomiast względem był nie do zniesienia. Ilekroć nastrój stawał się taki, jakim być powinien, gdy dwoje młodych ludzi znajdzie się razem, Tonio natychmiast przechodził z angielskiego języka na swój okropny żargon niemiecki, jakby lubował się w idiotyzmach językowych, które najbardziej romantyczną sytuację obracały w pocieszną hecę usposabiającą do śmiechu.

Niech ciocia powie, cóż za pociecha z mężczyzny, który nie jest ani brutalem, ani amantem? Ani nie pożąda dziewczyny, ani nią nie pogardza? Nie ma ochoty być bohaterem z romansu i więcej interesuje się swoim psem niż ładną partnerką, którą nie wiadomo po co sprowadził pod swój dach? Po dwóch takich tygodniach pobytu w willi — zapowiadający się na początku jako radosny, długi — weekend obrzydł mi do cna. Nonszalancja Tonia i faryzejska uprzejmość Eriki działały mi na nerwy.

Proszę mi wierzyć. Nie pragnęłam roli wampa ani tym bardziej kurtyzany. Ale odrobina flirtu i normalnej męskiej zaczepności ze strony Tonia byłaby jak najbardziej na miejscu. Nasze wieczory zyskałyby na uroku. Ranki byłyby mniej nudne. Weranda, ogród, spacery nabrałyby blasku. Wiedziałabym, że żyję, gdy tymczasem miałam uczucie, że jestem hodowaną pieczarką. Czułabym, że moje nogi i ramiona odzyskują swój ogólnoludzki cel, jakim jest pobudzenie mężczyzny do niemądrych rzeczy. Nie wiem, co by ciocia zrobiła na moim miejscu, gdyby za ścianą chodził, gwizdał, hałasował, bawił się z terierem, słuchał radia i pił whisky młody człowiek, całkiem sympatyczny mimo zadartego nosa, gdyby traktował ciocię jak lalkę z papieru, przychodził na kolację, po kolacji mówił:

„o key", gimnastykował się na tarasie i szedł do siebie jak gdyby nigdy nic?

Ironicznymi półsłówkami i przesadnym chłodem udało mi się oderwać jego uwagę od psa i zwrócić na mnie. Było to letniego popołudnia na tarasie, kiedy zapach ogrodu i słoneczne ciepło mogło przyprawić o zawrót głowy. Leżeliśmy w cieniu na szezlongach, mając pod ręką zapas sodowej wody.

— Dlaczego nic nie mówisz? — spytał.

— Chciałbyś, żebym mówiła na zawołanie?

— Nie jesteś zadowolona? — spytał mieszając jak zwykle wyrazy angielskie i niemieckie.

Wzruszyłam ramionami.

— Obojętne. I tak nie mam wyboru.

Spojrzał na mnie zakłopotany.

— Chciałabyś iść do kina?

— Jak ty chcesz — rzekłam lodowato.

Teraz zaniepokoił się naprawdę.

— Co się stało? Może Erika...

Ta niedomyślność i troskliwość podrażniły mnie do reszty.

— Ostatecznie i tak mało cię obchodzi, jak ja się czuję. Właściwie nie wiem, po co mnie trzymasz tutaj?

Zdaje się, że to go trochę ubodło. Siadł prosto i przyglądając mi się rzekł wolno:

— Nigdy nic nie mówiłaś, że jest ci to niemiłe. O co ci chodzi więc?

Chodziło mi całkiem o co innego. Jego męska obojętność irytowała mnie, ale zapytana rzekłam wymijająco:

— Do dziś nie wiem, co będzie z moim bagażem?

— Z jakim bagażem?

Zdziwione spojrzenie i ton szczerej niewinności rozjątrzyły mnie całkowicie.

— Oczywiście — wybuchnęłam. — Już nic nie pa-

miętasz. Złodzieje ukradli mi cały mój majątek, ty przyrzekłeś, że się tym zajmiesz (to nie była prawda, niczego mi nie przyrzekał, ale wtedy, gdy mówiłam, było mi wszystko jedno). Dla tych nieszczęsnych walizek znalazłam się tutaj...

Wstał, podszedł do skraju werandy i patrząc w ogród rzekł tak jakoś dziwnie:

— Więc to dla tych walizek poszłaś ze mną?

Nie rozumiałam, co mu się stało. Określenie: „poszłaś ze mną" było nietrafne i niedorzeczne. Po pierwsze: nie poszłam, tylko, jak ciocia pamięta, wsiadłam do auta, nie wiedząc, co z tego wyniknie, zbyt wtedy oszołomiona, ażeby móc się zastanawiać. Chyba Tonio nie był aż tak dziecinny, ażeby przypuszczać, że zakochałam się, gdy łowił walizki?

— Pewnie, że dla kufrów — rzekłam wyzywająco. — A dlaczegoż innego miałabym to zrobić?

— Wszystko w porządku — rzekł uprzejmie. — Tamten bagaż się nie znalazł, ale wszystkie walizki, które leżą w służbowym pokoju, należą do ciebie. Możesz je zabrać, oczywiście, razem z zawartością.

Zanim zdobyłam się na odpowiedź, weszła Erika oznajmiając, że szofer czeka. Tonio gwizdnął na psa i nie pożegnawszy się ze mną, wyjechał.

W służbówce, złożone jedna na drugiej, leżały walizki złowione w Linz. Zabrałam się do wertowania zawartości, pomagając sobie nożyczkami, gdy zamek nie chciał ustąpić. W największej, w której też i największe pokładałam nadzieje, ułożone jedna na drugiej spoczywały paczki kawy ersatz. W Linz kiepsko było z żywnością, ale ten zapas wystarczyłby mi na rok. W drugiej: brudna bielizna pościelowa przeznaczona do pralni. Wata na przerobienie kołdry. Dziesięć par przyniszczonego obuwia, nadającego się do zelowania. Bagaż podróżny jakiejś paniusi: flanelowe kafta-

niki, pled, kilka paczek dietetycznych sucharków, grzałka, termos. Walizka za walizką oglądałam swoje łupy i ogarniał mnie pusty śmiech. Bo też to była zdobycz: głowa od maszyny, dziecinne zabawki, płaszcz kąpielowy. Ponadto: zapas aluminiowych naczyń, używany męski prochowiec, kilkanaście kilogramów konserw „Horse meat", tarta bułka, mleko w proszku, ranne pantofle, hamak, ileś tam metrów chodnika. Pozostało mi jeszcze kilka waliz na spodzie, ale tych nie miałam już sił otwierać. Na myśl, co by powiedziała Erika widząc mnie grzebiącą się niczym łachmaniarz w śmietniku, odepchnąwszy rupieciarnię, pomknęłam do swego pokoju.

Przy kolacji Erika, sprzątając ze stołu, z obojętną miną zapytała, na jak długo Herr Hauptmann wyjechał? Byłam zbyt zaskoczona, żeby móc udać, że wiem coś o tym...

Jakże nudno wlokły się dni, odkąd zabrakło Tonia... Trudno nawet opisać, co to była za męka! Sama w pokojach, które zdążyłam znienawidzić. Duch pulchnej, pachnącej mydłem migdałowym Eriki unosił się nad nimi. Jej bystre oko znajdowało mnie, gdy właśnie najbardziej chciałam być sama. Jeden dzień podobny do drugiego jak kółka od serwetki. Śniadanie, Erika, kąpiel, Erika, ogród, Erika... można było oszaleć... Znałam już każdy kąt w domu, obejrzałam po kilkadziesiąt razy wszystkie klomby, ławki i altany w parku. Zresztą tzw. „pięknem przyrody" nigdy nie przejmowałam się zanadto, a ludzi roztkliwiających się nad wieczornymi chmurkami uważam za hipokrytów popisujących się urojoną wrażliwością.

W sypialni Tonia był telefon. Niestety, żadna ze znajomych mi osób nie odpowiadała na moje alarmy. W końcu odezwała się moja koleżanka, z którą niegdyś pracowałyśmy razem w biurze. Oględnie poinformo-

wałam ją o mojej sytuacji, wyjaśniając, że muszę wydostać się stąd do Pragi.

Ale Gerdy nie można było zbyć byle czym. Zarzuciła mnie pytaniami: „Czy przystojny, ile ma lat? Czy obiecuje się ożenić? Ile za mnie w lokalu płaci? Czy pije tak jak oni wszyscy?" Zdumiała się usłyszawszy, że nie przejrzałam jego papierów w portfelu i nie wiem, kim jest w cywilu.

— Przypomnij sobie, czy nie wspominał ci mimochodem? — nalegała.

— Zdaje mi się, że jest psychologiem — rzekłam niezdecydowanie i przypominając sobie, że kiedyś dużo mi mówił o amerykańskich psychologach.

— Bardzo być może — trajkotała Gerda. — Psychologowie szalenie są w Ameryce modni. — Pomysł jechania do Pragi uznała za idiotyczny. — W Pradze ludzie kilometrami wyprawiają się po słoninę, tak mi przynajmniej mówili uciekinierzy, a tobie on wszystko przynosi, gdybym była na twoim miejscu, nigdy bym... — itd.

Umówiłyśmy się na spotkanie w najelegantszej kawiarni.

Po południu ubrałam się w suknię pożyczoną od Eriki, najwęższą, jaką mogłam znaleźć, ściągnęłam ją paskiem, skropiłam perfumami i odrodzona na duchu pożegnałam swój pokój: — Adieu, do jutra rana!

Furtka w ogrodzie była zamknięta. Na dzwonek nadeszła Erika w towarzystwie ogrodnika.

— Proszę otworzyć — powiedziałam. — Chcę wyjść.

Potrząsnęła przecząco głową. Herr Hauptmann zabronił wypuszczać miss Irenę. Po mieście kręci się pełno podejrzanych typów, pijanych żołnierzy, kapitan nie zniósłby, gdyby miss Irenie miało się stać coś złego podczas jego nieobecności. I niech Bóg broni, żeby ona,

Erika, której Herr Hauptmann zaufał, miała do tego przyłożyć rękę.

Jadowita troskliwość Eriki triumfowała w pełni. Powróciłam do pokoju, zdarłam z siebie suknię, jakbym zdzierała obcą skórę, i cisnąwszy ją w kąt, rzuciłam się na fotel.

Piękna sytuacja! Pod strażą Eriki i ryżego ogrodnika nie wiadomo jak długo... A jeśli Tonio w ogóle nie powróci?

Na tę myśl zimny pot oblał mnie ze strachu.

Tej nocy spłakałam się w poduszkę. Znowu minął dzień. Tonio nie wracał. W nocy widziałam go z rozbitą głową, w rozbitym samochodzie na szosie. W dzień spacerowałam wzdłuż ogrodzenia jak więzień. Chwilami miałam ochotę zacząć w głos wzywać pomocy. Wieczorem podjęłam słuchawkę. Aparat uszkodzony nie dawał sygnału. Jeszcze jeden dzień. Dręczyła mnie myśl, co będzie, jeśli Tonio nie wróci. Co się ze mną stanie. Do kogo się udać? Erika zachowywała się nad wyraz podejrzanie. W ciągu dnia zastawałam ją na rozmowie ze szpakowatym mężczyzną o wyglądzie agenta policji. Na mój widok milkli śledząc mnie z daleka oczyma.

Następnego ranka skapitulowałam. Leżąc w łóżku rzekłam słabym głosem do Eriki podającej mi śniadanie:

— Jak pani myśli, kiedy kapitan wróci?

Tylko na to czekała. Usiadła na krześle i zaczęła mowę. Sądzę, że na temat Tonia potrafiłaby mówić w nieskończoność, a długa i przymusowa wstrzemięźliwość sprawiła, że teraz słowa lały się z jej ust niczym woda z pękniętego kurka.

— Herr Hauptmann Anthon jest najwytworniejszym z amerykańskich oficerów, jacy przewinęli się przez ten dom — zakończyła z przejęciem.

Nigdy dotychczas nie przyszło mi do głowy, że w willi mogli mieszkać inni oficerowie. Z głupia frant zapytałam, czy mieszkali sami?

— O nein... Amerykanie są towarzyscy, weseli, lubią ładne kobiety. Żaden z nich nigdy sam nie mieszkał. Ona, Erika, naturalnie nie pamięta już wszystkich nazwisk. Niektórzy byli przez kilka dni i odchodzili ustępując miejsca nowym gościom. Ich towarzyszki także musiały się wyprowadzić. Człowiek, a zwłaszcza kobieta, może korzystać z życia, póki jest okazja, ale nie wolno jej wyobrażać sobie, że jest czymś więcej, niż jest naprawdę.

Usiadłszy na łóżku, patrzyłam na nią rozwartymi szeroko oczami. A więc ten pałacyk, do którego weszłam nieomal na palcach, był takim dyskretnym burdelikiem dla przelotnych par?

— Czy kapitan mieszkał tu... — wykrztusiłam nie kończąc.

— Z inną kobietą? — Potrząsnęła żywo głową, na twarz jej wystąpiły rumieńce. O Herr Hauptmannie ona nie dałaby nic złego nikomu powiedzieć. Inni Amerykanie po jednej nocy wypraszali dziewczęta: „Auf wiedersehen, Liebling." Hauptmann zachowywał się zawsze jak gentleman. W zapale wyraziła nawet przypuszczenie, że w jego żyłach musi płynąć krew jakiegoś niemieckiego barona. Na ostatek wysunęła konkluzję: niemieckie kobiety zwyciężą amerykańską politykę, która zabrania teraz Amerykanom żenić się z Niemkami. To zarządzenie jeszcze obowiązuje, ale już niedługo. Amerykanie są prawdziwymi mężczyznami. A prawdziwi mężczyźni lubią, żeby kobieta im dogadzała. Żadne inne kobiety nie potrafią tak odgadywać męskiej natury, tak jej dogadzać i tak szanować jak Niemki. Jeśli Niemcy przegrali wojnę, to niemieckie kobiety wygrają pokój. Amerykanie lubią się ba-

wić z kobietami z całego świata, ale na żony ich nie wezmą. Amerykanie są stworzeni na mężów dla niemieckich kobiet, które dosyć już przecierpiały...

Poprawiła serwetkę, krzywo leżącą na stole, i wyszła pozostawiając mnie w zdumieniu. Nigdy nie przypuszczałam, że w uległej, złotogłowej, pulchnej, czyściutkiej, świetnej gospodyni drzemie taka narodowa energia. Erika z niemiecką wytrwałością czekała na zmianę losu, wierząc, że pojedzie za ocean jako amerykańska żona i dla tego celu trudziła się tu jako Hausfrau...

Wszystko to bynajmniej nie podniosło mnie na duchu. Zdecydowałam się czekać do jutra, a jeśli Tonio nie przybędzie, stanąć za siatką i zacząć wzywać pomocy przechodniów. Uspokojona zjadłam ze smakiem obiad po raz pierwszy od wielu dni. Potem znów spacer w ogrodzie, zamknięta furtka, stały niepokój o Tonia, czujna, z daleka wodząca za mną oczami twarz ogrodnika i podejrzliwa Erika. Wieczór wlókł się w nieskończoność. Przed snem obejrzałam po raz chyba setny ilustrowane „Exciting stories". „Morderstwo w kraterze księżyca". „Straszny sekret Jany Webster". „Kto zabił pana Moopan?". I z niespokojną głową, pełną trupów, wytrychów, tajemniczych śladów krwi, zasnęłam.

Obudziło mnie światło księżyca padające wprost na poduszkę. Pokój, oplątany cieniami przedmiotów, rozległy był i niesamowity jak wielkie akwarium, pełne osobliwych wodorostów. Przyszło mi na myśl, że gdyby ktoś chciał mnie zamordować, przyszłoby mu to z łatwością w samotnym domu. Zakopano by mnie w ogrodzie, złotowłosa Erika posiałaby na tym miejscu kwiatki, które wąchałaby szepcząc: „Ach wunderschön..." Patrzyłam w połyskliwą tarczę na niebie, ale zamiast miesiąca widziałam śmierć w kraterze księżyca i złowieszczy cień w ogrodzie. Ciało moje zaczęło

stygnąć ze strachu. Jeszcze usiłowałam panować nad nerwami, jakbym była bohaterką „exciting story", ale nadaremny wysiłek. Ludzki strach, nie żadne powieściowe mamidło ściskał mnie za gardło.

Właśnie wtedy posłyszałam skrzyp podłogi w sąsiednim pokoju i szparą padła prosta linijka światła.

Krzyknęłam, wyskoczyłam nieprzytomnie z pościeli, pchnęłam drzwi. Oślepiło mnie światło.

W rozpiętej na piersiach koszuli, w spodniach wojskowych, kompletnie pijany siedział na tapczanie Tonio z głową zwieszoną na piersi. Kiedy ją podniósł, zobaczyłam wilgotną, pociemniałą twarz i nabiegłe krwią oczy.

W pierwszej chwili — radość, że on jest tu. Ale zaraz przyszło rozczarowanie, które obróciło się w złość. Tonio siedział przede mną cały, zdrów i żłopał whisky nie domyślając się ani troszcząc o to, ile męki i niepokoju przeżyłam przez niego.

— Przyszłaś do mnie — mruknął. — To bardzo ładnie. Ale nic z tego, darling. Powiedziałem ci to na początku... I am sorry. I beg your pardon... Tonio hat keine dinks. Musisz to wybaczyć.

Zamilkł i nie ruszając się z miejsca wpatrywał się we mnie błyszczącym wzrokiem. Stałam przed nim w różowej jedwabnej koszuli, niczym bohaterka romansu, gdzie w decydującym momencie mężczyzna widzi damę swego serca rozebraną i przestaje się wahać.

Tak się też stało. Tonio podniósł się z tapczanu i nie zdejmując ze mnie wzroku, jął się ku mnie zbliżać.

„Teraz rzuci się na mnie" — zatriumfowałam w duchu.

Podniósł rękę i wskazując palcem rzekł brutalnie:

— Za mało się gimnastykujesz. Jeszcze dwa lata, a będziesz miała pod piersiami wałki tłuszczu. Nie bój

się, nie jestem wcale pijany. Mogę stać na głowie, o, popatrz...

Stanął na rękach i dotknął głową podłogi.

Uciekłam do swego pokoju. Po chwili usłyszałam pukanie i głos:

— Czy mogę cię prosić? Czekam w dużym salonie.

Zaczęłam drżeć. Bez powodu. Nic się przecież nie stało. To światło księżyca było winne wszystkiemu. Noc była dziwaczna, dziwaczne cienie poruszanych krzewów, a blask księżyca ostry i musujący jak szampan. Stanęłam przed lustrem i wsunęłam rękę pod nocną koszulę, tam gdzie nieprzytomnie dawało znać o sobie serce. Przede wszystkim spokój, zapanować nad sobą. Wejdę do salonu. Kilka powściągliwych, uprzejmych pytań, jak spędził podróż? Jak się czuje? Żadnego uniesienia, żadnej przesady. W kilku punktach ściśle, czego się domagam:

1) Absolutne żądanie zwrócenia mi wolności.

2) Nie ma mowy, abym miała być kontrolowana przez Erikę.

3) Grzeczne zapytanie, czy były jakieś kroki odnalezienia moich kufrów?

4) Co ostatecznie zamierza ze mną zrobić?

Pociągnęłam usta kredką, jeszcze raz przeczesałam szczotką włosy i zmieniwszy nocną koszulę na pidżamę, z bijącym mocno sercem weszłam do salonu, mając na pogotowiu wyniosłe, uprzejme słowa, którymi powitam Tonia...

Stał przy radiu, zwrócony tyłem do mnie.

— Jest dobra muzyka, chodź, zatańczymy — rzucił przez ramię. Objął mnie i pociągnął na taras.

Byliśmy świetnymi partnerami. Tonio wyższy ode mnie i zgrabny. Przymknęłam oczy i przytuliłam się lekko do niego. Czuliśmy się dobrze w tańcu razem.

Chciałam, żeby to trwało długo i myśląc o przyszłości spytałam:

— Co będzie dalej ze mną?

— Doesn't matter... — zaśmiał się przyciskając mnie silniej.—Możesz być jeszcze użyteczna naszym władzom.

— Użyteczna?... błyskawicznie przebiegło mi przez myśl, czy aby zwierzchnicy Tonia nie upatrzyli dla mnie roli alianckiego szpiega? Ta myśl dosyć mi pochlebiała. Poczucie ważności mej osoby, podupadłe mocno po wypadku z kuframi i na skutek obcowania z Eriką, odżyło na nowo. Znałam trzy języki, byłam ładna, elegancka, gdy miałam się w co ubrać, budziłam w mężczyznach przychylne uczucia — moim zdaniem było to dosyć, ażeby z powodzeniem grać rolę szpiega. Rozmarzona obrazami przyszłości, czując, jak pod ich wpływem budzą się we mnie bardziej przychylne uczucia dla Tonia, spytałam tuląc się silniej do niego:

— Dlaczego piłeś?

— Żeby uczcić rocznicę — roześmiał się nieszczerze. — Dzisiaj mijają trzy lata, jak uległem wypadkowi...

— Taak? — rzekłam uprzejmie. — Co to było?

Ponieważ ociągał się z wyznaniem, zapewniłam go z wyrozumiałością, która mnie nic nie kosztowała:

— Jeśli nie chcesz, możesz nie mówić. Wypadek nie ma żadnego znaczenia, skoro jesteś zdrów i cały. — I czując potrzebę zakończenia bardziej filozoficzną konkluzją, dodałam: — Ostatecznie takie jest prawo wojny. Nikogo nie oszczędza. Ja na przykład straciłam cały swój bagaż, a ty miałeś wypadek. Tobie się nawet bardziej poszczęściło... Co się stało! — wykrzyknęłam zdumiona.

Wypuścił mnie z ramion, usiadł na fotelu założywszy ręce na piersiach i wyciągnąwszy nogi przyglądał mi

się, jakbym była okazem, w którym odkrył coś interesującego.

— Dlaczego? — wyjąkałam nie ruszając się z miejsca. — Co się stało?

— Nic się nie stało, moja droga.

Mówił zimnym głosem, jak gdyby przemawiał do karafki. Czułam, że zrobiłam coś głupiego i wysilałam mózg, ażeby zgadnąć, o co mu poszło.

— Nie jesteś chyba zmęczony? — spytałam bezradnie.

— Ani trochę.

— Więc dlaczego nie tańczymy? Było bardzo miło.

— Bardzo. Ale pójdziesz już spać. Ile ty właściwie masz lat?

— Dwadzieścia.

— Tak przypuszczałem. A ja trzydzieści dwa. Za dużo wypiłaś i niezbyt dobrze trzymasz się na nogach.

Przed wyjściem na taras wypiłam dwa, może trzy kieliszki koniaku, który stał u mnie w pokoju. Było mocno nie fair z jego strony wypominać mi alkohol, skoro sam wypił chyba z dziesięć razy więcej niż ja.

Ponieważ patrzał na mnie tak szczególnym wzrokiem, ponieważ była noc, ponieważ pomiędzy nim a mną było jakieś napięcie, ponieważ w tym napięciu więcej było irytacji niż tego nastroju, do którego usposabiała nocna pora i mój przewiewny strój, ponieważ wypity koniak natchnął mnie pogardą dla trzeźwych uczuć — zapragnęłam być kapryśna, wyniosła i rozkazująca jak prawdziwa kobieta. W natchnieniu wyczułam, że nadeszła wyczekiwana przeze mnie powieściowa sytuacja, której zazdrościłyby mi bohaterki romansów z całego świata. Było wszystko, czego ta sytuacja wymagała: Kobieta i Mężczyzna (jego zadarty nos i moje walizki nie odgrywały już żadnej roli); Pożądanie (do którego on winien się był poczuwać);

Wielkie Uczucie (którego wprawdzie jeszcze nie było, ale które mogło nadejść w każdej chwili).

Jeśli nawet przesadziłam trochę, niewątpliwie we wzroku Tonia było coś takiego, z czym zdradził się po raz pierwszy. „Nareszcie! — pomyślałam. — Teraz zagrać mu na nerwach i wziąć rewanż za wszystko".

Widząc, że nie ma zamiaru powstać z fotela, rzekłam siląc się na ton niedbały:

— Powiedziałam ci, że chcę tańczyć. To jedyna przyjemność, jaką mogę mieć tutaj. Ty masz swoje whisky, swojego psa, swoje wyjazdy, swoich kolegów. Ale jaką ja mam przyjemność z siedzenia razem z tobą?

— Wiem, że nie masz nic z tego — rzekł niewzruszenie — ale mimo to nie będziemy tańczyć dalej. Jesteś pijana i dlatego kiepsko grasz rolę, z którą na ogół jest ci dość do twarzy. Krzycz, bij pięściami w stół, pluj, jeśli masz na to ochotę, ale, na miłość boską, nie rób z siebie wygimnastykowanej w uczuciach damy. Proponuję, żebyśmy zagrali teraz w pchełki. Erika poda zaraz czarną kawę.

Dusząc w sobie chęć rzucenia się na niego i wkładając w słowa całą pogardę i pasję, jaka mnie rozsadzała, rzekłam:

— Boisz się tańczyć ze mną? No, przyznaj się, powiedz raz, że się boisz, ty...

Zerwał się z fotela i schwyciwszy mnie za ręce ścisnął tak, że krzyknęłam z bólu. Puścił mnie, obrócił się w stronę stolika, wziął kryształowy flakonik i wcisnął mi do ręki.

— Proszę. Rzuć! — a gdy z otwartymi ustami i z flakonikiem w ręku gapiłam się oszołomiona, powtórzył rozkaz: — Ulżyj sobie. Słyszysz?!

Widząc, że nie żartuje, ze strachu przed jego twarzą cisnęłam flakonik. Potem miałam ochotę się rozpłakać.

Nalał mi wódki, przytknął szklankę do moich zębów i klepiąc po łopatce, gdy trzęsłam się przełykając alkohol, pocieszająco powiedział:

— Teraz o key! Doskonale! Należy zawsze wyładować swoje afekta. Pogwałcone schodzą w podświadomość i stają się przyczyną zastarzałych, dokuczliwych kompleksów. Tłucz flakoniki! Byłbym niepocieszony, gdyby na tle niewyżytych pragnień groziło ci powstanie kompleksów i gdybym to ja był ich przyczyną.

Odwróciłam głowę, żeby nie patrzeć na wykrzywioną drwiąco twarz. Przez moment niedorzeczne przypuszczenie błysnęło mi w głowie.

Przy kawie milczałam uparcie, starając się nie patrzeć w jego stronę. Nic sobie z tego nie robiąc Tonio jadł i pił bezwstydnie, częstując mnie uprzejmie winem. Moja oziębłość zdawała się wprawiać go w doskonały humor. Strzepując popiół z papierosa rzekł serdecznie:

— Jeśli chcesz iść spać, nie krępuj się mną, moja droga. Musisz wybaczyć, że nie będę ci towarzyszył do łóżka. Mam nadzieję, że nie jest to niezbędne dla twego szczęśliwego snu. Aha, zauważyłem, że nie używasz pasty do zębów. Twoja tubka leży w łazience nie ruszona. Masz ładne zęby, ale dobra pasta jest konieczna. Przekonasz się o tym w starszym wieku. Poza tym, ponieważ może się zdarzyć, że znowu będę zmuszony wyjechać na jakiś czas, chcę, żebyś miała gotówkę przy sobie. Weź to...

Zanurzył dłoń w kieszeni i rzucił na stół garść zmiętych dolarów. Oniemiałam. Gdyby to był sznur prawdziwych pereł czy jakaś kolia, to nie mówię. Ale nędzny kłębek dolarów! I w tak haniebny sposób!

Wściekła zerwałam się z krzesła i trzęsąc rękoma nad leżącym wykrztusiłam:

— Idę, żeby cię już więcej nie widzieć... ty, ty świ-

nio, razem ze swoją pastą do zębów i swoimi dolarami. Nie chcę cię na oczy widzieć. Idę stąd, rozumiesz? Zabierz wszystkie swoje głupie walizki... I ty myślałeś, że ja chcę, że ja chcę, że chcę... — powtarzałam w kółko pijana wściekłością.

Usiadł na tapczanie, schwycił mnie za ramiona i potrząsając z całej siły, krzyknął:

— Powiedz, że nie chcesz!

Bez tchu patrzyliśmy jedno drugiemu w twarz. Nie, to było nie do zniesienia! Zamknęłam oczy i objęłam go za szyję. Kiedy oderwał usta od moich warg, drżałam tak silnie, że byłabym upadła. Posadził mnie na tapczanie, sam wstał natychmiast i ruszył w spacerze po pokoju. Wsparta rękami o poduszki, ściskając dygocące kolana wodziłam oczami za nim; zatrzymał się przede mną i kładąc ręce na moich ramionach powiedział:

— Ja potrafię dużo wymagać od siebie, ale nie lubię, gdy mnie to zaczyna zbyt wiele kosztować. Jesteś pijana i stąd to wszystko. Jutro spakujesz się i szofer odwiezie cię, dokąd każesz. Ale żebyś znowu nie była zbyt pewna siebie, to na ostatek masz jeszcze raz. — Przycisnął mnie do swego ciała i pocałował w usta. Przylgnęłam do niego. Puścił mnie zaraz, zdjął moje ręce ze swojej szyi i odwrócony twarzą do otwartych drzwi na taras, aby nie patrzeć na mnie, powiedział ze sztuczną wesołością:

— A teraz zmiataj, stara pijaczko. Nie chcę cię tu widzieć.

Szłam do łóżka jak lunatyczka. Ale nie było mowy o spaniu. Leżąc z otwartymi szeroko oczyma, wyprostowana i sztywna, łowiłam odgłos kroków zza ściany; szum wody w wannie, przytłumione dźwięki radia. Potem i to umilkło i znowu powrócił do pokoju księżyc jakby bardziej nabrzmiały i tnący bezlitosnym

światłem. Pływałam w akwarium z chwytliwymi cieniami wodorostów, a przedziwne światło sprawiało mi ból w wierzchołkach piersi i uciskało w skroniach.

Usiłowałam wyobrazić sobie, że to nie ja, ale on dręczy się bezsennością, ale zaledwie to pomyślałam, straszna tęsknota wypchnęła mnie z łóżka. Odrzuciłam kołdrę i siadłam nasłuchując. Nic. Żadnego odgłosu. Wymknęłam się na korytarz i przyłożyłam ucho do jego drzwi. Doszedł mnie słaby odgłos. Ani rozmowa, ani śmiech, ani chrapanie. Było to coś innego; tak niepojętego, tak nieoczekiwanego, że bez namysłu pchnęłam drzwi i weszłam.

W pidżamie, przykryty lekkim kocem, leżał zwrócony twarzą do drzwi. Nie wydawał się wcale zdziwiony moim widokiem. Gdy podeszłam blisko, wyciągnął ramię, objął wpół i pociągnął na tapczan. Wśliznęłam się pod przykrycie, przytuliłam do niego, objęłam za szyję i przesuwając dłonią po poduszce umocniłam się w podejrzeniu.

— Toni... — wyjąkałam. — Ja wiem, że to niemożliwe, ale ja słyszałam, jak płakałeś. Co się stało?

Leżał z odrzuconą głową, łagodnie i lekko mnie obejmując. Wystraszona jego milczeniem zaczęłam błagać:

— Powiedz. Nie jestem wcale pijana. I... nie myśl, że przyszłam dlatego, że był koniak i wódka. Chcę wiedzieć, co się stało? Dlaczego płakałeś? Czy nie możesz mi powiedzieć? Nie było cię tyle czasu i ja umierałam ze strachu...

Zanurzył dłoń w moich włosach. Potem powiedział spokojnie:

— Chcesz wiedzieć, gdzie byłem?

— Gdzie?

— W Buchenwaldzie. Spędziłem w obozie całe trzy dni. Widziałem wszystko, wszystko... — Zabrakło mu

tchu, ale opanował się i skończył: — Cieszę się, że przyszłaś. Jesteś dobra dziewczyna. Diabelnie głupio to wypadło. Kiedyś chciałem ci wszystko wytłumaczyć, ale nie interesowało cię to. Teraz nie ma już potrzeby o tym mówić. Nic się przez to nie zmieni. Na początku myślałem, że ci się podobam. Potem zrozumiałem, że chciałaś tylko odzyskać swój bagaż i nawet byłem zadowolony z takiego obrotu sprawy.

— Ale naprawdę mi się podobasz — wyjąkałam oszołomiona. — Tylko ty byłeś taki nieznośny. Gdyby nie twoje wariackie zachowanie, byłoby całkiem inaczej.

Milczał, jakby wahając się, co odpowiedzieć. Zaczynało mi być nieprzyjemnie. Ostatecznie prawdziwy gentleman wie, jak należy się zachować z kobietą w łóżku. Nie przyszłam do niego po to, ażeby roztrząsać przeszłość, skoro przed nami otwierały się cudowne dni. Rozczulona bliskością Tonia i obrazami przyszłości przytknęłam nos do jego policzka.

— Teraz już wszystko będzie o key, prawda, Toni?

Ściągnął moją głowę za włosy do tyłu na poduszkę i nachylając twarz nade mną rzekł żartobliwie:

— Nie sądziłem, że trzecią rocznicę będę obchodził w łóżku z kobietą...

— Jaką rocznicę? Ach, przypominam sobie — mówiłeś coś o wypadku. Nie lubię takich przykrych tematów. Porozmawiajmy o tym, dokąd pojedziemy razem.

— Doskonale — rzekł po krótkim milczeniu, głosem mniej już czułym niż przed chwilą. — Porozmawiamy o tym jutro. Tak. Jutro, moja droga. A teraz idź spać. Miałaś za dużo wrażeń jak na jeden wieczór.

Wstałam niechętnie z łóżka i nadąsana rzekłam:

— Nie rozumiem, jaką masz przyjemność z tego, żeby robić z siebie takiego...

— Impotenta? — podchwycił uprzejmie. — Jak widzę, stajesz się szalenie bystra, moja droga. No, zmiataj już. Jutro porozmawiamy. Dobranoc.

I znowu nie wiedziałam, czy drwi ze mnie, czy bawi się moim zakłopotaniem. Twarz jego była w cieniu i nie mogłam nawet dojrzeć jej wyrazu, gdy na dobranoc przycisnął mnie do swej piersi. Cmoknęłam go w okolicy nosa i jak skarcony sztubak wyszłam z pokoju. Po drodze wstąpiłam do saloniku, zgarnęłam leżące na stole dolary i nie troszcząc się o zliczenie ich, z pogardą wrzuciłam do szuflady w mojej sypialni. W głowie mi się kręciło od wrażeń, byłam pewna, że nie zmrużę oka i dalibóg sama nie wiem, jak mogłam zasnąć tak od razu. Gdy weszłam rano do jadalni, Tonio już siedział przy stole smarując masłem grzankę. Nie bardzo wiedziałam, jak się zachować po ubiegłej nocy, ale Tonio załatwił to po prostu:

— Bierz szynkę, póki gorąca. — Sięgając po dżem dodał: — Głowa mnie bolała, więc zażyłem proszek.

Jedząc przyglądałam się jego niewyspanej twarzy o podkrążonych oczach i niezdolna dłużej pohamować ciekawości, bąknęłam:

— Nie pogniewasz się, jeśli cię o coś zapytam?

— No?

— Z tych rzeczy, które tam widziałeś, no wiesz gdzie... tam, w tym Buchenwaldzie, co zrobiło na tobie największe wrażenie?

— Stary Żyd, który siedział obok trupa przy ognisku, mieszał patykiem konserwy w puszce i jadł — rzekł krótko.

Obejrzeliśmy się. W progu stała Erika. Obeszła stół, sprzątnęła naczynia. Wychodząc obrzuciła nas spojrzeniem, jakim obdarza się nieszkodliwą parę głuptasów.

Po jej wyjściu, siląc się na najobojętniejszy ton, powiedziałam:

— Śmieszna jest czasem ta Erika.

Ponieważ milczał, natarłam silniej:

— Powiedz, czy ożeniłbyś się z nią?

Patrzałam z nienawiścią, jak z lekka poczerwieniał. Unikając mego wzroku, odparł zakłopotany:

— Ona ma swoje zalety. Umiałaby na przykład świetnie poprowadzić dom, hotel, restaurację...

— Dom? No pewnie. To zresztą żadna sztuka. Ale skąd do głowy przyszedł ci ten hotel i restauracja? Znasz ją tak dobrze?

— Sam nie wiem, skąd — tłumaczył się coraz bardziej zakłopotany. — Pewnie dlatego, że my właśnie mieliśmy hotel. Niewielki, w Cleveland Ohio...

Spojrzałam na niego zdumiona. Więc był po prostu hotelarzem, gdy ja wbiłam sobie do głowy jakiegoś „psychologa".

— Mówię „posiadaliśmy", bo miałem go na spółkę z siostrą i ona się tym zajmowała. Rok temu siostra zmarła...

— I teraz chciałbyś, żeby ci Erika prowadziła hotel! — podchwyciłam wpadając w pasję na myśl, że mógłby jej to zaproponować. — Nie wątpię, że weźmiesz ją, oczywiście tylko jako Hausfrau! Do tego celu ci odpowiada.

— Być może, że masz rację. Do tego celu mi odpowiada.

— Właśnie — drwiłam. — Jako kobieta.

— Być może, że i jako kobieta. Ona przynajmniej nie będzie mieć do mnie pretensji. Dotychczas nie myślałem o tym, ale teraz, skoro mi to podsunęłaś, kto wie, czy nie skorzystam z twej rady. Tak czy owak, dziękuję ci.

— Przestań się wygłupiać. Powiedz — nalegałam — nie razi cię u niej nic?

— Co na przykład?

Mając w myśli sto argumentów, wybrałam najgorszy:

— Chociażby to, że uśmiechała się drwiąco, kiedy mówiłeś o Buchenwaldzie.

— Wcale się nie uśmiechała.

— Nie kłam. Widziałam.

— Niepotrzebnie się podniecasz.

— A ty ją bronisz.

— Wcale nie. Zresztą cóż ona może mieć wspólnego z tamtą rzeczą? Nic. — I spojrzał mi prosto w oczy. — Nic.

To, że ją bronił, kiedy jej uśmieszek drwiący miał właśnie coś wspólnego z tamtą sprawą, wzbudziło we mnie wściekłość. Przełknęłam ślinę i najobojętniej, jak mnie stać było, spytałam:

— Spałeś z nią?

Milczał tak długo, że zaczynałam się już niepokoić, wstał od stołu i włożywszy ręce do kieszeni rzekł kołysząc się i pocieszne krzywiąc:

— Mówiłem ci już: Tonio hat keine d i n k s. Nicht machen b a b y. Nicht faire l'amour. Absolutely impossible.

Roześmiałam się. Cóż innego mogłam zrobić? Naraz przypomniało mi się, o czym mówił w nocy, i schwyciłam go za rękę.

— Powiedziałeś, że dzisiaj porozmawiamy poważnie... Zdaje się, że chodziło ci...

— O nasz wspólny pobyt? Czy to miałaś na myśli?

— A ty?

— Jak najbardziej.

— No więc?

— Tak — rzekł nie patrząc na mnie, tylko na papierosa. — Trzeba, żebyś wyjechała stąd, z tej willi.

— Nie!

— Jednak tak. Zamówiłem dziś po południu dla ciebie samochód. Szofer odwiezie cię. — Oderwał wzrok od papierosa i spojrzał mi krótko, mocno w oczy. — Jestem ci bardzo wdzięczny za ten czas, który zechciałaś ze mną spędzić. Może wyjdziemy teraz? Chciałbym zrobić kilka zdjęć.

Popołudnie minęło w oszołomieniu. Myślałam: za kilka godzin Tonio odwiezie mnie i wszystko się skończy. Raz pragnęłam, żeby to już nastąpiło, to znów cofałam się przed tym tchórzliwie. A wskazówki zegara posuwały się szybko naprzód, trzeba było się przygotować.

Trzymając się za ręce, wyszliśmy do ogrodu. Tonio zrobił nam kilka zdjęć. Potem mnie osobno. Tańczyliśmy bez specjalnej ku temu ochoty. W czasie tańca sprawdzałam swój stan duchowej odporności i zadowolona, że sentymentalny nastrój bezradnej czułości, irytującego smutku minął u mnie bez wstrząsów, mówiłam sobie: „wszystko w porządku".

— Zgadnij, o czym myślę? — spytałam rzucając się na leżak.

— O kufrach — rzekł bez namysłu.

— Zdążyłam o nich zapomnieć.

— Nieprawda. Ty nigdy nie zapomnisz o rzeczach, które należały do ciebie lub należą. Raz tylko byłaś prawdziwą kobietą. W tej różowej, jedwabnej koszuli, która spadała ci do pięt.

— Więc pamiętasz? — usiadłam uszczęśliwiona.

— Oczywiście. Dlatego przecież stanąłem wtedy na głowie. To był jedyny sposób, ażeby nie rzucić się na ciebie.

— Trzeba było to zrobić! — wykrzyknęłam z żalem.

Spojrzeliśmy jedno na drugiego i wybuchnęliśmy śmiechem.

— Pocałuj mnie — powiedziałam.

Wstał, objął mnie.

— Tonio, czy mogłabym — zawołałam chwytając oddech po pocałunku — czy pozwoliłbyś mi... proszę, proszę cię.

Potrząsnął głową przecząco.

— Ale dlaczego? — błagalnie napierałam. — Nie zrobię ci kłopotu. Pobądźmy razem jeszcze dwa dni. No, tylko jeden. Albo chociaż jedną noc... tylko tę jedną. Ja proszę...

— Boże święty! — wykrzyknął patrząc na mnie. — Czyż ci nie mówiłem... — i spokojnie skończył: — za późno przyszła ci ochota. Dla mnie to nawet lepiej. Ale dziękuję ci, kochanie, żeś mi to powiedziała. Serdecznie rad jestem. Dziś w nocy odlatuję samolotem do Paryża. Przenoszą mnie.

— Ale mamy jeszcze kilka godzin czasu i gdybyś chciał... — bezradnie zaczęłam.

— Dwie godziny to akurat tyle, żeby się spakować — przeciął mi szybko. — Idź i zrób to zaraz.

— Kiedy ja nie mam nic do spakowania — żałośnie mu przypomniałam.

Strzepnął rękoma:

— Więc zapakuj sobie, co chcesz, z rzeczy Eriki, a ja to potem z nią załatwię.

I gwizdnąwszy na psa, pobiegł do ogrodu.

Poszłam do mego pokoju i policzyłam otrzymane dolary. (Było ich czterysta.) Przez moment wahałam się, czyby nie zwrócić ich dumnym gestem, ale nie stać mnie było na tak kosztowne gesty, a po wtóre Toniowi nie zależało na pieniądzach. Z westchnieniem schowałam banknoty do torebki.

Z pustą walizą, wziętą ze służbówki, poszłam do po-

koju, gdzie stały szafy nabite ubraniami Eriki, i otworzywszy pierwszą z brzegu, zadumałam się nad wyborem.

Tak mnie zastała Erika i oczywiście poznała, co się święci.

— Miss Irena wyjeżdża dzisiaj? Tak szybko?

— Tak — rzekłam chłodno usiłując ratować godność.

— Zdaje się, że będę musiała prosić panią o pożyczenie prochowca, bo mój został w aucie.

— Proszę wybrać. Amerykanin, który tu mieszkał przed wami, kupował swojej przyjaciółce wszystko nowe i sprowadzane z Wiednia. O, tamte kobiety były wybredne, umiały się targować, żadna nie chciała używanych rzeczy. Jeździły każda ze swoim oficerem po magazynach i wybierały co najmodniejsze.

— My też mamy zamiar tak zrobić — rzekłam wzgardliwie.

Udała, że wierzy temu.

Po jej wyjściu wyjęłam z szafy stary prochowiec, dwie sztuki bielizny i ciepły sweter pocieszając się, że może nie zauważy ich braku. Resztę zostawiłam, aczkolwiek potem nie raz przyszło mi tego żałować. Zadzwoniłam do Gerdy, pytając o nocleg. Zgodziła się skwapliwie. Toniowi skłamałam, że u Gerdy zostało mnóstwo moich rzeczy, więc nie potrzebuję ubrań Eriki.

— Kto tu będzie mieszkał po nas? — spytałam na koniec.

Wzruszył ramionami.

— Nasz pułkownik ma sześć kobiet i gdy umieści je razem, oszczędzi mu to czasu na dojazdy. — Po chwili dodał: — Zabrałbym cię do Paryża, gdybyś naturalnie miała ochotę na to, ale sama rozumiesz, jestem w czynnej służbie i są pewne trudności.

Sprawa była oczywista. Tonio nie miał rangi pułkownika.

Spojrzał na zegarek, aby powiedzieć:

— Jutro o tej porze będę już w Paryżu.

To był już naprawdę koniec. Beznadziejna historia. Wszystko dlatego, że zbyt późno się zorientowałam. Teraz należało wyjść z tej historii sportowo, nie zdradzając, że zaczęłam ją „przeżywać". Wypiłam kieliszek koniaku i poprosiłam Tonia o dwie męskie koszule. — Wezmę na pamiątkę — wyjaśniłam. Do podręcznej walizki wpakowałam parę łaszków i nie miałam już nic do roboty. Weszła Erika:

— Auto czeka.

Tonio wziął mnie pod rękę.

— Auf wiedersehen — pożegnałam Erikę, jakbym miała powrócić za godzinę. Nie dała się oszukać, miodowym głosem rzuciła za mną:

— Farewell miss Irena.

Gerda była zachwycona nie tyle widokiem moim, co amerykańskiego oficera. Siedząc w jej saloniku, czułam się przypadkową osobą przy boku Tonia. Ku mojemu zdumieniu Gerda podobała się Toniowi. Słuchając ich wesołego paplania, patrząc na mizdrzenie się Gerdy zdecydowana byłam wstać i odejść. Tonio zauważył w końcu moje milczenie. Szybko pożegnał się z Gerdą, podszedł do mnie i lekko objął. Stałam sztywno, jakbym kij połknęła, a serce krajało się we mnie z żalu. Pocałował mnie w usta i w policzek, ale cóż z tego? Na dobitkę, ta niemożliwa Gerda zeszła z nami na dół, ażeby odprowadzić Tonia do auta.

Gdy wóz już ruszał, przechyliłam się do wnętrza i hamując łkanie, zawołałam:

— Tonio...

Nie patrząc na mnie zasalutował i odjechał.

Po tygodniu musiałam zmienić mieszkanie. Gerda

zbyt wiele obiecywała sobie po moich znajomościach w oficerskich kołach i żeby się uwolnić od jej nagabywań, wyprowadziłam się chyłkiem, nie podając adresu i zostawiłam na karteczce mglistą obietnicę odwiedzenia jej w krótkim czasie. Dostałam miejsce sekretarki w dużym domu meblowym i przygotowywałam się do powrotu do Polski. Po dwóch miesiącach wpadłyśmy na siebie z Gerdą na ulicy. Wśród wykrzykników i pocałunków oświadczyła mi, że był u niej dwa razy Tonio i razem poszli na dansing. — Pytał się o twój adres — wyznała wzdychając. — Wyprowadziłaś się tak incognito, że nie wiedziałam, co mu o tobie powiedzieć. Wyjechał już na stałe do Ameryki. Ale z ciebie też idiotka, że dałaś mu odejść. Tak męskiego oficera nieprędko dziś spotkać można.

Potem nie chciałam już dłużej siedzieć w Austrii. Przed samym wyjazdem, powtarzając sobie, że to idiotyczny sentymentalizm, znalazłam się przy furtce, którą kiedyś przekroczyliśmy wraz z Toniem.

Właśnie nadjechała limuzyna. Wysiadła z niej kobieta i niski, pękaty oficer. Otworzywszy furtkę, ujął pod ramię kobietę, ona zwróciła ku niemu śmiejącą się twarz. On był gruby, na krótkich nogach. Ona wyglądała jak żywy rejestr amerykańskiego garnizonu. Przytuleni do siebie, brzydcy i śmieszni, szli ku kremowej willi, która czekała na nich cicha i błyszcząca w mroku czarnymi szybami.

Stałam osłupiała. Na moich oczach powtarzało się tamto, co ja przeżyłam, powtarzało się mechanicznie, jak w fotoplastikonie, w banalny, głupi i wyuzdany sposób. Wszystko było tak samo, tylko zmieniono kliszę ze zdjęciem młodej pary. Po niej przyjdą inne przeżywać przyspieszoną wojenną idyllę i tak będzie powtarzać się w kółko, dopóki nie przestanie się obracać taśma ze zdjęciami.

Uciekłam stamtąd.

Tego wieczoru zadzwoniłam do Eriki. Nieznajomy głos kobiecy objaśnił mi uprzejmie, że pani Erika Kessel dostała papiery na wyjazd do Ameryki, gdzie ma prowadzić jakiś interes: hotel czy pensjonat — i przed tym udała się w odwiedziny do rodziny. — Taka szczęśliwa zmiana ją spotkała — zakończyła informatorka.

Irena zamilkła, wstała, podeszła do okna, patrzyła przez chwilę na ulicę, przechodniów i odwracając się rzekła spokojnie:

— To było wszystko, ciociu. Jeśli ciocia nie ma nic przeciwko temu, będziemy razem mieszkać. Ja znam kilka języków i pracę biurową. Myślę, że znajdę łatwo posadę.

— Więc nic z tamtych rzeczy nie odzyskałaś? — spytała ciotka silnym głosem.

— Ależ skąd, ciociu? To była jedyna rzecz, o którą mogłam mieć pretensje do Tonia, gdyby on nie był taki dobry.

— Doskonale, moja droga. To nawet dobrze się składa — rzekła stara panna. — Gdyby moi sąsiedzi cię pytali, coś przywiozła, powiesz, że uczciwi ludzie nie dorabiają się podczas wojny majątku. Tym zatkamy im usta. Ot co! — siadając z powrotem koło Ireny i biorąc ją za rękę rzekła w zaufaniu: — A teraz powiedz mi, moja droga, jak doszłaś do posiadania takiego bagażu? Przecież to był majątek! Tylko mów bez krętactwa, bo ja tego nie lubię.

Irena zarumieniła się i miękko rzekła:

— Pracowałam, dobrze mi się powodziło... wiedziałam, gdzie można kupić okazyjnie. A poza tym...

— No, no?

— Poza tym miałam trzech, nie, dwóch narzeczo-

nych. Nie na raz, oczywiście. Obaj byli bardzo bogaci i nie żałowali mi niczego. Rzuciłam ich, ponieważ żaden z nich nie był tak wspaniałym mężczyzną jak Tonio. Bo on, ciociu, był wspaniały mimo zadartego nosa i mimo że jak sam mówił, robiąc mi na złość: hat keine d i n k s gehabt. Tonia nigdy bym nie rzuciła; musiałam to zrobić, ponieważ taki był jego rozkaz. To była największa moja strata. Większa niż przepadnięcie bagaży. Zresztą, one też nie przyszły mi lekko. Dosyć musiałam się na nie napracować.

I wzdychając zakończyła słowami, które dla starej panny brzmiały zagadkowo:

— Niech mi ciocia wierzy, że nie tylko ci, co stracili majątek, ale także i ci, którzy go zyskali podczas wojny, są jej ofiarami.

1958 r.

Na stacji

Znacie te małe stacyjki? Można na nich zdechnąć z nudów. Twój pociąg jeszcze nie nadszedł i nie wiadomo, czy przyjdzie w ogóle. Na tych opuszczonych stacyjkach wszystko jest możliwe. Nawet i to: pociągi nie kursują wcale, a rozkład jazdy jest dziełem wariata, który wyzionął ducha wymyśliwszy na papierze setki kombinacji ruchu kolejowego. Dym od papierosów kłuje w oczy. Posadzka jest czarna i opluta. Światło jedynej u sufitu żarówki dawno zrezygnowało z ambicji docierania do kątów, gdzie można do woli pić wódkę i przyciskać brzuchem do ściany dziewczynę. Czekam na swój pociąg, a więc mam czas.

Jestem sam, ponieważ nudzi mnie ludzkie gadanie. Kto kogo okradł, kogo zamordowano, skąd uciekł i z kim się przespał? Ściśnięty w kolejce do kasy, w ciasnym przedziale, na ławce kolejowej siłą rzeczy muszę wysłuchiwać historii, za które chętnie biłbym w twarz. Ale siedzę, nie ruszam się z miejsca, choć mógłbym wstać i odejść. Słucham tego, co plotą inni, i w ten sposób prędzej upływa czas. Ponadto ciekawi mnie zakończenie każdego opowiadania. Na ogół wszystkie są podobne do siebie. Gdy się tak siedzi na stacji z delegacją służbową w kieszeni, może się przyśnić człowiekowi każda brednia, zwłaszcza jeśli przedtem nasłuchało się bajdurzenia sąsiadów.

Po tym wstępie opowiem wam taką historię, że poskręcacie się ze śmiechu. Szybkie zakończenie to naj-

większa jej zaleta. Żadnego opisu, domyślania się, zgadywania. Tylko to, co się stało, a raczej, co mnie się zdawało, że się stało. Nazwiska swojego nie wymieniam, gdyż w tym wypadku jest to rzecz bez znaczenia.

Czy historia wydarzyła się w mieście? Naturalnie! Jakie było miasto? Normalnie rzecz biorąc powinien bym podać wygląd ulic, stan zamieszkania, dystrybucji, ilość zatrudnionych i bezrobotnych, przemysł, działalność Komitetu Miejskiego PZPR — słowem — wszystko, czego nam prasa nie skąpi. Ale to nie u mnie. Moje miasto było podobne do woreczka, który ktoś wywrócił na drugą stronę i ładnie wytrzepał. Miasto bez nazwy, bez tramwajów, bez szyldów, bez ludzi. To miasto dawno zdechło i leżało na słońcu jak wysuszony szkielet, z którego wyprowadziły się robaki. Ktoś, kto się tam przypadkiem znalazł, mógł w ogóle nie wiedzieć, gdzie jest. Ja sam nie przysiągłbym, czy rzeczywiście tam byłem i czy nie wymyśliłem tego wszystkiego siedząc na stacji i czekając na swój pociąg. Mimo to chciałbym, abyście mi uwierzyli, że tamto mogło się zdarzyć. Po prostu źle się przesiadłem jadąc do Zgorzelca, potem wysiadłem niepotrzebnie na jakiejś małej stacyjce, gdzie kazano mi czekać na pociąg do rana. Znacie te małe stacyjki o drugiej w nocy? Wyglądają jak spleśniały but leżący w krzakach. Tam, koło dworca, też pełno było krzaków, jaśmin pachniał, a sam dworzec zasmrodzony był dymem od tego świństwa, które palą kolejarze i robotnicy z nocnej zmiany. Ludzie na stacji plują dla zabicia czasu. Podłoga jest zawsze czarna i zaśmiecona. Kto nie śpi i nie drzemie, czyta sąsiadowi gazetę przez ramię. Nie każdy lubi wydawać 50 groszy na zadrukowany papier. Kasjer siedzi gdzieś w głębi, jak mysz zatrzaśnięta w pułapce. Nieliczni pasażerowie mają tygodniowe bilety

dojeżdżających do pracy, rzadko się trafia przygodny podróżny.

Wyszedłem przed dworzec. Widać było niewyraźnie kawał drogi, niskie krzaki, reszta była rozwłóczoną mgłą. Stojąc tak zziębłem, bo noc była chłodna, bufet na stacji zamknięty. Pomyślałem, że może uda mi się wydębić monopolkę od któregoś z kolejarzy. Zawróciłem i pod mętną żarówką na środku poczekalni natknąłem się na obydwóch.

Starszy był wysoki, potężnie zbudowany, w sukiennych wojskowych spodniach wpuszczanych w buty z cholewami. Jego twarz mogła kogoś razić. Mnie się podobał. Śniady, czarny, proste włosy kosmykiem spadały na czoło, blizna na policzku, cera wilgotna od przepicia, obrzękła. Prawdziwie pijany ogier. Ten drugi się nie liczył. Chudy, przygarbiony, w wiatrówce i granatowych spodniach. Smarkacz. Twarzy nie zapamiętałem. Była jakaś taka — wymęczona i nijaka, niczym sprana chusteczka do nosa. W poczekalni było dość pusto, kilku pijanych słaniało się na ławce pod ścianą. Zasypiali. Tych dwóch na środku kłóciło się gadając w kółko o jakimś prezydencie, o workach, o cegłach, za cholerę nie mogłem się w tym połapać. Głodny i zły wyszedłem znów przed stację rozejrzeć się za jakąś knajpą. Zauważyłem stojący na boku duży samochód ciężarowy, kryty brezentem. Pomyślałem, że może kierowca będzie znał miejsce, gdzie mógłbym coś zjeść i napić się. Szarpnąłem za drzwiczki. Były zamknięte.

— Hej tam, szofer... — zawołałem uderzając pięścią w ścianę.

— Czego chcecie? — Stali za mną obaj. Ten w skórzanej kurtce i smarkacz.

— Macie odstąpić coś do napicia? Zapłacę.

Dryblas, porządnie już pijany, machnął ręką.

— Siadaj. Zapłacisz 50 złotych i podwieziemy cię

do prezydenta. Dostaniesz u niego jeść i pić. On lubi takich gości.

Zrozumiałem, że mówią o jakiejś knajpie. Zapytałem, czy to daleko. Muszę być na stacji o szóstej rano. Spojrzeli jeden na drugiego i wybuchnęli śmiechem. Potem jęli powtarzać w kółko: „Jedź, jedź z nami, co tu będziesz robił? Stary ucieszy się, jak mu przywieziemy gościa. Wypijesz u niego, ile będziesz chciał".

Ostatecznie nic nie ryzykowałem. Trzysta złotych w portfelu i stary niemiecki zegarek na ręce. Pod plandeką leżały stosy worków. To mnie lepiej usposobiło. Wyciągnąłem się na workach, wóz ruszył. Po jeździe koleją byłem skonany jak nieszczęście. Ciemność, wstrząsy samochodu, smród benzyny uśpiły mnie. Nie wiem, kiedy stanęliśmy. Szedłem jakimiś schodami, zwaliłem się na coś miękkiego, przytulnego i zasnąłem. Było mi tak rozkosznie, że mógłbym spać do dnia Sądu Ostatecznego. Obudziło mnie tarmoszenie za ramię. Otwarłem powieki. Nade mną nachylała się głowa kobieca. Wytrzeszczyłem oczy.

— Wstań, wstań — powiedziała głośniej. — On na ciebie czeka. Będzie się złościł, że jeszcze nie przyszedłeś. Wstań.

Odurzony usiadłem. Powiodłem wzrokiem po niskim stryszku zawalonym gratami. Strych był ceglany, dach ukośny, podparty belkami. U góry wisiały wypchane worki, śmierdziało skórami baranimi i pierzem. Upał niesamowity. Wlepiłem oczy w klęczącą na podłodze kobietę. Miała owal twarzy jak biały migdał, oczy koloru kamieni w wodzie, na których osiadł mech. Włosy pod czarną chusteczką jasne, długie. Podniosła się z klęczek i tupnęła nogą.

— Prędzej, czy nie słyszysz, że on na ciebie czeka? — mówiła szybko z akcentem, który nie był ani rosyjski, ani żydowski, ani nasz.

— Kto na mnie czeka? — spytałem, bo zaczęło mi świtać w mózgu, że robią ze mnie wariata.

— Nie udawaj — rzekła szorstko. — Chodź...

Kiedy mówiła, patrzałem na jej bose stopy w sandałach. Wąskie, zgrabne, mocne, obciągnięte niewymyślnymi rzemykami. Objąłem palcami łydkę widoczną spod czarnej spódnicy. Trzasnęła mnie pięścią w głowę i kazała wstać. Wstałem. Była mojego wzrostu, kształtna, pierś miała podaną do przodu. Ubrana w czarną spódnicę, bluzkę z cienkiej flaneli; czarna chustka zakrywała włosy spadające luźno. Patrzałem na nią i czułem, że coś się zaczyna ze mną dziać. Był piekielny upał, pot ściekał mi pod koszulą środkiem piersi, nie wiem, co dałbym za to, ażeby móc dotknąć jej szyi, która wyglądała tak chłodno i świeżo.

— Poczekaj — zacząłem.

Krzyknęła coś w swoim języku, odwróciła się, pchnęła drzwi i zeszła po schodach. Ruszyłem za nią i znalazłem się na podwórzu. Było szerokie, od frontu przy ulicy stała parterowa willa, w głębi gospodarskie zabudowania, psia buda, murowany magazyn-garaż. Chodziły kury, na ścianie w liściach winogradu szamotały się wróble. Kobieta obejrzała się, a widząc, że stoję niezdecydowanie, rzuciła przez ramię:

— Idź, idź do niego. Znowu będzie się wściekał. Załatw, póki jest przytomny.

Zawołała na psa w swoim cudacznym języku i weszła w drzwi kuchenne wiodące z ganku do wnętrza mieszkania. Pozostałem ogłupiały na środku podwórza. Kury, wróble, psia miska, szmaty wiszące na płocie robiły wrażenie, że wszystko jest jak w normalnym gospodarstwie, ale mnie się to gospodarstwo nie podobało. Wietrzyłem w nim coś diabelskiego. Nie podobał mi się ten dom na pustkowiu ani sposób, w jaki przemawiała do mnie nieznajoma. Ponadto czułem się

źle. Drżały pode mną nogi, ściskało mnie w gardle. Przyczyną tego było powietrze jak lane szkło. Parzyło oczy, usta, dobierało się do kości. Drugą rzeczą, która wytrącała mnie z równowagi, była cisza... Czuło się, że tam dalej nie ma nic. Tylko tu, w obrębie zabudowań, skupiało się jakieś życie. Wylazł na deski żółty kot, zza ściany dochodził drobny odgłos, jakby ktoś siekł tasakiem stolnicę.

Pchnąłem furtkę i poszedłem ulicą prosto przed siebie. Ulica była puściuteńka, domy kończyły się metr nad ziemią. Gdzieniegdzie sterczał kawał zmurszałej ściany, zwisała futryna okienna, urywały się schody wiodące do nikąd, wisiały w powietrzu druty przewodów wyrwane z nieobecnych ścian. Skręciłem, wszedłem w drugą ulicę. To samo. Rozpalone powietrze nad fundamentami bez domów. Musiał tu operować ktoś zręczny, wyłamując dom po domu, niczym dentysta kleszczami ząb po zębie. Na chwałę jego można było powiedzieć, że znał się na robocie. Cegły wybrano do czysta, żadnych połupanych, rozbitych szczątków. Pozostało tylko zielsko, które bydlęco i obficie wyroiło się wszędzie. Nagle, o Boże! podskoczyłem chyba na pół metra w górę.

Nie byłem wcale przygotowany na widok człowieka w jakiejkolwiek pozycji: leżącej, wiszącej czy stojącej. A ten najdokładniej leżał twarzą do ziemi, przypłaszczony, jakby przejechał po nim czołg. Stałem nad nim nie śmiejąc ani jego, ani sam ruszyć się z miejsca. Bałem się, że zobaczę nieboszczyka bez twarzy. Przemogłem wstręt, przykląkłem i uchwyciwszy go za ramiona dźwignąłem górną połowę ciała. Przewalił mi się bezwładnie w rękach. Klnąc puściłem ciężar. Był to ten smarkacz z ciężarówki spity do nieprzytomności. Pozostawiony na chodniku musiałby zdechnąć z porażenia słonecznego. Wracając tędy natknąłbym się na jego

trupa, a tego wolałem uniknąć z odrazy, którą mam do nieboszczyków. Pociągnąłem go za nogi w miejsce, które od trzech drzew nazywało się cieniste, i gdzie musiało być chyba trzydzieści stopni. To samarytaństwo wyczerpało moje siły. Dysząc jak pies przeszedłem jeszcze kilka takich obgryzionych uliczek. Powietrze zamieniło się w śliskie włókna i moje ciało też było kupą klejowatych włókien. Dokuczało mi uporczywe stukanie pod czaszką. Usiadłem. To mi pomogło. Zorientowałem się, że stukot nie tkwi w mojej czaszce, ale przychodzi do niej z zewnątrz. W tym przeklętym upale ktoś zabawiał się uderzaniem kawałkiem drewna o drewno. Dźwignąłem się na nogi i ruszyłem na poszukiwanie. Przełażąc po fundamentach z jednej uliczki na drugą, lazłem w upale jak mucha po dudniących ścianach beczki ociekającej smołą. Uparłem się dojść. W końcu ten stukot był czymś żywym i tym mnie pociągał. Dla stukającego miałem żywą ciekawość i nieomal czułość, że mu się tak chce, jak gdyby tym sposobem usiłował pokazać mi drogę. Wlazłem na niego niespodziewanie.

Przy małym placyku tkwiła wąska, jednopiętrowa, stara kamieniczka o wyłupanych szybach. Z tyłu przytykał do niej duży ogród. Na parterze przy rozwartym oknie siedział na stołku człowiek i stukał młotkiem w kopyto.

W pracowni tkwiło żelazne łóżko, stara szafa, stół, zarzucony przyborami szewskimi, na podłodze walały się drewniane kopyta. Szewc był chudy, jakby wycięty z jednej listwy, z długą szyją i wąską ciemną bródką przyciętą w klin. Byłem rad, że w końcu trafiłem, oparłem nogę o wystający gzyms i zawołałem:

— Komu pan, do licha, naprawia buty?

Spojrzał na mnie nieprzytomnymi oczyma, chwycił

młotek i począł walić w drewniane kopyto. Odskoczyłem od okna. Wszystko się zgadzało. Byłbym zdziwiony, gdyby w tym miejscu udało mi się spotkać kogoś innego niż wariata. Furtką z ogrodu wysunęła się starowinka z pęczkiem marchwi pod pachą. Stanęła obok mnie.

— On tak zawsze? — spytałem.

— Niech pan da mu spokój — otarła oczy. — Przedtem mieszkali tu ludzie, to syn ładnie zarabiał. Ludzie wyprowadzili się stąd, pouciekali, myśmy sami zostali na całą ulicę, potem na całą dzielnicę, nie było już komu naprawiać butów i syn od tego zwariował. Myśmy swój dom i krowę sprzedali, jak my tu szli, i wszystko się zmarnowało.

— Kto tak rozebrał miasto? — spytałem.

Stara rozjęczała się jak pęknięty dzwon.

— Antychryst przepił całe miasto. Burmistrzem był, prezydentem, jak tu o nim mówili. Wszystko mu było wolno. Chorągiew państwową miał na dachu. Auta tu przyjeżdżały z Warszawy, z Łodzi, z Częstochowy i brały cegłę. Dom po domu rozbierano. Ludzie uciekali stąd jak od zarazy.

— A wy czemu nie idziecie stąd?

— Bo my zapłacili państwu ratę za dom. Pan nie wie, czyby wrócili nam pieniądze, gdyby my chcieli wrócić na stare miejsce. Ja bym modliła się za pana, żeby pan nam pomógł...

Przysunęła się do mnie, od kupy spódnic wionął zaduch jak z ciepłego kurnika. Widziałem jej skórę na rękach cienką, przeźroczystą, czułem na sobie niespokojne spojrzenie. Miałem tego wszystkiego dosyć. Roześmiałem się:

— Zdechnijcie tutaj, kiedy wam tak dobrze.

Stara skoczyła jak rozzłoszczona kura. Zaśmiałem

się jej w nos i poszedłem dalej. Było mi lżej. Czułem się znowu człowiekiem.

Byłem porządnie głodny, od wczoraj nie miałem nic w ustach. Musiałem zawrócić do domu i poprosić moją czarownicę, ażeby dała mi coś zjeść. Zamiast jednak trafić tam, gdzie chciałem, krążyłem w kółko. Może zresztą i znalazłbym przeklęty dom, gdyby stukot młotka nie wyprowadzał mnie z równowagi i nie mącił zmysłów. Ilekroć wydawało mi się, że dom tuż, tuż, wychodziłem na resztki jakiegoś zabudowania albo na pustą przestrzeń. Upał stał się już piekłem. Język przysechł mi do podniebienia, koszula przykleiła się do grzbietu. Ogarniała mnie drżączka i wściekłość, że przyjdzie mi skonać w tej pułapce, w którą wepchnęła mnie moja własna głupota. Ledwie powłócząc nogami, dowlokłem się na tyły jakiegoś domu. Był, o dziwo, cały... Wznosił się nawet komin. Naraz nade mną wybuchnął wrzask rozdzieranego ptaka. Potem wywinął się z tego wrzasku śpiew. To śpiewała ona.

Poznałem, że stoję na tyłach domu, w którym obudziłem się rano. Ona wyszła na ganek, rękawy bluzki miała zawinięte wysoko, chustkę związaną na karku. Teraz już nie śpiewała, jak przed chwilą, w dziwacznym języku, tylko coś z cicha nuciła. Ujrzawszy mnie stojącego skinęła w moją stronę.

— Chodź, chodź — zawołała. — Obudził się i pytał o ciebie.

Byłem na tyle przytomny, żeby zorientować się, iż biorą mnie tutaj za kogoś innego, ale ona działała na mnie i nie chciałem odejść nie porozmawiawszy z nią.

— Chodź, nie stój — zawołała idąc do mieszkania i pozostawiając za sobą otwarte drzwi.

Spojrzałem mimo woli na zegarek. Wskazówki stały. Nie liczyłem się z czasem, myślałem tylko o tym,

żeby pobyć z nią sam na sam. Wyglądała na kobietę, która nie odmawia pragnieniu mężczyzny. Od chwili, gdy mnie rano obudziła, byłem niczym pijak, któremu odebrano ten ostatni łyk.

W środkowym pokoju siedziało ich dwóch przy stole. Ten, który mnie przywiózł tutaj — wysoki, ciemny drab w butach z cholewami, w rozpiętej niebieskiej koszuli. Spojrzałem na drugiego. O, ten był jak buldożer, z którego wykręcono motor. Siedział na krześle w samej pidżamie. Zwalisty, szeroki w ramionach, o potężnej piersi. Włosy miał krótko przystrzyżone, szpakowate, twarz przekrwioną. Sapał i pocił się za trzech. Na stole stała flaszka do połowy opróżniona i dwie szklanki.

— Masz go — rzekł szofer dając mi porozumiewawczy znak. — Chciałeś, żebyśmy ci przywieźli rzeczoznawcę, więc go przywiozłem. On ci powie, ile jeszcze cegieł można stąd wyskrobać.

— Potrzeba mi sto dwadzieścia tysięcy sztuk — burknął stary nie patrząc na mnie.

— Skąd! — roześmiał się szofer. — Potrzeba ci trzy razy tyle. Mnie jesteś winien ze sto trzydzieści tysięcy sztuk. Wziąłeś pieniądze i przegrałeś w karty. Albo dasz cegły, albo wracaj pieniądze.

Stary patrzał na niego bezradny, trzęsły mu się ręce.

— Nie mam z czego. Pomyliłem się o ulicę. Jak Boga kocham. Policzyłem za dużo.

— Gówno to obchodzi tych, którzy ci już zapłacili. Mogłeś był się nie przeliczać. Postaraj się, niech przeniosą cię do innego miasta, i tam będziesz dalej łuskał. W końcu jesteś prezydentem miasta czy nie?

Stary obrócił się w stronę drzwi:

— Maria...

Weszła poprawiając na głowie chustkę. Pierwsze jej

spojrzenie padło na rozwalonego przy stole szofera. Aż mnie coś tknęło.

Kobieta, której podoba się ten jeden, jedyny mężczyzna, nie potrafi tego ukryć. W skłonie jej ciała widać było całą jej słabość ku niemu. Przechylona na jego ramię rzekła mu coś do ucha, wskazując na mnie. Szofer skinął głową:

— Szklankę — powiedział.

Maria zakręciła się w miejscu, wyjęła z kredensu szklankę, postawiła na stole, nalała. Szofer uprzejmym gestem zaprosił mnie. Wypiłem. Obecność Marii ugniatała mi serce. Byłem tu dla niej, a musiałem patrzeć, jak ten łotr pieści jej nogę poprzez spódnicę. Stary wypił i od razu chwyciła go czkawka, zmiękł, osunął się na krzesło, głowa spadła mu na piersi.

— Ma dość — powiedział szofer wstając. — Chodźmy — położył dłoń na karku Marii. — Przygotuj się. Spakujesz, co masz do zabrania, i jedziemy. No, idź, idź — popchnął ją w drzwi, a sam obrócił się w moją stronę. — Mam z wami do pogadania.

Skinąłem głową, zamierzając udawać głupszego, niż jestem. I on zresztą nie wyglądał na orła. Był silny i mógł podobać się kobietom. Powtarzam, że nie miałem zamiaru mu się sprzeciwiać ani zrezygnować z tego, co postanowiłem sobie.

— Chciałem poradzić wam — rzekł odchrząknąwszy — ażebyście zatrzymali przy sobie to, coście tu słyszeli. Inaczej moglibyśmy się spotkać jeszcze i... — nalał sobie wódki do szklanki, wypił.

— W porządku — powiedziałem. — Nie wiem, o czym tu mówiliście. Chcę tylko, żebyście odstawili mnie na stację.

— To się zrobi. Radzę wam nie kręcić się po mieście ani po tej okolicy. Tutaj są takie uliczki, w których

można zabłądzić i już się z nich nie wychodzi. To wam chciałem powiedzieć.

— Cholerę obchodzi mnie wasza okolica... — krzyknąłem. — Dalibyście mi lepiej co zjeść i odstawili na kolej!

— Zaczekajcie tutaj — powiedział wychodząc.

Siedziałem w krześle i piłem powoli ze szklanki przyglądając się prostym meblom, gipsowym figurkom, pelargoniom na oknie. Naprzeciwko mnie drzemał, sapał i ślinił się na krześle stary. Duszno tu było jak w wystawionej na upał skrzyni. Czułem, że za moimi plecami szykuje się draka. Szofer ze swoją lubą i węzełkami starego gotowali się zwiać. W rachubach nadobnej pary ja się nie liczyłem. Mózg mój pracował ociężale na skutek gorąca, ale z nieruchomą pewnością tego, co winno nastąpić. Wyszedłem z domu i obszedłem go naokoło. To mi nic nie dało. Zajrzałem przez okno do wnętrza przykuchennej izby. Zwrócony plecami do okna szofer ładował do worka kawały skóry. Maria przykucnięta na podłodze, obejmując ramionami kolana, patrzała na ruchy mężczyzny jak pies na swego pana.

To mi wystarczyło. Odskoczyłem od okna, pobiegłem w stronę uliczek. Krążyłem, póki nie znalazłem smarkacza. Spał smacznie tam, gdzie go zostawiłem. Powlokłem go pod kran uliczny i lałem wodę na głowę, aż zaczął się ruszać, bronić rękoma przed strumieniem zimna. Posadziłem go na chodniku.

— Umiesz prowadzić auto? — wrzasnąłem mu do ucha.

Musiałem powtórzyć to kilka razy, zanim zrozumiał.

Skinął głową.

— Musimy poderwać auto. Jak się ten szofer nazywa?

— Feliks. A ty ktoś jest, do cholery? — nie poznawał mnie.

— To się będziesz potem zastanawiał. Przypomnij sobie, bałwanie, jakżeście mnie przywieźli nocą.

Spojrzał na mnie jednym okiem i znowu oba zamknął.

Puściłem mu nowy strumień na twarz.

— Przestań, do cholery — wykrztusił. — Czego ode mnie chcesz?

— Nie stawiaj się, jak nie wiesz, z kim masz do czynienia. Kto ona jest?

— Jaka ona?

— Ta dziewka u waszego starego.

— Jak wiesz, kto ona, to co się pytasz? — rzekł spluwając. — Tobie co do tego?

— Bo gada tak jakoś.

— Po macedońsku. Stary ją wziął, a potem odebrał mu ją Feliks. Oni się kochają. Miłość jak cholera, rozumiesz?

— Słyszałem przez ścianę.

— To czego od niej chcesz? Odczep się.

— Feliks ładuje towary na ciężarówkę. Musimy złapać moment, kiedy oboje będą w domu, i zdmuchnąć auto.

— Po jaką cholerę? — rzekł obojętnie. — Ja do niego nic nie mam. To mój kolega.

— Po taką cholerę, że zdechłbyś tutaj, gdybym cię nie był odciągnął rano nieprzytomnego z chodnika i nie ulokował w cieniu. Pies z kulawą nogą by nie wiedział, że twój trup tu gnije. Decyduj się, bo nie mam czasu.

Namyślał się, zerknął na mnie.

— Macie papiery, gdyby zatrzymała nas milicja?

— Nie twoja głowa. Ty masz auto prowadzić.

— Dokąd?

— Na stację.

— Znacie zawiadowcę?

— No chyba — zełgałem. — Mój kumpel.

— Jeść mi się cholernie chce — mruknął. — Może byście mi przynieśli coś do żarcia.

— Siedź tutaj, nie wychylaj łba, aż cię zawołam — powiedziałem ruszając w stronę domu. — Pamiętaj, że ja ci uratowałem życie, kiedyś tu śmierdział na czterdziestu stopniach upału. Odwieziesz mnie na stację i niech cię potem szlag trafia. Powiedz mi jeszcze, jaka ona jest?

— Względem czego?

— Lubi tę zabawę?

— Idź do niej, zapytaj się. Ja ci nie będę jej trzymał.

Przed domem stała ciężarówka, chyba ta sama, którą przyjechałem w nocy. Przysiadłem na ganku, gdy z kuchni wyszedł Feliks dźwigając wypchany worek. Ujrzawszy mnie przystanął:

— Gdzieście się podziewali przed chwilą?

— Szukałem czegoś do żarcia. Chyba nie każecie mi tutaj zdechnąć z głodu?

— Maria... — zawołał, a gdy ukazała się w oknie: — daj mu zjeść.

Wyniosła mi na ganek talerz pełen rosołu z makaronem i kawał kurzego mięsa. Zjadłem, zaspokajając głód. Sytość trochę mnie obezwładniła, miałem ochotę wyciągnąć się gdzieś i zdrzemnąć. Wstałem z zamiarem udania się do pokoju, kiedy akurat Feliks krzyknął do Marii znoszącej jakiś tobół ze strychu:

— Ja podjadę do centrum, zabiorę skrzynkę, a ty się przez ten czas przyszykuj i przychodź... Siadaj... — zawołał do mnie.

Usiadłem koło niego w szoferce. Pojechaliśmy. Teraz już nie mogłem nic zrobić. Kiedy patrzałem na jego

pięści, odechciewało mi się Marii. Zajechaliśmy na mały placyk. Feliks zeskoczył, wszedł pomiędzy rozgrzebane fundamenty, wyniósł stamtąd niedużą skrzynkę i rzucił na platformę. Sam zasiadł w szoferce, zapalił papierosa. Patrzałem spod oka na jego mięśnie i czułem, jak opuszczają mnie wszystkie pomysły. Minęło tak może pół godziny. Feliks spojrzał na zegarek i zaklął.

— Guzdrze się. Powinna już być.

— Podjedźmy — poradziłem.

— Nie chce mi się hałasować motorem, budzić starego — burknął. — Idźcie do niej, powiedzcie, że tu czekam. Niech nie zabiera żadnych łachów, tylko przychodzi zaraz.

Tak więc, gdy ja już zrezygnowałem, sam wysłał mnie do niej.

Stary rozciągnięty przy kanapie spał na dywanie. Obszedłem cały parter. Gdyby była opuściła już dom i teraz znajdowała się na drodze do auta, byłoby dla niej najlepiej. Wyszedłem na podwórze kuchenne, stanąłem u schodów wiodących na stryszek, zawołałem:

— Maria...

— Czego? — odezwał się przytłumiony głos ze strychu.

Gdyby była się nie odezwała, zawróciłbym do ciężarówki. Ale jej głos jak głos rozdzieranego ptaka podżegał krew w człowieku. Wylazłem schodami na stryszek. Stała w półmroku tyłem do drzwi, nachylona nad owczymi skórami. Mdlący odór wełny i ciepły zapach potu Marii — to było ostatnie, co zapamiętałem.

Oderwałem się od niej. Spojrzałem w dół, w jej twarz. Otwierała zwolna oczy. Chciałem ją popieścić, poszukałem jej ust wargami. Szarpnęła się wściekle i zrzuciła mnie ze swego ciała, jakby była znieważoną

dziewicą, a nie dziewką tego szofera. Jakbym był najgorszym, najpodlejszym bydlęciem, a ja ją przecież kochałem.

Na podłodze, koło mej ręki leżał żelazny, ciężki hak od okiennicy. Nie myślałem o nim wcale, a jednak znalazł się w mej dłoni. I kiedy ona, nabrawszy śliny, plunęła mi w twarz, położyłem ten hak poprzecznie na jej krtani i z całej siły z dwóch stron przycisnąłem.

Potem ułożyłem porządnie jej nogi, bezwstydnie rozrzucone, obciągnąłem na kolanach spódnicę, na twarz zarzuciłem baranią skórę, jakbym mówił tym gestem: „Dobrze ci tak" i dopiero zeszedłem na dół.

Koło studni upalne powietrze odjęło mi zmysły. Potoczyłem się na płot, zwymiotowałem. Musiałem zmitrężyć sporo czasu, bo w połowie drogi do auta spotkałem Feliksa. Jak można było przypuszczać — ten gruboskórny dureń niczego nie spostrzegł po mojej twarzy.

— Gdzie Maria?

— W piwnicy. Pakuje jakąś skrzynkę.

Klnąc ruszył w stronę domu. Puściłem się pędem do miejsca, gdzie zostawiłem smarkacza. Strach, co będzie, gdy go nie zastanę, podnosił mi włosy na głowie. Smarkacz mógł zrobić mi kawał. Ale nie... stał, czekał na mnie, byłbym ucałował jego kolana.

— Do auta... — wyrzuciłem ze siebie bez tchu.

Ten był bystrzejszy od swego kompana. Spojrzawszy na mnie wyszczerzył zęby:

— Dobra była zabawa?

— Prędzej — nagliłem — do auta...

Zdyszani dopadliśmy wozu. Smarkacz dał od razu gaz, popędziliśmy jak wariaty. Jechaliśmy dobre pół godziny, przez cały czas nie mówiąc do siebie słowa.

Widać już było zarysy stacji, kiedy wóz zwolnił biegu.

— Czemu stajemy? — spytałem.

Zahamował na pustej drodze i zeskoczył.

— Wyłaź — powiedział otwierając szerzej drzwiczki.

Posłuchałem.

— Teraz jesteśmy na czysto — powiedział. — Ty mnie wyratowałeś, kiedy mogłem był zdechnąć od udaru, ja cię podwiozłem na stację. Jesteśmy kwita i mogę ci się zrewanżować tak, jak mi się podoba.

Leżałem na ziemi. Siedząc na mnie okrakiem, walił mnie po mordzie, powtarzając przez zaciśnięte zęby:

— Masz... masz za nią... masz za Feliksa, wieprzu... masz swoją zabawę... żebyś pamiętał na długo...

Zostawił mnie na drodze pobitego do nieprzytomności. Wskakując do wozu krzyknął na pożegnanie:

— Trzymaj się zdrów, wieprzu...

Dowlokłem się do stacji i tu umyłem się pod pompą. Na peronie nikt mnie nie zatrzymywał. Na szynach stał pociąg gotowy do odjazdu.

W pociągu wykupiłem bilet, płacąc karę jak lojalny obywatel. Konduktor wytłumaczył mi, że popełniłem nadużycie, bo powinienem był zameldować przed odjazdem pociągu, że nie mam biletu. Potakiwałem skruszony. Chowając kwit do kieszeni, poczułem się uratowany, oczyszczony, wolny. Zapłaciłem karę. Wolno mi było jechać dalej. Jechałem...

Sam nie wiem, ile to lat minęło od tamtego zdarzenia. Jestem cenionym pracownikiem i stawianym za wzór przełożonym. Wszyscy, którzy znają mnie bliżej, podkreślają moją umiejętność w podchodzeniu do ludzi. Nigdy nie byłem karany. Nie popełniałem szwindli. Nie znoszę gwałtów i samowoli. Ponieważ zdarzało mi się publicznie mówić ze smutkiem o rozdzierającym serce położeniu gospodarczym niektórych

miasteczek na ziemiach odzyskanych, ludzie słuchający mnie z szacunkiem urobili mi opinię wybitnie uzdolnionego aktywisty w dziedzinie ożywiania ziem zachodnich. Szereg lat spędziłem na wysuniętych daleko na zachód placówkach, jednakże przez skromność nie brałem nigdy posady powyżej wiceprzewodniczącego MRN.

Ożeniłem się. Moja żona jest nadzwyczaj schludną kobietą, kocha się w pedanterii i czystości. Gdy wieczorem przychodzę do jej sypialni, wiem, że czeka na mnie w świeżo odprasowanej nocnej koszuli, a poduszka jest skropiona wodą kolońską. Rozbieram się obok łóżka z pościelą pachnącą dobrym mydłem. Tak więc moje życie jest całkowicie unormowane. Jednakże oddałbym cały roczny zapas Palmolive'u mej żony za woń owczej skóry i potu. Gdy żona dąsa się, że ją zaniedbuję, radzę jej półżartem, aby powiesiła sobie nad łóżkiem skórę baranią.

Nie mogę zaręczyć, czy to wszystko, co opisałem, zdarzyło się naprawdę. Nigdy nie dowiedziałem się nazwy tamtego miasta. Może ono nie istnieje w rzeczywistości. Jestem skłonny wyznać, że sam wymyśliłem sobie tę całą historię oczekując pociągu na stacji. Znacie te małe stacyjki? Można na nich zdechnąć z nudów. Tyle z nich dobrego, że można na nich pomarzyć o tym wszystkim, za czym się w życiu tak cholernie tęskni.

Listopad, 1957 r.

Placówka cywilizacji

Dość pospolite powody zagnały mnie przelotnie w kąt ojczyzny, do którego cywilizacja dotarła z niemałym trudem pokoleń, a wyższa technika dawała teraz o sobie znać zamierającym gwizdem lokomotywy posuwającej się po szynach na styku pofalowanych wzgórz i niepokojącej przestrzeni nieba.

W kotlinie, pomiędzy wyniosłościami garbów leśnych, znajdowała się osada licząca może sto domów. Stare budynki mieszkalne były wąskie, o ostrych, spadzistych dachach, z drzewa lub murowane. Brązowa farba na drewnianych gankach, balkonach i werandach dawała im wygląd domów z piernika. Cisza i pustka wyludnionych mieszkań pozwalała mniemać, że ich użytkownicy ulotnili się na miotłach, porwani przez szare mgły i skłębione białe obłoki, zlewające się z pagórków na dolinę.

W domach nie pozostał nawet kot. Jedynymi mieszkańcami osady, których udało mi się w dniu mego przybycia spotkać, były dwa żywe zające. Wypadły z willowego ogródka, zastygły we wdzięcznej pozie na dróżce i bez pośpiechu pokicały przed siebie, w górę chodnikiem, który wchodził w las i ginął zatłamszony przez próżniaczą roślinność, pleniącą się bujnie i zuchwale. Na chodnikach, na asfaltowym gościńcu pełno było żółtych i brunatnych liści, z jesiennym szmerem skwapliwie usuwających się spod nóg. W środku osady, na podniesieniu wyłożonym płytami, widniał

martwy wodotrysk, przygasłe kwietniki i kamienne ławki, jakby wgniecione w ziemię ciężarem własnej nieprzydatności. Nieco powyżej wzniesienia stał długi budynek letniej restauracji z letnim kinem, zamieniony na Dom Kultury. I zapewne było w osadzie wiele, wiele innych rozsądnych i użytecznych budowli, których celowości nie miał teraz kto oceniać. Wokół ciągnęły się przetrzebione lasy, pastwiska bez bydła, a przy asfaltowej szosie dokonywały żywota sczerniałe domy, podobne do orzechów, których wnętrza zjadła pleśń i stoczyły robaki. Ponad nimi niezmącona kopuła, której zadaniem było sprawiać wrażenie szczęśliwości, harmonii i słodyczy.

Tego roku jesień była wyjątkowo słoneczna i czysta. Pewnego dnia poszłam na spacer do lasu. Ścieżka prowadziła coraz wyżej i wyżej. Błotnista grzybowa woń gęstniała w ciemnych zatokach polan. Świerkowo-jodłowy las maszerował zwarcie, zbitą masą pod górę. Tylko gdzieniegdzie niczym westchnienie ze stłoczonej piersi wzbijał się w górę, ku błękitowi rudy, sypki obłok igliwia na modrzewiowym wierzchołku.

Skręciłam w bok i weszłam na otwartą polanę. Kiedyś musiała przejść tędy burza, pozostawiając podobne do cmentarzyska czaszek, kłów i rogów — strzaskane pnie, świecące golizną, rozłupane konary, obłuszczone wykroty. Pośrodku polany stało w błocie kilka wozów ciężarowych i snuły się ludzkie postacie. Wszyscy byli ubrani podobnie: w watowane kurtki i spodnie, czapki z nausznikami, nosili kożuchy lub skórzane kurtki. Z twarzami umalowanymi na pomarańczowo łazili tam i ówdzie jak duchy w sennym zamroczeniu. Inni leżeli w igliwiu, niczym na partyzanckim biwaku, i założywszy splecione dłonie na karku patrzyli w czyste niebo.

Była to ekipa filmowców w pełnym rynsztunku, obo-

zująca wraz z aktorami na polanie w oczekiwaniu chwili sposobnej do zdjęć. Zajmowali najprzyzwoitszy dom w kotlinie i przyjeżdżali codziennie rano na polanę, która z jakichś względów odpowiadała im najbardziej.

Celem ich pobytu było stworzenie dzieła sztuki. Byli to bardzo sympatyczni, rześcy, energiczni, pełni życiowych pomysłów ludzie, którzy po powrocie z polany jedli obfity obiad, zmywali szminkę z twarzy, grali w karty i czytali wiadomości sportowe.

Ponieważ w kotlinie poza mgłą, która raz opadała, to znów wznosiła się, nie było niczego, co by mogło rywalizować z aktywnością ekipy, zdradziłam kamienne ławki na rzecz polany. Dzięki zapałowi zespołu praca posuwała się szybko i przybywało metrów taśmy. Kilkakrotnie opowiedziano mi filmowaną historię, która miała pozostawiać wstrząsające i niezatarte wrażenie.

Tak więc pod promienną kopułą niebios zdążał ku końcowi ostatni czas domów, dróg, rzeczy, a obok tego nakręcano żwawo zmyśloną fabułę, co w sumie sprawiało wrażenie, jakby ktoś wynajął sobie ruiny do odegrania w nich pomysłowej anegdoty. Niemniej jednak dobra wiara ekipy w autentyczność tego, co z takim znawstwem usiłowali odtworzyć, zasługiwała na szacunek, jak wszystkie ludzkie złudzenia wynikające z głodu wyobraźni.

Tymczasem w kotlinie nic się nie zmieniło. Dwa zające wyniosły się zdecydowanie do lasu, a słupy podtrzymujące werandę domu przechyliły się bardziej, zapowiadając upadek. Codziennie słońce wstawało w blasku i wspaniałości zupełnie niestosownej dla tego niszczejącego kąta, spóźnionym dreszczem zagrzewało pola z trawą pożółkłą i szorstką, postęp dawał o sobie znać zamierającym gwizdem niewidocznej lo-

komotywy, a mieszkalne domy, wyzbyte ciepła i użyteczności, stojąc koliście wokół placyka podtrzymywały niezdarnie iluzję swej przydatności komuś czy czemuś.

Po południu ekipa powracała z lasu i wtedy w dużej jadalni rozlegał się szczęk nakryć zdumiewający w tej głuszy. Później zapalały się lampy i mgła spadała na kotlinę. Trwało to kilka godzin. Mgła rozciągliwa i lepka uszczelniała ściśle osadę, przynosząc zapach butwienia i niepewności. Wieczorem mgła zazwyczaj znikała i w całej urodzie występowały gwiazdy. Na dole czerń nocy była tak spoista, że schodząc ze stopni odczuwało się potrzebę wyciągnięcia rąk przed siebie i sterowania nimi jak w wodzie.

Wówczas dom ze swoim banalnym chodnikiem czerwonym, zaścielającym długi korytarz, z roślinami w wazonach, z lustrem w hallu, z hałasem dochodzącym z kuchni, gdzie zastęp służby siekąc, smażąc, płucząc, służył wzniosłemu celowi podtrzymania życia — nabierał czcigodnego znaczenia.

Któregoś poranku wyszedłszy z domu natknęłam się na ludzi naprawiających chodnik. Było ich sześciu, twarze mieli zmęczone i obojętne. Pod ciepłymi kurtkami nosili jednakowe flanelowe bluzy od pidżamy. Fakt naprawiania chodnika na tym odludziu był sam w sobie wystarczająco dziwaczny. Przy bliższym rozpatrzeniu stawał się przejmujący. Lakoniczna powolność pracy robotników miała cechy czystej sztuki. Z książką w ręce usiadłam obok na ławce z zamiarem pogrążenia się w czytaniu, jednakże widok ludzi działał nieodparcie. Kilku pracowało rozsądnie, reszta grzebała w piasku w sposób dowodzący ich nieutylitarnego nastawienia do robót porządkowych. Dłubali pomiędzy płytami chodnika, stukali młotkiem, zachowując powagę dzieci udających pracę dorosłych. Stojący obok

nich człowiek w płaszczu i w kaszkiecie — prawdopodobnie dozorca robót — zdawał się zgoła nie przejmować tym stanem rzeczy.

Po kilku godzinach, widząc, że tamci odchodzą, zamknęłam książkę, aby ruszyć za nimi. Szli nieznaną mi drogą w bok. Wąski chodnik prowadził wśród szpaleru młodych świerków, jakby umyślnie posadzonych tutaj. Szpaler tworzył zakręt i wychodził na obszerny plac, gdzie stało kilka dwupiętrowych budynków z czerwonej cegły. Całość otoczona była siatką, z furtą zamkniętą i strzeżoną przez odźwiernego. Postępujący przede mną orszak należał do uprzywilejowanych. Furtka otworzyła się i przyjęła ich.

Takie zamknięte i strzeżone ogrodzenia mają uporczywą moc nad naszą wyobraźnią. Na szczęście rozmowność kucharki przyszła mi z pomocą.

Kilka lat temu szukano tu złóż uranowych. Osada robotnicza miała rozwinąć się w wielkie miasto. W pośpiechu zbudowano trzy bloki dla administracji, techników, inżynierów, kierujących w przyszłości kombinatem uranowym. Rzecz okryta była tajemnicą, lecz w jej mroku lęgły się już oślepiające wizje bogactwa, namiętne podszepty chciwej wyobraźni. Poszukiwacze efektownych zarobków ściągali zewsząd, warując cierpliwie poza strzeżonym obszarem na podobieństwo wilków, gdy głód trzymany jest na smyczy strachu. Wszystko to zapowiadało razem, że na miejscu złóż uranowych rozwinie się w przyszłości potężna placówka cywilizacji.

Niestety. Zawiodła przenikliwość geologów i ambitne zamierzenia planistów. Nie znaleziono złóż uranowych. Po marzeniach o nowej placówce cywilizacji pozostały trzy czerwone bloki, przez długi okres stojące pusto. Chcąc je wykorzystać, umieszczono w nich ośrodek leczniczy dla psychicznie chorych. W budyn-

kach przebywali umysłowo upośledzeni, którzy jako uboczny produkt postępu techniki naszego wieku strzeżeni byli siatką od otoczenia.

I jakkolwiek na to otoczenie składały się jedynie (nie licząc filmowej ekipy) — martwe ściany, kamienne ławki i swarliwe liście na ścieżkach, nie należało się dziwić, że personel pielęgniarski okazywał swą ludzkość przez surowe przestrzeganie zakazów. Zapewne czynili to w przekonaniu, że ich powinnością jest udawać, iż wszystko wokół jest normalne i po ludzku godziwe, a tylko trzy czerwone budynki stanowią wydzielony rezerwat odstępstwa człowieka od ustalonych norm postępowania.

Przesiadując na kamiennej ławce, doszłam do pewnego rodzaju wzrokowej znajomości z naprawiającymi chodnik. Niektórzy z nich przychodzili raz tylko, by więcej się nie pokazać, kilku zjawiało się codziennie. Pewnego dnia małoznaczny wypadek zakłócił opieszały rytm pracy.

Jeden z „zakładników" (jak nazywała ich służba pensjonatowa) odszedł spokojnie od chodnika, wyciągnął się na ławce i założywszy splecione ręce pod kark, leżał tak bez ruchu. Dozorca drgnął i wytrzeszczył oczy, jak gdyby mechanizm jego mózgu natrafił na nieprzewidzianą przeszkodę. Reszta zatrudnionych robiła nadal swoje. Dozorca (sądząc z tępoty twarzy był to dozorca; niewzruszona obojętność, z jaką traktował roboczy zastęp, wskazywała na pielęgniarza) podszedł do leżącego, potrząsnął za ramię.

— Wstawaj, masz iść do roboty.

Leżący zerknął ku mnie. Była to twarz młoda, smagła, o lekko skośnych oczach, których wzrok błądził wszędzie bez zatrzymania się. Uśmiech ozdabiający męskie, ładne usta miał w sobie pewną miłą poufność, jakby „zakładnik" zwierzał się komuś zaprzyjaźnio-

nemu. Patrzał z porozumiewawczym błyskiem wesołości w moją stronę, a jego latający wzrok skupił się i ustatkował.

Dozorca demonstracyjnie głośno powtórzył:

— Masz iść do roboty, słyszysz?

— Odczep się. Ja robię za was wszystkich.

— Ty?

— Tak — zabrzmiało stanowczo.

— Słyszycie? — dozorca poprawił na głowie kaszkiet. — On robi. Co ty robisz?

— Myślę — rzekł z godnością tamten i uczyniwszy porywczy gest dłonią, odcinający go od całej reszty, od chodnika i dozorcy, przymknął z powrotem oczy.

Dozorca, nabrawszy oddechu, rzucił wokół spojrzeniem, jakby wzywał na świadka niebiosa i ziemię przytomne bluźnierstwu „zakładnika". Nic jednakże nie wskazywało, że niebiosa czują zainteresowanie w sporze dwojga istot, których łączyło nie tyle podobieństwo duszy nieśmiertelnej, co różnica unerwienia. Skinął mi głową jak sojusznikowi stojącemu razem z nim nieskończenie wyżej ponad postacią wyciągniętą na ławce, po czym tonem porozumiewawczym powiedział:

— Słyszała pani, co taki jeden dureń gada?

Nastało milczenie. Obaj czekali na mój głos w sporze, który mimo swej gruboskórności miał dość delikatne znaczenie. Dozorca domagał się od „zakładnika" respektowania porządku i władzy, „zakładnik" w imię własnych racji, których rąbek uchylił w sposób dość wyniosły, uważał za słuszne wyłamać się z rygoru.

Milczenie nie mogło trwać bez końca. Obaj antagoniści patrzyli w moją stronę. Leżący — przez zmrużone powieki, co jego twarzy nadawało wyraz chytrej ciekawości. Dozorca — wytrzeszczając oczy i ocierając usta wierzchem dłoni.

Uczyniłam to, co wszyscy możni tego świata w niewygodnej dla nich sytuacji. Wstałam z ławki, zabrałam książkę i odeszłam. Wchodząc w bramę obejrzałam się za siebie. Dozorca prowadził mężczyznę do miejsca pracy. Postać skromnego buntownika, idącego z pochyloną głową, wydawała się z daleka bardzo młodzieńcza i szczupła.

Wspomnienie tchórzostwa sprawiło, że przez następny tydzień byłam bardzo uczynna, bardzo koleżeńska i serdeczna w stosunku do otoczenia z ekipy. W efekcie nabrałam z powrotem zaufania do własnej wielkoduszności. Czułam się dobrze pod warunkiem unikania widoku ludzi naprawiających chodnik i ich dozorcy.

Pewnego wieczoru w jadalni, gdy większa część członków ekipy odpoczywała po trudach leśnego obozowania, padła głośna propozycja:

— Słuchajcie, a może byśmy odwiedzili starego leśniczego w lesie? Kiedyś spotkałem go, prosił, byśmy przyjechali na jednego robra.

Mówiący był aktorem, którego rola wymagała ambitnego prowadzenia ciężarówki. Aktor sprostał swemu zadaniu jeżdżąc we wszystkich wolnych chwilach starym willysem. Można go było spotkać o różnych porach dnia, gdy wypadał nagle z zakrętu charczącym, zgrzytającym, żelaznym pudłem. Skulony za kierownicą, z rozwianym blond włosem, pędził z szatańską szybkością po pustych drogach niczym mściwy, zdegradowany duch wyklętej cywilizacji.

— To bardzo dobra myśl! — ucieszył się młody operator, lubiący przyrodę i zwierzenia, którego szczerej prostoduszności nie zdołała przyćmić nawet mefistofelesowska bródka. — To będzie bardzo ładnie, jeśli pojedziemy do staruszka i rozerwiemy go trochę.

Ruszyliśmy we czwórkę willysem. Na drogę składa-

ła się ciemność, wyboje, szczęk i podrzuty wozu, jak gdyby wleczono nas po kamieniach w rozlatującym się żelaznym pancerzu. Po godzinie byliśmy na miejscu. Otaczał nas las. Przed nami okienko światła dawało znać o ludzkiej obecności.

— Ostrożnie, tu jest próg! — wołał operator.

Przez ciemną sień weszliśmy do izby, której otwarte do pokoju drzwi użyczały trochę światła. W tej drugiej izbie paliły się świece. Przy ich blasku dało się spostrzec w kuchni gliniany piec, drewnianą półkę przy ścianie, ławę i inne domowe statki. W oświetlonych drzwiach stał gospodarz zapraszając gestem do wnętrza. Można powiedzieć, że oczekiwano nas uroczyście. Stojący na środku stół zasłany był kocem, na stole paliły się trzy świece przyklejone do szklanych spodków. Wokół stołu rozstawione symetrycznie cztery stołki. Pod ścianą łóżko żelazne przykryte innym kocem, stara szafa i kilka par wysokich butów.

Gospodarz ściskał nam po kolei rękę. Usiedliśmy, leśnik naprzeciwko nas. Był szczupły, lekko pochylony, biała czupryna krótko przystrzyżona, twarz w podłużnych bruzdach. Osiągnął ten wiek krzepkiej starości, gdzie lata, dokonawszy swego dzieła, poprzestają na cyzelowaniu zakrzepłych rysów. Nosił czystą, choć nie uprasowaną koszulę i skórzaną kamizelkę pod przyniszczonym ubraniem.

Zabrawszy ze stołu jedną ze świec, znikł w mrocznej izbie będącej kuchnią. Rychło pojawił się z powrotem, niosąc ostrożnie w dłoni słoik wypełniony brunatną masą. Gdy zdjął pokrywkę, w pokoju rozeszła się ostra woń marynaty. Podał na stół dwa talerze i dwa stare widelce.

— Przepraszam, ale tak rzadko u mnie ktoś bywa, że nie gromadzę nakrycia. Państwo będziecie musieli się obejść tymi dwoma widelcami.

Niczym diabeł Boruta znowu znikł w ciemnej pieczarze, aby za chwilę pokazać się na progu z butelką w jednej i trzema szklankami po musztardzie w drugiej ręce.

— Zamiast kieliszków — tłumaczył się stawiając szklanki. — Wygląda to nieszczególnie, ale pić można bez obawy. Ja sam nie używam alkoholu, a trzymam tylko dla gości. Przed pięcioma miesiącami byli tu turyści z Warszawy. Bardzo sobie ten trunek chwalili. Musicie państwo wybaczyć, że nie podałem chleba do grzybów — usprawiedliwiał się napełniając szklanki nalewką — ale ostatni raz byłem w mieście dwa miesiące temu i zapas sucharów mi się skończył. Mam jeszcze ćwierć worka owsianki, to mi wystarczy.

Nalewka miała zdumiewający smak, przekąska z solonych rydzów zachęcała do konsumpcji. Gospodarz dolewał i dokładał. Płomyki świec nadawały izbie wygląd schroniska, a nam spiskującego sprzysiężenia. Mrok i głusza pilnowały nas.

Operator rozejrzał się po izbie nieoswojonym wzrokiem i zwrócił go na skromną postać gospodarza:

— Panu nie przykrzy się tak samemu mieszkać?

Zapytany łagodnie zaprzeczył głową.

— Przyzwyczaiłem się.

— No dobrze, ale jak pan może tak wyżyć sam?

— Mam obowiązki, pilnuję lasu. Pan rozumie.

Operator zrozumiał na ludzki sposób:

— No tak, prawda, zapomniałem, że pan poluje...

— Nie, proszę pana. Polowałem przed dwudziestu sześciu laty. Teraz zadowalam się czymś innym. Przyglądam się. Co rano przychodzą tutaj sarny. Zwierza jest dość dużo. I gdyby nie wyrąb lasów... — westchnął. — Ale ostatnio od roku dali spokój. Popsuły się drogi. Ale ja państwa pewnie nudzę...

Zostało to przyjęte jako zachęta do wyłożenia talii

kart. Rozegraliśmy jednego robra. Operator tasujący karty czynił to z miną człowieka usiłującego rozwiązać dręczącą go zagadkę. Najprawdopodobniej żywił podejrzenie, iż gospodarz ukrył przed nami zasadniczy powód, tłumaczący jego pobyt i pełnienie obowiązków w tej głuszy. Błądząc spojrzeniem po ścianach, rzekł nieufnie:

— Ale przecież musi pan od czasu do czasu zaopatrywać się w żywność?

— Pan ma na myśli, że chodzę do chłopów? — zapytał leśniczy z lekka sztywniejąc.

— Do chłopów?! — wykrzyknął operator. — Więc tu są jacyś chłopi? Nigdy nie przypuszczałem.

— Dlaczegóżby nie? — podjął leśniczy patrząc na młodego człowieka z uwagą. — W tej okolicy jest kilkanaście rodzin. Przyzwyczaili się do warunków. Trudno powiedzieć dokładnie, jak żyją, ale żyją. Każdy chowa przynajmniej kozę. Wie pan, tu trudno o mleko, a oni mają dzieci. Hodują po dwie, trzy owce, drób. Kury są tutaj bardzo dzikie, ale niosą jajka. Kiedyś znalazłem w potrzasku domową kaczkę. Trzymałem ją kilka dni, czekając, aż się ktoś zgłosi. Któregoś dnia zdechła.

— Więc jednak są tu jacyś ludzie — rozważał operator z otuchą w głosie. — No to może pan przynajmniej kupić od nich coś czy wymienić na masło albo na jajka... — ciągnął z widoczną ulgą.

Gospodarz, który wstał przed chwilą, ażeby wziąć z okna słoiczek z marynatą, odwrócił się wyraźnie zgorszony:

— Pan mówi: „wymienić coś na jajka"? — zamyślił się poważnie, jakby usiłując zgłębić ten problem do dna, i potrząsnął kategorycznie głową. — Nie, proszę pana. Nie mógłbym tego zrobić. Chłop, do którego poszedłbym po jajka czy po inną rzecz z jego gospodar-

stwa, uważałby, że jestem zobowiązany do wyświadczenia mu w zamian jakiejś grzeczności. Mówiąc ściślej, czułby się uprawniony do ściągnięcia drzewa z lasu. A mnie wypadałoby udawać, że tego nie widzę. Jestem tutaj po to, ażeby reprezentować prawo. Mieszkam tu od sześciu lat i nie zdarzyło mi się jeszcze ani raz pójść do chłopa po jajko.

Powiedział to i niczym ostrożny duch znikł w mrocznej izbie. Westchnęliśmy szukając nawzajem swych oczu. On uważał się za reprezentującego prawo w tej głuszy!... W imię przyjętego na siebie obowiązku nie pozwolił sobie przez sześć lat na zakup jajka, aby nie dać się omotać pokusie poufałości, mogącej skazić przejrzystość jego obowiązków i zadań. I ten subtelny problem rozstrzygał się w dziczy, gdzie rosły i butwiały lasy, rozsypywała się martwa osada i kruszały drogi. Cnota leśniczego godna była podziwu czy śmiechu? Jaka była jej wartość wobec zniszczenia, które dokonywało się tutaj?

Rober był skończony. Aktor, który codziennie o tej porze rozmawiał telefonicznie z narzeczoną, spojrzał na zegarek:

— Dajcie spokój! — zawołał. — To już jedenasta. Zasiedzieliśmy się.

Gdy gospodarz wyszedł z kuchni z dwoma słoiczkami specjałów w ręku, zastał nas stojących wokół stołu i gotowych do drogi. Nie zdradziwszy swego rozczarowania, ściskał nam rękę i dziękował serdecznie za pamięć.

W drodze powrotnej operator, milczący cały czas, wyrzucił z siebie mrukliwie:

— Jesteśmy bydlęta. Trzeba było zostać chociażby na jednego jeszcze robra.

Następnego dnia telegram wezwał mnie do powrotu. Gdy pociąg wydostał się na wzgórza, podeszłam

do okna usiłując dojrzeć opuszczaną kotlinę. Nie było jej. Na tamtym miejscu rozpościerała się biała, świetlista substancja. To mgła, jakby biorąc mściwy odwet za wtargnięcie w jej obszar, pochłonęła wszystko, grzebiąc pod sobą martwą osadę, ścieżki zamieszkałe przez liście, aktorów odgrywających swój wymyślony dramat i wzniosłą w swej bezużytecznej uczciwości postać starego leśnika. Nie ostało się nic. Wszystko pokrywał opar bezkształtny i nieuchwytny, który wymazał z krajobrazu placówkę cywilizacji tak, iż nie pozostał z niej żaden ślad, któremu można by zawierzyć.

Listopad, 1957 r.

Ogród przy pawilonie psychiatrycznym

Mieszkając przez jakiś czas w mieście wojewódzkim M. odwiedzałam wielokrotnie pawilon psychiatryczny i stąd obraz jego utrwalił mi się w pamięci.

Muszę ponadto dodać, że był rok 57, czas wielkich nadziei i wielkiego zamętu głów, kiedy w powszechnym dążeniu do ładu, sprawiedliwości i spokoju nie ostała się w naszym kraju bodaj jedna dziedzina, której by w poszukiwaniu stabilności — nie przewrócono do góry nogami. W prasie pełno było doniesień o rehabilitacjach, rewizjach byłych procesów, prostowaniu błędów.

Po tej kronikarskiej wzmiance wracam do pawilonu numer dziesięć, który stał w głębi podwórza, niewidoczny z ulicy, bo oddzielony od niej kompleksem budynków szpitalnych. Budowany przeszło pół wieku temu, miał w sobie tępotę i solidność obowiązującą dla gmachów tamtego okresu.

Budynek otoczony był siatką, umieszczona w niej furtka otwierała się za pociśnięciem guzika. Gdy weszło się na podwórze wewnętrzne, po prawej stronie wchodzącego był szary pawilon z szerokimi schodami, potrójnym rzędem zakratowanych okien, solidnymi gzymsami. Na wprost furtki znajdował się drewniany barak, którego przeznaczenie trudno było odgadnąć. Po lewej stronie, vis à vis schodów — park. Określenie „park" było może zbyt bogate i rozłożyste w stosunku do kilkudziesięciu drzew, podszytych krzakami,

różnorakim zielskiem, wypełniającym każdy dołek i zagłębienie gruntu. Brzegiem parku kwitło obramowanie z krzaków jaśminu.

Na wprost furtki pod drewnianym barakiem odpoczywali na deskach chorzy wypuszczeni z sal na świeże powietrze. Gdy się spojrzało po raz pierwszy na siedzących, sprawiali wrażenie dużych kukieł wsadzonych w pasiaste pidżamy.

Niektórzy, oparci plecami o ścianę baraku, drzemali przymknąwszy oczy. Inni wpatrywali się w palce u nóg, widoczne z rozdeptanego pantofla. Inni jeszcze, przechyleni w bok, wisieli spojrzeniem na jakimś nieuchwytnym dla drugich fragmencie gałązki. Najczęściej jednak trwali w pozycji spracowanych ludzi, siedzących na ławie, pochyleni w przód, ze zwieszoną głową, z dłońmi splecionymi. Cisi i pełni leniwej obojętności, swoim widokiem sprawiali zawód odwiedzającym.

Powodem, dla którego początkowo zachodziłam na klinikę, był monter z naszej kamienicy. Dotychczas znałam go jako uczynnego i rozmownego sąsiada, a gotowość i życzliwość, z jaką zajmował się psującą się instalacją w naszym mieszkaniu, stworzyła pomiędzy nim a nami rodzaj obowiązującej wzajemnej towarzyskości.

Monter był starym kawalerem i mieszkał z siostrą, starą panną. Ona była wzorem uległości i bezprzykładnego posłuszeństwa wobec brata, pełnionego z iście kobiecym przekonaniem o boskiej wyższości mężczyzn. Sądzę, że krewka popędliwość starego montera, donośny głos, niecierpliwa ręka, umiejąca w razie potrzeby grzmotnąć w stół, obejście pełne wigoru — przekonywały starą pannę o niedoścignionej doskonałości jej brata.

Choroba nerwowa, która zawiodła go do pawilonu,

wybuchnęła nagle i zdradziecko, jakby natura z lubością zadała ten cios organizmowi tak pysznie nieświadomemu wszelkich podstępów, które mogłyby go powalić.

O tym fakcie dowiedziałam się zszedłszy pewnego wieczora na dół, aby poprosić montera o pomoc przy zepsutym dzwonku.

Drzwi od izby były uchylone, z wewnątrz słychać było wzburzone głosy. Zapukałam raz jeszcze i weszłam.

Monter stał pod ścianą, głośno i jakoś po dziecięcemu płacząc. Trząsł się przy tym całym ciałem, przyciskał ręce do piersi i wpierał plecami w ścianę. Przerywanym bełkotem o coś prosił, nie dowiedziałam się o co, ponieważ sparaliżowało mnie w miejscu bezgraniczne zdumienie.

Jego uległa i bezgłośna siostra nacierała na niego jak rozjuszona łasica, zachłystując się wściekłością.

— Znowu cię naszło... Ach, ty plugawcze... Myślisz, że znowu życie poświęcę... Przez ciebie, przez tę twoją przeklętą chorobę za mąż nie wyszłam... Mało ci, że raz mi życie zatrułeś i teraz znowu zaczynasz. Jak jesteś chory na nerwy, to bierz siekierę i łeb sobie utnij, a mnie daj spokój...

— Ty utnij, ty, ty mi utnij... — szlochał wyciągając ręce i szyję.

W ten przypadkowy i dosyć mętny sposób dowiedziałam się, że monter jest chory, poważnie chory psychicznie, że raz już tę chorobę przechodził i że jego anielska siostra poświęciwszy się dla jego dobra nigdy mu tego nie przebaczy i nie zapomni.

Długie lata zdławionej pokory i uległości wydrapywały jej teraz z gardła najstraszniejsze przekleństwa, a silny mężczyzna, który mógł ją powalić jednym uderzeniem ręki, drżał i płakał.

Teraz siedzieli obok mnie na ławce. Monter w pasiastej pidżamie, niemy i bezsilny. Stara panna wyglądała przy nim na uosobienie triumfującej tkliwości. Odmłodniała od czasu gdy zachorował, ruchy stały się sprężystsze, twarz pełniejsza, nabrała lekkiego rumieńca. W nieszczęściu popychadło domowe stało się gospodynią, niemowa odzyskała głos, zastraszenie ustąpiło pewności siebie. Potężny, groźny brat, który całe życie tyranizował siostrę, stał się małym braciszkiem, któremu można było dawać klapsy, upominać, a za dobre sprawowanie nagradzać.

Z macierzyńską powagą obierała jabłko, krajała, wbijała kawałeczek na ostrze i wtykała w usta chorego, który patrzał na nią wilgotną, rozpływającą się źrenicą.

Po podwórzu spacerowały kobiety, które przed chwilą wyprowadzono z sali. Wśród nich jedna zwróciła moją uwagę.

Nie miała więcej niż dwadzieścia lat. Wypukłe bardzo plecy, głowa schowana w ramiona, jajowata, okryta czarnymi kosmykami włosów i bezmyślny grymas zdradzały ciężki stan chorej. Ubrana w niebieski, gruby szlafrok barchanowy, szła wzdłuż trawnika. Spojrzałam na nią w momencie, gdy schyliła się, zerwała kwiatek, podniosła na wysokość twarzy i powąchała. I właśnie wtedy, w moich oczach, t o się stało. Twarz uległa cudownemu przeistoczeniu. Wykwitł na niej uśmiech rozkosznej kobiecości, filuternej przekory. Z gracją ujęła w rękę fałd grubej tkaniny i ruszyła dookoła podwórza lekkim, nieomal że tanecznym krokiem, niosąc ponad kwiatkiem zbudzony nagle uśmiech kobiecości, porozumiewawczy i jednocześnie przebiegły, szczery, a ukrywający swój sekret.

Nagle przystanęła, gubiąc kwiat. W sekundzie zapomniała o nim i krok stał się z powrotem ociężały,

uśmiech bezmyślny, spojrzenie puste. Twarz, nie odbijając żadnego wzruszenia, była znowu gładka, lśniąca i nie przenikliwa jak zastygła po deszczu glina.

Zapytywane pielęgniarki niewiele umiały mi o niej powiedzieć. Przywieziono ją ze wsi. Miała dziecko od chłopca, który ją porzucił. Zrobiła poronienie, pozbyła się „kłopotu" i straciła poczytalność. To było wszystko, co zdołałam od nich wydobyć.

Pewnego dnia, gdy przyszłam odwiedzić montera, nie zastałam go na podwórzu. Dyżurny pielęgniarz łaskawie wpuścił mnie do jadalni, gdzie chorzy jedli obiad.

Przy dwóch długich stołach siedzieli rzędem pochyleni, pożywiając się z blaszanych misek, hałasując łyżkami. Niektórzy podnieśli głowy i patrzyli na mnie, rozdziawiając usta. Siostra podawała na stół naczynia, w powietrzu czuć było woń fasolowej zupy. Posłyszałam kroki z korytarza, ruch we drzwiach, a stojący obok pielęgniarz powiedział:

— To nowy. Ten major, co go dzisiaj przywieźli. Niech pani ustąpi. — Usunęłam się robiąc przejście i w tej chwili on wszedł. Był już ubrany w pasiastą pidżamę chorych na oddziale psychiatrycznym. Wszedł szybkim, wojskowym krokiem, trzymając prosto głowę. Rzucił spłoszone spojrzenie na siedzących przy stole i na moment twarz zabarwiła się mocnym rumieńcem. Można było odgadnąć, jak mocno bije mu serce. Omijając stół, podszedł do okna i stanął w nim, zwrócony plecami do jedzących. Gapiliśmy się na niego, na wysmukłe plecy, które objęło drżenie widoczne poprzez bieliznę. Oparł zaciśnięte pięści o parapet okna, czyniąc wysiłek, ażeby drżenie opanować.

Weszła salowa. Ujrzawszy nas zajętych czymś innym niż przewidywał regulamin, zaczęła głośno gderać.

Postawiła na stole blaszaną miskę z fasolową zupą i ostro rzekła do przybyłego:

— To dla was. Jedzcie, póki ciepłe, bo tutaj się nie odgrzewa osobno dla każdego.

Prostactwo tej wypowiedzi przyniosło odprężenie w sali. Major odwrócił się od szyby, siadł na końcu stołu i nie podnosząc oczu, jadł, a raczej łykał bez zwracania uwagi na treść tego, co mu podano. Wokół stołu już słychać było siorbanie, cmokanie, czkawkę i inne odgłosy towarzyszące spożywaniu posiłków. Nowy po paru łykach odłożył łyżkę i siedział patrząc prosto przed siebie. Nikt już nie zwracał na niego uwagi. Asymilacja w środowisku została dokonana.

Trudno było cokolwiek ścisłego o nim się dowiedzieć. Według relacji siostry oddziałowej, którą przeniesiono tu z Kobierzyna i która wyraźnie się nudziła, major w pierwszych latach po wojnie był prokuratorem wojskowym i stawiał wyroki w procesach grup NSZ-towskich. Po roku 47 na własną prośbę odszedł z zajmowanego stanowiska, zajął się studiami wojskowymi, nie awansował. Na początku 57 roku nastąpiła rewizja procesu, w którym major brał ongiś tak żywy udział. Kilku oskarżonych niegdyś i skazanych przez sąd na dożywotnie więzienie uniewinniono, zwolniono z więzienia, kara została umorzona.

W czasie rewizji procesu major przeciwstawiał się anulacji. Gdy zapadł wyrok uniewinniający, uległ wstrząsowi psychicznemu, z którego rozwinęła się choroba. Nadal przekonany o winie uwolnionych i o słuszności wydanego ongiś wyroku, wpadł w ciężką depresję.

Usłyszawszy to, zadumałam się nad zawiłością sprawy. Nie znałam historii procesu chociażby dlatego, że zbyt wiele podobnych przewijało się przez szpalty gazet.

Nowy wyrok był w zgodzie z popularnym hasłem tych gorących dni: „Precz z tymi, którzy ongiś wymierzali wyroki!"... Zapewne major zdawał sobie z tego sprawę. Zapewne dla własnej moralnej wygody mógł wymyślić sobie jakiś kompromis, gdzie jak w podręcznej teczce pomieściłby wyrok stary i nowy. Zapewne mógł był, jak czyniło to wielu, znaleźć pocieszenie w poczuciu osobistej obrazy: dawać wokół do zrozumienia, że zostało się niesłusznie skrzywdzonym, że popełniono względem niego niesprawiedliwość, że nie on jeden padł ofiarą w niesłusznych rehabilitacjach, że takie omyłki nieuniknione są w dziejowym procesie oczyszczania się narodu z plam historii... itd.

Ale on nie szukał dla siebie takiego azylu ani nie manifestował krzywdy, ani nie próbował dopasować się do wydarzenia, które życiem jego wstrząsnęło. Sprawiał wrażenie człowieka w pełnej gotowości, w pełnej mobilizacji, w oczekiwaniu na chwilę, gdy zrzuciwszy z siebie pasiak szpitalny powróci do przerwanej sprawy, której nie uznał za skończoną.

Ludzie przychodzący z zewnątrz w odwiedziny do chorych musieli słyszeć o jego sprawie, stąd w ich spojrzeniach rzucanych na byłego prokuratora malowała się ta charakterystyczna ulga i satysfakcja moralna bliźnich na widok cudzej klęski. Byliby zresztą nawet skłonni do okazania mu szczypty wyrozumiałości i pewnej dozy współczucia w zamian za pokaz wstydu, skruchy lub bodaj zmieszania na twarzy majora.

Nic jednakże nie wskazywało, iż były prokurator skłonny jest wstydzić się swojej przeszłości. Nosił nadal dumnie i prosto ciemną głowę, a nawet workowata pidżama nie zdołała poniżyć wysokiej sylwetki.

Pragnęłam zapytać go, z jakich przyczyn zlekceważono jego głos? Czym kierowali się ci, którzy tak

wspaniałomyślnym gestem przekreślali to, co on potwierdzał nadal? Nie znając całości sprawy ani nie mając do niej dostępu, byłam w głębi serca po stronie majora. Śledząc go ukradkiem marzyłam, iż kiedyś dojdzie pomiędzy nami do niezwykłej rozmowy, w której on obnaży przede mną udręczone serce, a ja udzielę mu poparcia i podtrzymam duchowo... Byłam po jego stronie, ponieważ był wzruszający, gdy sądząc, że nikt tego nie widzi, bronił się przeciwko zmowie pasiastych pidżam, blaszanych misek, drucianych siatek, dotkliwych spojrzeń, od których odwracał się plecami, obmacujących go jak pojmanego złoczyńcę: „Widzicie go? To ten, któremu powinęła się noga! Nosił wilk razy kilka, ponieśli i wilka!"

Ludzie szczycący się duchową kulturą uznali sprawę majora za „wypadek godny pożałowania", twierdząc, iż zbyt mało zawiera on w sobie wzniosłości, ażeby mógł uchodzić za wypadek tragiczny.

Tymczasem „godny pożałowania wypadek" spacerował samotnie alejką, na którą jaśmin otrząsał kwiaty, podpierał pasiastymi plecami stary barak, pożywiał się z blaszanej miski.

W odróżnieniu od innych chorych jego nadal cechowała schludność i pewien surowy męski wdzięk, którego nie ujął mu ohydny pasiak ani blaszana łyżka. Miał swój sposób odpoczywania. Siedział na ławce, z odchyloną do tyłu głową, z przymkniętymi oczami. Myślałam o tym, czyby powiedział mi cokolwiek o sobie, gdybym go zapytała o przeszłość...

Sprawy rodzinne spowodowały, że na dziesięć dni wyjechałam z miasta M... Po powrocie poszłam odwiedzić pawilon.

Był słoneczny dzień u schyłku wiosny. Dwa stare modrzewie, rosnące po obu stronach łąki, puszyste od świeżej zieleni, nasycały powietrze zapachem. Na po-

dwórzu było pusto. Po chwili bramą od ulicy wszedł mężczyzna popychając przed sobą spacerowy wózek z kilkunastomiesięcznym dzieckiem. Postawił wózek koło ławki i nachylając się ku mnie poprosił:

— Pani łaskawa popilnuje mi synka. Przyszedłem odwiedzić żonę. Może jak zobaczy dziecko, to się ucieszy.

Odszedł z teczką pod pachą, w której miał zapewne jakieś słodycze lub truskawki. Ja oddałam się bawieniu dziecka, które z ukontentowania fikało nogami.

Po chwili na schodach ukazała się kobieta. Schodziła szybko po stopniach, ze zmarszczoną gniewnie brwią. Aksamitny czerwony szlafrok wlókł się za nią. Miała drobne usta, cerę bardzo białą, błyszczące, wspaniałe oczy, czarne puszyste włosy, spadające na ramiona. Stanęła przy wózku i patrząc prosto przed siebie — założyła ręce na piersiach. Jej mąż, ocierając chusteczką spocone czoło, wyszedł z budynku i teraz namawiał ją do zjedzenia truskawek. Nie odpowiedziała, aczkolwiek sprawiała wrażenie, że słyszy i rozumie, co się do niej mówi. Naraz jej twarz jakby się ugięła.

Przeszło przez nią drżenie, potem rumieniec. Jej rysy nasyciły się takim błagalnym wyrazem tęsknoty i pragnienia, że podniosłam się z ławki, szukając wzrokiem. Kobieta potrząsnęła głową i ruszyła przed siebie.

Byłam pewna, że wyciągnie ramiona i jak w klasycznych powieściach padnie na pierś ukochanego, chyląc mu głowę na ramię.

Major zeszedł ze schodów. Zatrzymali się oboje naprzeciw siebie. Potem ruszyli ramię w ramię, oboje poważni, szlachetni, niemal dostojni i milczący. Po chwili przystanęli. On wziął jej ręce w swoje. Patrzyli sobie w oczy bez słowa. Puścił jej ręce i znowu szli dalej.

— Proszę pana — napadłam natarczywie na jej męża — czy oni są zakochani? Czy oni się znali? Czy to tutaj się stało?

Obraził się na moje pytanie.

— Skąd, proszę pani. Ja przywiozłem tu żonę aż z Krosna. Nigdy go przedtem nie widziała. Ona jest ciężko chora. Rok leczyła się w Kobierzynie. Ona nie wie, co robi. Jak wyzdrowieje, wcale nie będzie pamiętała, że szła tu z nim i tak patrzyła na niego. Przecież to jakiś ubek — nachylając się nade mną, zakomunikował mi z cichą wściekłością w głosie. — Gdyby nawet była zdrowa, nie mogłaby się w takim zakochać. Ona jest porządna kobieta. Niech mi pani powie, dlaczego t a k i c h nie trzymają w szpitalach wojskowych?

Zrozumiałam, że teraz mówi o sobie, i spojrzałam na niego uważniej. Był chudy, starannie i elegancko ubrany. Podłużne bruzdy na twarzy, rzadkie, uniesione do góry brwi, wyblakłe oczy wyrażały bezsilny, oburzony protest. Człowiek ten cierpiał podwójnie, jako lojalny obywatel i jako właściciel tej chmurnej, pięknej kobiety. Oto na jego oczach major, w którym on widział uosobienie piekła występków, zabierał mu żonę na mocy nieobliczalnego, potężnego kaprysu choroby, wobec której on, porządny obywatel, dobry mąż, ojciec rodziny — czuł się bezsilny, jak bezsilny był sąd i cała społeczność. Jakaż praworządność, jaka instancja mogła tu wpłynąć i wymierzyć sprawiedliwość?

Tymczasem śliczna kobieta, spacerująca z wojskowym, przystanęła, otarła chustką oczy i bez słowa pożegnania zawróciła ku nam.

— Daj mi spokój. Nie męczcie mnie — powiedziała stając koło męża.

Major odszedł w stronę stojącej na boku ławki. Sa-

motny, jak zwykle, usiadł. Oparł głowę na poręczy, przymknął oczy. Na odchodnym mężczyzna rzucił spojrzenie wstrętu, lęku i nienawiści. Pożegnał się z żoną, która przyjęła to obojętnie, nie reagując na widok dziecka, po czym rozstali się, ona powróciła do sali, on zabrał wózek z dzieckiem i znikł za furtką.

Przychodziłam kilka dni z rzędu, czatując na zakochaną parę. Niestety, nie udało mi się zobaczyć ich razem. Może dwa razy przeszła po schodach tamta kobieta w za długim na nią ciemnoczerwonym szlafroku, który dotykał stopni. Widok jej delikatnego, wyraźnego profilu zmuszał do szukania wzrokiem drugiej ciemnej głowy. Dowiedziałam się, że stan zdrowia majora pogorszył się znacznie. Lekarze obawiali się, czy serce wytrzyma. Kazano mu pozostać w łóżku.

Któregoś dnia siedziałam na ławce, pochylona nad gazetą. Nie podnosząc z niej oczu, odczułam, że ktoś siadł obok. To był on. Z wrażenia opuściłam gazetę na kolana. Miałam tak szaloną ochotę zapytać go, czy to prawda, że był prokuratorem, sądził ludzi z NSZ i że wyrok, który padł w rewizji procesu, uważa za niesłuszny.

Wystarczyło mi jednakże spojrzeć na zaciśnięte usta, od których szła rysa znużenia i goryczy, ażeby zrozumieć, że nigdy nie zdobędę się na zadanie żadnego pytania. Spostrzegłam jeszcze, że od dnia gdy ujrzałam go po raz pierwszy, znacznie wychudł, pod oczami były ciemne koła, na skroniach pokazała się siwizna.

Uświadomiłam sobie, że to już minęły dwa miesiące i jaśmin przekwitł jak w sentymentalnych piosenkach. Raptem nawiedziła mnie myśl, że może on tu czeka na nią, że umówili się pod tym drzewem. Wstałam z po-

śpiechem i zaczęłam zbierać swoje rzeczy. W zamieszaniu gazeta upadła mi na ziemię.

Podniósł ją, położył na ławce. Ze wzruszeniem posłyszałam przytłumiony, cichy głos:

— Czy może mi pani przeczytać to, co tam jest na pierwszej stronie?

Tylko tyle powiedział. Na moment skierował w moją stronę spojrzenie. Ujrzałam dwoje ciemnych, matowych, jakby martwych oczu. Zmieszana złapałam gazetę. Na pierwszej stronie tłustym drukiem podana była wiadomość o wyroku w procesie bandy złodziejskiej.

— To pan już pewnie słyszał — bąknęłam pośpiesznie. — Dziennik podaje wymiar kary w procesie szajki złodziejskiej. Trzej sprawcy dostali po pięć lat, dwaj po trzy z zawieszeniem, dwóch uniewinniono.

Wyrwana mi z rąk, zmięta w kulę i ciśnięta gazeta potoczyła się po podwórzu. Z otwartymi oczami patrzałam na niego, gdy przeraźliwie blady, ochrypłym głosem wyrzucał z siebie:

— Z zawieszeniem... uniewinnieni... łajdactwo... Ach, jakie łajdactwo. Ja protestuję...

Wstał z ławki, dygocząc pod pidżamą. Otarł dłonią spocone obficie czoło. I znowu wybuchnął:

— Ja znam fakty. Tylko ja. Reszta świadków zginęła, wyjechała, pomarła... Rozumie pani? Muszę wyzdrowieć, muszę tam wrócić do nich i powiedzieć im. Muszę wyzdrowieć, inaczej sąd nie uwierzy, nie uwierzą mnie, który jeden znam całą prawdę... Tylko ja. Czy pani mi wierzy?

Nie mogłam wydobyć z siebie głosu. A więc on nadal żył tamtą sprawą, która rozegrała się ileś lat temu. Nic nie było w stanie oderwać go od niej. Walka, którą tu toczył ze swoją chorobą, była walką dla ocalenia jego męskiej czci, związanej nierozerwalnie z wy-

rokiem, jaki postawił w procesie, który odbył się dziewięć czy dziesięć lat temu.

— Czy pani mi wierzy? niech pani powie — powtórzył z naciskiem.

Oto była chwila, na którą czyhałam od tygodni. Człowiek ginący zwracał się do mnie o pomoc. Niecierpliwy wzrok żądał natychmiastowej odpowiedzi. Wszystko więc było tak, jak pragnęłam. Zakręciło mi się w głowie. Zbyt nieoczekiwanie to się spełniło.

— A więc?

Należało powiedzieć: „tak". Pragnął, ażeby ktoś mu uwierzył. Jeśli nie może to być ktoś bliski, niech będzie ktoś obcy i przypadkowy. Przechodzień. Ktokolwiek bądź. Czepiał się rozpaczliwie tej ostatniej próby. Niechże mu k t o ś j e d e n uwierzy! Widziałam, jak drży pod pidżamą, gdy głos pozostał nadal chłodny i surowy.

— Co pani powie?

Miałam ściśnięte gardło i nie byłam zdolna wykrztusić słowa.

Z góry schodzili już pośpiesznie dwaj pielęgniarze. Dał się ująć za ręce i zaprowadzić łagodnie i bez oporu jak dziecko.

Odchodząc rzucił mi spojrzenie potępienia i pogardy. Po jego odejściu siedziałam bez ruchu, uświadomiwszy sobie z przerażeniem, że nie pomogłam mu, mogąc pomóc, i że na wszelką inną pomoc jest już za późno.

Z końcem lata monter zaczął szybko przychodzić do zdrowia. Stara panna wzdychała. Sprawy tych dwojga zaczynały wracać do dawnego łożyska.

W pamiętnym dniu rano padał deszcz, po południu wstało upalne słońce. Świat był pijany od bla-

sku i tężyzny, która biła od ziemi zapachem ciepła i trawy. Tego popołudnia na podwórze wylegli wszyscy chorzy, którym dozwolone było wychodzić. Długim, pasiastym rzędem zasiedli pod barakiem na deskach, grzejąc się na słońcu.

Niedługo po mnie nadszedł wraz z dzieckiem mąż pięknej kobiety. Postawił wózek przy schodach i sam udał się w głąb budynku na poszukiwanie żony. Patrząc na jego wąskie plecy, gdy wspinał się schodami, doświadczałam cichej satysfakcji ukrytego wspólnika. W tej bowiem chwili major i żona tamtego siedzieli na uboczu, na ławce pod akacją. Nie mówili do siebie nic, nie dotykali się nawet ramieniem. Ona miała opuszczoną twarz, ręce złożone na kolanach. On trzymał głowę opartą na ręku. Mimo tej nieruchomości i spokoju obojga miało się wrażenie, że jakieś kamienne więzy łączą tych dwoje i że żadne nie może się poruszyć bez sprawienia bólu drugiemu, tak że patrzący na nich musieli opuszczać wzrok niby na widok obnażonych kochanków.

Pragnęłam, ażeby jak najdłużej mogli tak siedzieć razem, jakby od tych dwojga zależało, ażeby świat tego popołudnia mógł trwać nadal w odświętnej, łagodnej szczęśliwości. Wydawało mi się, że można i trzeba zaufać tej dobrotliwej sile ukojenia, która płynęła z blasków, zapachów, światła, od widoku urody i harmonii tych dwojga.

Wtedy na górze schodów ukazała się dziewczyna w barchanowej sukni. Zeszła na dół, schyliła się nad wózkiem, wyjęła dziecko pozostawione przez ojca i wzięła na ręce. Nie widziana przez parę siedzącą pod akacją, stała na stopniu huśtając łagodnie dziecko. Chciałam podbiec i zapobiec czemuś, co mogłoby się stać, gdy powstrzymał mnie jej uśmiech. Uśmiechała się do gwarzącego dziecka uśmiechem bezgranicznej

rozkoszy, kobiecego triumfu, tak samo miłośnie jak wówczas, gdy widziałam ją niosącą w dłoni zerwany kwiat.

Nagle na schodach ukazał się ojciec. Może krzyczał, bo widziałam usta otwarte, ale głosu nie było słychać. Przeskakując stopnie biegł ku dziewczynie, która, zwrócona plecami do drzwi, nie widziała go, tuląc policzek do głowy dziecka.

Należało go ostrzec, że nie wolno krzyczeć — jak nie wolno w obecności lunatyczki.

— Niech pan ją zostawi... — zawołałam, gdy było już za późno.

Chora obejrzała się. Ujrzała tuż za sobą wykrzywioną pasją twarz obcego mężczyzny, jego ręce wyciągnięte po dziecko. Rzuciła się naprzód, przyciskając małego do piersi, potknęła się, upadła na schody. Widać było jej nogi rozrzucone pod suknią. Dziecko potoczyło się po ziemi.

Nie, nie zabiło się ani okaleczało. Podrapane, z zabandażowaną nóżką, płaczące, ojciec odwiózł w wózeczku do domu. Gdy zszedł do bramy, żona kroczyła obok niego, przyciskając chusteczkę do ust. Nie płakała, zagryzała wargi nerwowo, zacierając dłonie.

Po tym wypadku dziewczyna ciężko zaniemogła. Nieprzytomną odwieziono do Kobierzyna i odtąd nie widziałam jej więcej.

Był już początek jesieni. Park przez okres tego lata jakoś wyolbrzymiał, rozrósł się, a teraz zakrzepł. Pod nogami, płochliwe jak myszy, z mysim chrobotem szurały opadłe liście. Monter, już wyleczony, odjeżdżał dorożką do domu. Widziałam go kroczącego raźno do furtki, jakby spieszył się odrobić stracony czas. Stara panna sunęła u jego boku zrezygnowana, pokorna i jak dawniej poddana losowi. Jej lato minęło. Gdy zamykała za sobą furtkę, objęła pawilon długim spoj-

rzeniem melancholii i urazy. Któż mógł wiedzieć, jakie wiązała z nim nadzieje i jakie wynosiła z niego rozczarowania?

Znajomi ubywali, ale przyzwyczaiwszy się odwiedzać raz w tygodniu pawilon, czyniłam to nadal. Pielęgniarze i portierzy traktowali te wizyty jako łagodne dziwactwo z mej strony. Może upatrywali we mnie przyszłą pacjentkę? W każdym razie nie czynili mi przeszkód w rozmawianiu z chorymi.

Nieznajoma piękna kobieta opuściła pawilon w jesieni. Któregoś chmurnego popołudnia usiadła na ławce obok mnie. Rdzawy, zgrabny kostium, jedwabny szalik pawiego koloru, szare rękawiczki i takaż torba, wszystko to tchnęło urokiem jej osoby. Niegdyś w szlafroku, aksamitnym, włóczącym się po ziemi, wydawała mi się piękna. Teraz zaś widziałam, że jej uroda jest doskonała.

Złożywszy ręce obciągnięte w szare rękawiczki, błądziła wzrokiem po podwórzu. Sądząc ze zmarszczonych brwi, wydawała się czymś zagniewana. Wiedziałam, że nigdy więcej jej chyba nie zobaczę i że to jest moja ostatnia szansa.

— Pani jest tu z mężem? — spytałam zdobywając się na odwagę.

Spojrzała na mnie z ukosa, nieufnie.

— Mąż załatwia jakieś sprawy w kancelarii — odparła.

Głos miała przyjemny, niski.

— Synek państwa ma się dobrze? — ciągnęłam beznadziejnie.

— Tak — rzekła sucho, patrząc w ziemię.

„Więc tu cię boli" — pomyślałam i naciskałam dalej.

— Państwo wyjeżdżacie pewnie na odpoczynek?

— Ja wyjadę — odrzekła niemal pogardliwie.

— Z dzieckiem?

Obróciła na mnie zapalczywy, błyszczący wzrok.

— Czego pani chce? Dziecko i dziecko. Co ono panią obchodzi? Co pani o mnie wie?... — Naraz schwyciła mnie za rękę i powiedziała szeptem: — Niech się pani nie gniewa. Byłam tutaj taka szczęśliwa. A teraz trzeba będzie z powrotem żyć. Oni zmuszają mnie do tego. Znowu wszystko powróciło od nowa.

Z oczu jej ciekły łzy. Wraz ze zdrowiem przyjmowała życie jako miażdżący ciężar. Może życie w normalnym świecie było dla niej tylko obłędem? Wolna i szczęśliwa czuła się jedynie tutaj.

Na schodach ukazał się mąż. Przyszło mi na myśl, że jest podobny do szarej, podługowatej rękawiczki. Gdyby nie oschły i zgryźliwy wyraz na jego twarzy, może potrafiłabym mu współczuć.

Nieznajoma wstała szybko z ławki, rzucając półgłosem zawstydzona:

— Niech pani mu nic nie mówi.

Troskliwy mąż stał już obok. Ona czekała szarpiąc zamek od torebki.

— Nie za chłodno się ubrałaś? — rzekł ogarniając ją wzrokiem cierpkiej nagany, pożądliwości i zachwytu — jeśli można tyle uczuć wyrazić w jednym spojrzeniu.

Wzruszyła ramionami i porzucając nas, podeszła do furtki. Mąż skłonił mi się obdarzając na odchodnym podejrzliwym spojrzeniem i oddalił się statecznie śladem żony.

Od tego dnia pawilon przestał mnie interesować. Było to tak, jakby jego dusza w postaci tej pięknej i chmurnej kobiety opuściła go w porywie gniewnego żalu i pozostały w nim tylko nieruchawe tułuby w pa-

siastych pidżamach, dla których prócz litości niczego nie czułam.

Pewnego dnia zadzwonił w mieszkaniu telefon. Stłumiony głos mówił w słuchawce szybko:

— Jakby pani chciała go jeszcze zobaczyć, niech pani zaraz przyjdzie, ale zaraz. Prędko...

— Kto mówi? Kto mówi? — krzyczałam do słuchawki.

— Pawilon psychiatryczny. Siostra Aniela.

Siostra Aniela była jedną z tych przydeptanych przez życie istot, których rezygnacja byłaby budująca, gdyby nie była tak niewolnicza. Ponadto Aniela należała do zanikającego gatunku poczciwych, sumiennych salowych, które z biegiem lat zrastają się z otoczeniem szpitalnym, stając się nieodzowne i niezauważalne jak klamka czy ławka albo poręcz krzesła. To z nią prowadziłam długie rozmowy na temat przyzwyczajeń i upodobań chorych, od niej wyciągałam wiadomości dotyczące zdrowia majora.

Czekała na mnie w hallu.

— Pani, zdaje się, go lubiła — rzekła ruszając przodem. — On tu nie ma nikogo. Pochodził z Wilna. Niech pani jeszcze spojrzy na niego.

W wąskiej separatce, pozbawionej sprzętów, leżał na wózku szpitalnym, osłonięty prześcieradłem. Siostra uchyliła płótna, ujrzałam twarz, której śmierć przydała nieubłaganego wyrazu. Szczęki miał zaciśnięte z wyrazem goryczy i zniecierpliwienia. Ten człowiek spieszył się do śmierci. Musiał ją przynaglać. Skoro życie nie chciało mu być posłuszne, pragnął przynajmniej śmierć uczynić posłuszną jemu. To mu się udało. Mógł leżeć teraz w obojętności i prostocie. Ale każdy fałd jego pięknej, męskiej twarzy mówi jak wówczas, gdy wyrwał mi z ręki gazetę: „Ja protestu-

ję... nie zgadzam się. Ach, jakie łajdactwo..." Ściągnięte brwi zdawały się udzielać nagany losowi, który wyznacza ludziom ślepe drogi, opatrzone szumnymi znakami honoru, sprawiedliwości, sumienia.

Siostra zasunęła z powrotem płótno.

— Niech pani już idzie.

— Jak to się stało? — spytałam czując, że pytanie nie ma sensu.

— Próbował poderżnąć sobie żyły. Zrobiliśmy mu transfuzję krwi. Jak on się na nas gniewał. Umarł na zawał.

A potem, jakby tłumacząc się wstydliwie ze swej słabości, dodała:

— Chociaż to niewierzący, przecież Pan Bóg będzie miał wzgląd i na takie dusze.

Po czym troskliwie, jak matka, poprawiła głowę zmarłego.

Teraz dopiero, patrząc na biały kształt, opłynięty prześcieradłem, pojęłam, że śmierć nastąpiła naprawdę, i rozczarowana do tego, który w piękny dzień letni przyrzekał w szczerym uniesieniu, że będzie walczył o swoją cześć, z urazą powiedziałam:

— On mówił, że będzie walczył ze swoją chorobą. Że musi wyzdrowieć. Chciał wyjść stąd, bo miał coś pilnego i ważnego do załatwienia, czego nikt inny poza nim nie mógł załatwić. I jak to pogodzić z tym, że próbował odebrać sobie życie? Czy miał manię samobójczą? Niech siostra powie...

Siostra Aniela ściągnęła brwi surowo.

— Żył bez Boga jak każdy komunista. Nie miał łaski. Musiał zwątpić, czy wyjdzie kiedyś z tej choroby i czy zdoła załatwić to, o czym pani mówiła. Ale manii samobójczej nie miał. O nie... Pomagał lekarzom, robił, co mu kazano. Jak on patrzał na usta

i w oczy doktorowi, który go badał... Chciał wiedzieć, kiedy wyjdzie zdrów. To było tak, jakby mocowało się w nim dwóch ludzi. I nie wiadomo, który z nich zdecydował się na śmierć — ten chory czy ten zdrowy. Nie poddawał się, a potem nagle jakby się w nim coś zacięło. Machnął ręką na wszystko. Może zląkł się? To przychodzi, wie pani?

Zrozumiałam, co ma na myśli. W jakiejś chwili zwątpił i uląkł się, czy niepostrzeżenie dla samego siebie nie zostanie jednym z tułubów wygrzewających się do słońca, mlaszczących nad miską.

— A może... — podjęłam głośno i urwałam nie siląc się wypowiedzieć swą myśl do końca. — Zapewne major aż po ostatni gest opadającej dłoni pewny był swej słuszności. Skąd więc wybór tak rozpaczliwy? Chyba że zwątpił w ogóle w sens walki? W sens szczytnego ludzkiego uporu wobec klęski i wobec przegranej? Chyba że słuszność i sprawiedliwość wydały mu się tylko latawcem trzymanym za sznurek? Chyba że tak wiele sił wypalił w tej milczącej walce, którą tu toczył roztrząsając, wątpiąc w samym sobie, badając, że w końcu zapragnął już tylko nieprzerwanego snu? Czy tak być mogło?

Popatrzyłam na siostrę Anielę w nadziei, że ona coś więcej mi powie, naprowadzi na właściwy ślad.

Ale siostra Aniela nie widziała mego spojrzenia. Utkwiwszy wzrok w podłodze, mruknęła:

— Ona odeszła. Pani wie...

— Wiem.

Zabrakło nam tematu do rozmowy. Zresztą czas już był najwyższy opuścić separatkę. Pożegnałam siostrę Anielę i wyszłam.

Nazajutrz wyjechałam z miasta, a po powrocie nikt nie umiał mi odpowiedzieć — czy odbył się pogrzeb,

o który pytałam. Po prostu ludzie, jak zwykle, umierali, chowano ich i prócz najbliższych nikt nie poświęcał temu większej uwagi.

Monter czuje się doskonale. Jego pokorna siostra z prawdziwym oddaniem i poświęceniem znosi jego humory, prowadząc mu dom.

Sierpień, 1957 r.

Wizyta

Józefa wyszła z wanny i sięgnęła po ręcznik. Od gorącej kąpieli w małej łazience uczyniło się duszno, a lustro pokrył matowy opar. Starła z lustra wilgoć ręcznikiem i spod mglistej powłoki wyjrzała twarz blada, owalna, z oczami jak dwie plamy atramentu. Czarne, proste kosmyki włosów zwisały mokre na skroniach. Oparłszy stopę na krawędzi wanny, tarła ręcznikiem ciało rozmyślając nad tym, co zrobić na obiad. Miała trochę pieczeni z wczorajszego dnia, ale Czesław lubił siekane mięso. O tej porze było za późno do kolejki i najwyżej będzie mogła kupić kiełbasę, o ile w porę dowiozą wędliny.

Spojrzała w bok i zobaczyła w lustrze swój grzbiet biały i wygięty jak u kota. Ciało było wąskie, wydłużone. „Niczym elastyczna pończocha" — pomyślała z niechęcią. Wolałaby, gdyby było opalone, krzepkie rozrosłe. O takich mówił z uznaniem Czesław.

W sieni rozległ się dzwonek. Podniosła głowę nasłuchując. Musiała to być omyłka. Byli pierwszymi lokatorami w nowym bloku i nikt tu ich nie znał ani odwiedzał. Spokojnie zabrała się do wycierania drugiej nogi, zwiniętym w wałek ręcznikiem przesuwając pod kolanami, gdzie zostawała zawsze resztka wilgoci. Następny, gwałtowny dzwonek nie sprawił już na niej wrażenia. Był to zwykły figiel tych łobuziaków, których całe chmary bawiły się w rozgardiaszu budują-

cego się osiedla. Ich ulubioną rozrywką było wpadać do sieni i przycisnąwszy dzwonek uciec na podwórze.

Józefa narzuciła szlafrok na gołe ciało, spuściła wilgotne włosy na plecy i wyszła do pokoju. Szklane drzwi zajmujące połowę ściany wychodziły na balkon. Dwóch smarkaczy uczepionych żelaznych prętów balustrady patrzyło na Józefę okrągłymi oczami.

Odgięli się do tyłu i skoczyli w trawę.

„Oni wszędzie podglądają — pomyślała przerażona. — Nie powinniśmy byli brać mieszkania na parterze". Wyciągnęła rękę, ażeby zaciągnąć storę. Właśnie dla tych szerokich szklanych drzwi znęcili się na to mieszkanie. Nie przewidzieli wtedy, że będą mieć stałych obserwatorów. Dzieci podchodziły pod sam balkon, zadzierając głowę patrzyły w zdumieniu na pokój, gdzie każda z trzech ścian została pomalowana na inny kolor. Rzucali w drzwi kamykami, a pierwszego dnia obłamali liście palmy wystawionej na balkon. Rozległ się trzeci dzwonek. Józefa wzdrygnęła się, jak gdyby dźwięk uderzył ją pod łopatkę — zimny i ostry.

Jeśli otworzy drzwi, oni wybuchną śmiechem. To jest najlepsza ich zabawa. W sieni pod drzwiami będzie ich stało z dziesięcioro, czekając, aż ona otworzy. Jeszcze nigdy nie udało się jej żadnego złapać. Gdyby kiedykolwiek dostała któregoś z nich w swoje ręce, zbiłaby na kwaśne jabłko. Jeśli nie otworzy im drzwi, będą dzwonić co kilka minut. Ale w końcu może im się to znudzi. Wzięła grzebień i zaczęła rozczesywać włosy. W mieszkaniu było cicho. Przed domem rozpościerała się duża łąka. Trawa na niej była szorstka i sucha jak włosie z materaca. Po łące uwijała się gromada dzieci, kopiąc starą piłkę. Józefa przysunęła się z ciekawością do szyby, śledząc z zajęciem grę. Jej rysy złagodniały, a usta rozchylił uśmiech.

Dźwięk dzwonka wybuchnął krótko i zajadle. Józefa

zniewolona rzuciła się w popłochu do drzwi i odsunęła zatrzask.

Na progu stał ksiądz, obok niego chłopiec z litrową butelką, na której widniała etykieta: „Ocet".

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — rzekł ksiądz. — Czy to jest dom katolicki?

Józefa z otwartymi ustami patrzyła na mówiącego. Był wysoki, jasna twarz o grubych rysach wyglądała na lat dwadzieścia kilka. Blond włosy, zaczesane od czoła, wznosiły się do góry. Józefa przypomniała sobie, że jest w szlafroku na gołe ciało i cofnęła się od progu, przytrzymując materiał na piersiach.

— Proszę, niech ksiądz wejdzie.

Ksiądz i jego pomocnik weszli, stanęli na środku i rozejrzeli się dookoła. Ksiądz milczał. Józefa zażenowana uświadomiła sobie z poczuciem winy, że pokój nie zasługiwał na pochwały. Był nieprzystojny i dwuznaczny z tymi ścianami, każda pomalowana na inny kolor. Nowoczesne obrazy w płaskich drewnianych ramach, proste krzesła, stół i skrzynia stylizowane na ludowo, abażur podobny do rozłożonej talii kart. Ale nad drzwiami wisiał krzyż. Uspokojona podniosła wzrok na księdza.

— Jesteś sama? — spytał.

— Tak — rzekła zmieszana, ponieważ teraz spostrzegła, że na krześle leży jej różowy pasek od pończoch.

— A gdzie twój mąż?

— Nie ma go.

— Dlaczego?

— Tak się składa, proszę księdza — rzekła przysuwając się do krzesła, ażeby ściągnąć pasek.

— A co? Twój chłopiec jest w wojsku?

— Och nie, nie! — zawołała z przestrachem, widząc, że ksiądz siada na krześle na pasku.

Nie zwracając uwagi na okrzyk Józefy, usiadł ciężko, oparł dłonie o kolana i bystro spojrzał w twarz kobiety.

— Jesteście katolickim małżeństwem?

— Tak.

— Oboje wierzący?

— Tak.

— Prawdziwie?

— Tak — powiedziała nie chcąc robić mu przykrości. Wyglądał na zmęczonego, twarz miał spoconą, a długa szyja, sterczająca z okrągłego kołnierzyka, dawała mu bezradny wygląd.

— Padnijmy teraz na kolana — rzekł wstając z krzesła.

Uklękli we troje na podłodze twarzą do krzyża. Ksiądz szybko mówił łacińskie słowa, gestem nakazał chłopcu podać butelkę. Wyjął z kieszeni krótkie kropidło, chłopiec przechylił butelkę, woda zabulgotała i pociekła na rozcapierzone wicherki.

Józefa, przyglądając się, jak krople tworzą małe, błyszczące jeziorka na parkiecie, uspokajała się myślą, że plamy po wodzie święconej dadzą się tak samo zapastować jak każde inne. Gdy wstali z kolan, cofnęła się tyłem, schwyciła pasek i smyrgnęła nim w kąt, na tapczan. Ksiądz usiadł na krześle, które wysunął na środek pokoju, i w milczeniu wodził wzrokiem po ścianach.

— Macie krzyż — powiedział.

— Tak.

— Ale czy żyjecie po bożemu, jak Chrystus przykazał?

Józefa zaczerwieniła się. Przypomniała sobie, że kładąc się spać zapominali czasem zaciągnąć firankę. Ale w mieszkaniu nie działo się nic złego. W każdym razie nic gorszego od tego, co działo się wszędzie na

małżeńskich tapczanach. W niedzielę zdarzało się, że chodzili rano roznegliżowani po mieszkaniu, a za szklanymi drzwiami na łące bawiły się dzieci. Może ktoś z rodziców poskarżył się w parafii?

— Ile macie dzieci?

Drgnęła i na jej twarz, idąc z falą gorąca od serca, wystąpił rumieniec. Potrząsnęła głową.

— Żadnego.

— Ile lat jesteście po ślubie?

— Pięć.

— Pięć? — przechylił się do przodu, wlepiając w Józefę zdumione oczy. — A co wy robicie, że nie macie dzieci?

Józefa zaczęła drżeć. Było jej słabo, zawsze to miała po kąpieli, a dzisiaj woda była zbyt gorąca. Siedzący na środku pokoju ksiądz wyglądał w czarnej sutannie jak pień konfesjonału. Dochodzący z pola chłód i wilgoć poranka pachniały Wielkanocą. Przy konfesjonale nie wolno kłamać. Kto skłamał, temu Hostia święta zaleje się krwią. Tak mówiła matka. Nikt w to nie wierzy, ale pozostaje strach. Józefa nie bała się, a tylko przejmująca wielkanocnym chłodem woń czystego poranku ściskała jej serce. Z daleka dochodziły śmiechy goniących się dzieci.

— Ja nie mogę nic takiego księdzu powiedzieć — rzekła opierając się plecami o ścianę.

— Dlaczego nie możesz? Musisz powiedzieć, jeśli jesteś katoliczką. Mów!

Józefa przycisnęła dłonie do twarzy. Było jej nadal słabo, niedobrze się czuła po gorącej kąpieli. Zapłakała cichutko. Czyż trzeba coś robić, ażeby nie mieć dziecka? Dziecko po prostu nie przychodzi. Nie ma go. Choćby się go chciało, ono nie ma ochoty przyjść. To wszystko.

— Podziękuj Bogu — rzekł ksiądz — że możesz

jeszcze płakać. To dowód, że grzech nie zabił w tobie sumienia. A ty czego podsłuchujesz? — zwrócił się do stojącego przy krześle chłopca z butelką po occie.

Chłopiec podszedł leniwie do ściany, stanął twarzą do muru, tyłem zwrócony do rozmawiających. Był do tego przyzwyczajony i nie robiło to na nim żadnego wrażenia.

— Dlaczego po pięciu latach nie macie dzieci? — podjął ksiądz. — Powinniście mieć dwoje, troje. Wy się pewnie onanizujecie — podniósł wzrok na Józefę. — A czy wiesz, jak to jest niezdrowo? Zapytaj lekarza, jeśli nie wierzysz kapłanowi. Czy spowiadałaś się tego roku? Chodzicie w niedzielę do kościoła, ty i twój mąż?

Józefa przycisnęła dłoń do ust. Szloch utknął w ramionach, które trzęsły się jak w gorączce. Obok niej siedział na łóżku Czesław i dotykając zimnego ciała leżącej mówił: „Dlaczego nie zachodzisz? Co z ciebie za kobieta? No, powiedz sama?" Odjęła dłoń od ust i zachłystując się krzyknęła w twarz księdza:

— Co księdza to obchodzi?! To nasza rzecz, jak żyjemy!

— Obchodzi mnie, moja droga. Te bloki należą do mnie. Obowiązek parafialny nakazuje mi przyjść do was. Ludzie w dzisiejszych czasach żyją jak zwierzęta. Trzeba im przypominać o duszy, ażeby nie zapomnieli o niej do szczętu. — Wpatrzył się w Józefę i rzekł tępo: — Jeśli od pięciu lat nie macie dzieci, to może ty masz defekt?

Józefa zakrztusiła się gwałtownie. Udało się jej uwięzić śmiech w gardle i stłumić. Miała go teraz w sobie, pod skórą, łaskotał ją, czuła mrówki chodzące po ciele.

— Nie psuj ściany — powiedział ksiądz.

Zdziwiona rzuciła mu spojrzenie, ale jego uwaga

nie tyczyła jej, tylko pomocnika. Chłopiec nudził się pod murem i dla zabicia czasu rysował paznokciem kreski po tynku.

— Chodź tutaj.

Chłopiec odszedł niechętnie i stanął koło krzesła.

— Nie myśl, że to jest dla mnie łatwe — ciągnął ksiądz. — Trzeba obejść wszystkie rodziny, porozmawiać z każdą. A nieraz przyjść i trzy razy, zanim się jedną nakłoni do Boga. Ludzie mają poprzewracane w głowach. Każdemu wydaje się, że wie już wszystko. Nie możemy zostawiać dusz, ażeby żyły tak samopas. Błądzą wtedy i są nieszczęśliwe. To nie jest lekka praca. Jeszcze dziś nie jadłem śniadania, a zanim obejdę mój rejon, będzie już popołudnie.

Józefa już się uspokoiła. Wstyd jej było, że płakała. Gdyby mogła opanować podskórne drżenie, byłoby z nią całkiem dobrze. Nie czuła już żalu do księdza. Starał się zrobić dobrze to, co mu zlecono. Mówił o znużeniu, wyglądał istotnie na znużonego. Ile razy w ciągu tego roku powtarzał te same pytania? Stropiona pomyślała, czy nie należało poczęstować go śniadaniem. Ale nie miała w domu masła. Była natomiast zaparzona świeżo herbata i kawałek pasztetu.

— Jeśliby ksiądz zechciał...

Podniósł się z krzesła.

— Chciałbym, córko, ażeby na przyszły raz, gdy do was przyjdę, było już w waszym domu dzieciątko. Pomyśl o tym, porozmawiaj ze swą duszą. Wtedy i ty sama się uspokoisz. Jeśli twój mąż jest wierzący, a masz z nim kłopoty, przyślij go do mnie. Spowiadam codziennie po mszy świętej w parafii. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

Po wyjściu księdza Józefa otarła twarz. Policzki miała gorące, piekły ją oczy. Była wzburzona, chciała zaczerpnąć chłodnego powietrza. Otworzyła drzwi bal-

konowe i krzyknęła słabo. Na balkonie kucał przycupnięty jeden z tych malców, którzy podpatrywali ją stale. Uprzedziwszy odruch spłoszonego chłopca, schwyciła go za ramię i przyciągnęła z wściekłością do siebie. Zaciskając zęby uderzyła go raz, drugi i trzeci w twarz tak, żeby zabolało. Malec z rykiem wyrwał się jej z rąk. Prześliznął się przez pręty balustrady, zeskoczył na ziemię, pobiegł naprzód i oddaliwszy się kilka metrów od balkonu, odwrócił wstecz głowę:

— Czarownica... stara baba!

Józefa schwyciła się poręczy.

— Coś powiedział? — zawołała przechylając się do przodu.

Biegł naprzód i już nie oglądając się za siebie wołał:

— Stara czarownica...

Józefa zawróciła do pokoju. Podeszła do lustra, popatrzyła z osłupieniem na bladą, pociągłą twarz, obramowaną ciemnymi kosmykami włosów.

„Jestem już starą babą — pomyślała z trwogą. — Jestem stara. Ten ksiądz był chyba o dziesięć lat młodszy ode mnie. Wyglądał, jakby miał dwadzieścia pięć. Zawsze już będę stara. Ratuj mnie, o Boże!"

Rozległ się dzwonek u drzwi. Pomyślała, iż może ksiądz zawrócił, chcąc jej coś powiedzieć. Szybko podeszła do drzwi i wstrzymując oddech przyłożyła ucho do deski: posłyszała drobne szepty i przytłumione dziecinne śmiechy.

— Stara małpa! — krzyknął przez drzwi prosto w ucho Józefy chłopięcy głos.

Odskoczyła od drzwi i zasłoniła twarz rękoma.

Luty, 1958 r.

Człowiek z kosza

Obok dzikiej plaży, która była przestronna i brudna, ciągnęła się plaża płatna, dość czysta i zastawiona rzędami koszy. Pod koniec września było tu niemal bezludnie, ostatni letnicy odjechali pozostawiając po sobie łupiny owoców, puste butelki i kawałki gazet. Dni były mgliste, rankami padał deszcz.

Na dziką plażę przychodziła codziennie młoda kobieta z chłopczykiem. Rozkładali kocyk, ona czytała książkę, malec zbierał muszelki i sypał wały z piasku, które zmywała szeleszcząca piana.

Pewnego dnia Piotruś podszedł do słupków oddzielających obie plaże i wskazując na kosze, spytał:

— Kto tam siedzi?

— Nikt nie siedzi — odpowiedziała Zofia nie podnosząc głowy znad książki. — Baw się łódką.

Malec powrócił do przerwanej zabawy. Mocował się z drewienkiem, które usiłował rozszczepić na dwoje. Widząc, że sobie nie poradzi, zawołał:

— Idź do tego pana i przynieś mi scyzoryk.

— Nie ma, Piotrusiu, żadnego pana.

— Jest w koszu.

— Gdzie? — rozejrzała się po wyludnionym brzegu.

— A tam — Piotruś wskazał na rząd koszy.

— Więc idź sam, poproś pana, niech ci da scyzoryk.

— To ja pójdę sam, ale ty chodź ze mną...

Znudzona uporem dziecka, Zofia odłożyła książkę, wzięła Piotrusia za rączkę i razem ruszyli na plażę

kurortową. Sterczące na plaży kosze miały wygląd zmokłych odludków, morze, jeszcze wczoraj wzburzone, dzisiaj poruszało się niezdarnie niczym cielsko powalonego potwora. Tak bardzo nie wierzyła w możliwość spotkania kogokolwiek na tym pustkowiu, że na widok siedzącego w koszu mężczyzny w płaszczu kąpielowym — stanęła jak wryta. Patrzał na nią w milczeniu, pytając wzrokiem, czego chce, aż Zofia zmieszana wykrztusiła:

— Przepraszam, czy mógłby pan pożyczyć scyzoryk?

— Służę pani w tej chwili... — zawołał. — Zanurzył dłoń w kieszeni płaszcza. — Och, przepraszam, zapomniałem, że nie mam go przy sobie.

— Nic nie szkodzi — bąknęła zmieszana. — Bardzo przepraszam.

Odchodząc obrzuciła go raz jeszcze spojrzeniem. Później wyrzucała to sobie, ale siedzący w koszu człowiek wyglądał tak samotnie, że trudno było poskromić chęć patrzenia na niego.

Piotruś był jednakże za mały, aby odczuć subtelną aurę otaczającą kosz samotnika.

— Dlaczego ten pan nie miał scyzoryka? — spytał, gdy wracali do swojego dołka na dziką plażę.

— Och, nie wiem, daj mi spokój... — odparła czując nagłą tęsknotę do odosobnienia, chwili zadumy, samotnego spaceru nad brzegiem.

— Myślisz, że zgubił? — molestował.

— Piotrusiu, nie męcz mnie, dobrze? — wykrzyknęła.

— Właśnie przyniosłem scyzoryk — rozległ się za jej plecami uprzejmy głos. — Okazało się, że był w kieszeni marynarki.

Zwrócona twarzą do mówiącego, przytrzymując ręką włosy wichrzone przez wiatr, mogła teraz przyjrzeć

mu się dokładnie. Wysoki, szeroki w ramionach, prezentował się okazale w płaskiej pustce nadbrzeża. Za jego plecami ciągnęło się w nieskończoność morze.

— Dziękuję panu.

Wzięła z otwartej dłoni scyzoryk i przy tej okazji uśmiechnęli się do siebie. U mężczyzny był to uśmiech bez udziału mięśni twarzy. Po prostu na krótki moment w brunatnych oczach skupiło się ciepło, dobry blask i Zofia odczuła to jako coś bardzo przyjaznego.

— Pani przychodzi tutaj codziennie? — spytał.

— A pan?

— Prawie codziennie.

— To tak jak ja.

Teraz on przyjrzał się Zofii uważnie. Takim spojrzeniem spotykają mężczyźni kobiety wchodzące na dansing czy do kawiarni. Tak to Zofia odczuła i na moment zbrakło jej tchu. Miała mgliste przeczucie, że człowiek z kosza może okazać się znanym światowcem, wysoką figurą, popularną w kraju osobą. Jego zachowanie nosiło znamię niedbałej elegancji, mimo że miał na sobie tylko kąpielówki. Za to płaszcz kąpielowy z białej wełny w zielone pasy prezentował szyk zagraniczny.

Zofia pochodziła z małej mieściny, ale na szczęście nie było to napisane na jej twarzy. Łuk jej zębów śmiało mógł uchodzić za idealny nawet w Warszawie. Nos był nieco zadarty, ale figlarny. Czoło jak najbardziej kobiece, brwi szerokie i grube dodawały twarzy śmiałego wdzięku, miała ładne ramiona i dobrą figurę, i tylko fakt, że mieszkała w Wieliczce, był przyczyną, iż musiała się zadowolić małżeństwem z księgowym z MHD.

— Jesteśmy więc sąsiadami z plaży — rzekła czując z biciem serca, że człowiek z kosza odniósł jak najkorzystniejsze wrażenie.

— Jeśli pani pozwoli, będę starał się w miarę moich skromnych możliwości uprzyjemnić pani pobyt na plaży. Przyrzekam nie być natrętnym.

Skłonił się poważnie i przedstawił się Zofii.

Była tak oszołomiona, że nawet nie zapamiętała jego nazwiska.

Następny tydzień, wypełniony oczekiwaniem, przyniósł Zofii rozczarowanie. Samotnik bywał regularnie na plaży, ale przesiadywał w koszu, zapatrzony w ruchliwe fale, albo spacerował brzegiem plaży, z lekka pochylony do przodu, z rękami w kieszeniach kąpielowego płaszcza. Od czasu do czasu przystawał patrząc bez ruchu na białe łupiny żagli, przemykające po morzu.

Zofia, śledząc ukradkiem sylwetkę sterczącą samotnie na brzegu, zastanawiała się nad przyczyną tej samotności, tak uporczywej i bezwzględnej...

Bezwzględnej w stosunku do Zofii, ponieważ ona chętnie porozmawiałaby z mężczyzną z kosza o tym i owym. Ostatecznie byli tylko we dwoje na całej plaży — nie licząc rzadkich przygodnych gości. Pewna dbałość i kosmetyczne zabiegi, które podjęła około swej urody, nie były z jej strony żadnym mizdrzeniem się. Po prostu ostatnio opuściła się trochę i teraz przyszedł czas to naprawić.

Po upływie tygodnia, wzruszywszy ramionami, postanowiła przestać zajmować się dziwakiem. I zapewne byłaby dotrzymała postanowienia, gdyby nie pewien pamiętny wieczór...

Przechodząc przez skwer, natknęła się na wychodzącą z kawiarni grupę młodych mężczyzn. Byli to typowi przyjezdni, którzy lądują na krótko w jakimś miejscu, mówią hałaśliwie, idą do kawiarni i pędem wracają taksówką na dworzec. Wszyscy mieli czarne berety, ciemne golfy, prochowce — na pewno nie po-

chodzące z pedetu. Otaczała ich atmosfera krzykliwości, turystycznej niedbałości i lekceważącej wzgardy dla otoczenia.

Idący po lewej stronie mężczyzna miał na sobie białe płócienne ubranie, słoneczne okulary i na głowie jasny, stebnowany kapelusz... Był to pierwszy stebnowany, miękki kapelusz, który Zofii udało się zauważyć w kraju. Nic też dziwnego, że zatrzymała na nim wzrok nieco dłużej. I wtedy właśnie stała się rzecz nieoczekiwana. Ramię mężczyzny podniosło się do góry, dłoń sięgnęła głowy i stebnowany kapelusz znalazł się o kilkanaście centymetrów ponad nią. Wtedy wszyscy mężczyźni umilkli i skłonili się Zofii, rzucając na nią zaciekawione spojrzenie.

Niemal pędem przebiegła schody kamienicy, wpadła do pokoju i gwałtownie zatrzasnęła za sobą drzwi. Była to zagracona meblami, obita ciemną tapetą sypialnia z wstawioną do niej umywalką i stołem. Taki brzydki rodzinny pokój, który razem z pościelą wynajmowano letnikom w cenie tysiąca złotych za miesiąc. Zofia za każdym razem, gdy przestępowała próg pokoju, nie mogła oprzeć się niemiłemu uczuciu, że zapłaciła za niego zbyt drogo. Dzisiaj po raz pierwszy zapomniała o tym i nie spojrzawszy nawet na śpiącego Piotrusia, podbiegła do lustra.

Zielonkawa tafla w rogu pokoju zdawała się na to czekać. Potem nastąpiło coś, co napełniło Zofię zachwytem. W pokoju był już zmierzch, mrok obsiadał tapety i w tej aurze wieczornego gaśnięcia, z głębi lustra wypłynęła tajemnicza, wiotka istota, patrząca na Zofię błyszczącymi, szeroko rozwartymi oczami. Wargi rozchylone w przyspieszonym oddechu były wilgotne i pąsowe.

Cofnęła się od lustra i utuliwszy rozpaloną twarz

w dłoniach, pomyślała z radością: „Jestem ładna... Naprawdę ładna..."

Lustro ją o tym upewniło. Skwapliwy, dworny ukłon pełen męskiej kokieterii, ten ukłon stebnowanym, miękkim kapeluszem mówił również to samo.

Pochyliwszy się nad łóżkiem, z namiętną czułością obsypała pocałunkami gorącą, spoconą rączkę śpiącego Piotrusia.

Następnego dnia uczesana jak uczennica, ze skromnie i wdzięcznie opuszczoną głową, prowadząc Piotrusia za rączkę, weszła na plażę.

Tak, jak się spodziewała, mężczyzna czekał już tam, na j e j plaży, nie w koszu. Na ten widok serce drgnęło jej z radości. W fakcie wyrwania go z izolacji kosza było niechybnie małe zwycięstwo.

Początek rozmowy był dość niezręczny. Zofia szczęśliwie zadzierzgnęła właściwy wątek, wypominając delikatnie mężczyźnie, że musi mieć zapewne dużo kolegów, z którymi chętnie spędza czas.

— Pani ma na myśli tych drapichrustów, z którymi spotkała mnie pani na ulicy? Szedłem wtedy na dworzec po kuzynkę, która miała właśnie przyjechać. Dzisiaj świetnie pani wygląda. Tak powinna się pani zawsze czesać. Poza tym co nowego u pani słychać?

Podniosła na niego oczy. Przyjechała kuzynka? Nie był więc tak samotny, jak Zofia sądziła.

— Pan lubi duże towarzystwo? — szepnęła.

— Skąd! Moja kuzynka, mówiąc nawiasem starsza ode mnie o lat piętnaście, stale wymawia mi moje sobkostwo, jak ona to nazywa. Mój zawód wymaga jednak szerokich kontaktów. Jestem filmowcem. Nie wiem, czy słyszała pani moje nazwisko? Byłem młodszym asystentem przy produkcji trzech filmów...

Wymienił nazwisko utalentowanego podobno reży-

sera, znanego szeroko w kraju z kilku wybitnie nieudanych, ale za to bardzo kosztownych filmów.

— A teraz co pan robi? — spytała.

— Teraz jestem „na gotowości". Płacą mi za to, że czekam na robotę, której mi nie dają.

Zachmurzył się i wyraźnie stracił chęć do rozmowy.

Uwolniona od niepokoju o kuzynkę Zofia dopięła pytaniami tego, że zwolna zaczął jej opowiadać o sobie. Był zgorzkniały i zawiedziony niemożliwością realizacji swego natchnienia. Człowiek z kosza unikał kolegów, owych okropnych młodzieńców w beretach, czarnych golfach i prochowcach, chowając w sercu marzenie, którego nie mógł zrealizować.

Rozpromieniona, ze słodyczą w sercu słuchała gorzkich słów. Oto była jej rola. Podpowiedzieć mu w chwili zwątpienia, że nie ma prawa, że nie wolno mu się załamywać. Stworzy rzeczy wielkie i piękne. Czyż ona, gdy tylko ujrzała go w koszu, nie przeczuła, że ma do czynienia z kimś wybitnym?

Umówili się na dzień następny. Mężczyzna odprowadził ją do domu, jakby to było zrozumiałe samo przez się. W czasie drogi mówili niewiele, nie mieli potrzeby udawać zagadanych, nie bali się milczenia. Przed furtką on pocałował ją w rękę i spytał, które okno należy do jej pokoju. Pokazała i rozstali się.

W nocy obudził Zofię szelest. Wstała, podeszła do okna. Noc była parna, ciężka od skłębionej, dusznej ciemności. W górze, bardzo wysoko, drżało kilka gwiazd. Wiatr pachnący wysuszoną trawą zapowiadał burzę. Chciała zamknąć okno, gdy doszedł jej uszu przytłumiony odgłos kaszlu. Nachyliła się i pod drzewem przy chodniku ujrzała rozżarzony ogienek. Ktoś tam stał i palił papierosa. Wpatrzona w niewyraźną męską sylwetkę czuła, jak serce bije jej gwałtownie.

Nie było żadnego znaku, żadnego wezwania. Do

świecącego punktu pod drzewem ciążyła wszystka ciemność, wszystka tajemniczość i cała obietnica, jaką przynosi noc.

Ogienek zgasł nagle. Jednocześnie ocknął się szum, dreszcz przeszedł w powietrzu, stęknęły drzewa. Zaczął padać deszcz.

Zofia zatrzasnęła okno i wróciwszy do łóżka wcisnęła twarz w poduszkę. Mógł to nie być on, ale jeśli był, wdzięczna mu była za tę subtelność. Nie zdradził się niczym, nie zamącił ich przyjaznego stosunku. Gdyby jednak zamącił, nie wzięłaby mu chyba tego za złe.

Gdy rano przyszła na plażę, morze było spokojne. Nie umiałaby opowiedzieć wszystkiego, co w ciągu nie przespanej nocy prześliznęło się przez jej myśli, jednakże wiedziała już, jak winna postąpić. Jeśli ma zachować spokój, wystarczy nie patrzeć na mężczyznę, który stanie przy niej, a jego połyskliwe, brunatne oczy prześlizną się po jej karku. Wystarczy nie myśleć, że jest tuż obok spokojny, uważny, milczący, drogi jej...

Nadszedł z daleka, kiwając w stronę Zofii białą czapeczką.

Był tak żywotny, wesoły, że patrząc na niego miała ochotę podbiec i rzucić mu się na szyję. Ogromnym wysiłkiem udało się jej zachować spokój.

— Gdzie Piotruś? — spytał witając się.

— Bawi się z dziećmi sąsiadki. Jest trochę zaziębiony, więc musiał zostać w domu — kłamała szczęśliwa, że on nie może odkryć jej kłamstwa.

— Czy pani wie, co to za miejsce? — zapytał rozglądając się wokół. — Właśnie w tym miejscu powstał kiedyś mój niedokończony poemat. A zaczęło się od tego, że wymarzyłem sobie, iż może istnieć porywająca miłość. Taka, która ze sprawy ciał czyni sprawę

najwyższego uniesienia i najniższej pokory. Czy pani mnie rozumie?

Czuła na sobie jego spojrzenie. I uciekając wzrokiem od ciemnych oczu mężczyzny na morze, gdzie rozpościerała się przejrzysta mgła, nasycona blaskiem, jedwabista i migotliwa niczym zasłona kryjąca tajemniczy uśmiech — z wysiłkiem szepnęła:

— Niech pan mówi dalej...

— Ktoś trzeźwy nazwałby mnie może maniakiem. A ja wierzę w spełnienie.

— Na pewno! — wykrzyknęła.

— Pani jest dobra.

— Och, to nie to... — zaprzeczyła gorąco.

Spojrzał na zegarek.

— Tak się fatalnie składa, że przyjeżdża dziś mój szef. Jeśli pani pozwoli, spotkamy się jutro. Przyszedłem umówić się z panią.

— Dobrze...

Nazajutrz, wychodząc z domu po poranne sprawunki, Zofia natknęła się przy furtce na swego znajomego z kosza.

— Czekałem tu na panią — powiedział z prostotą. — Ma pani ochotę i czas przejść się ze mną kawałek?

Ruszyli chodnikiem przed siebie.

— Pamięta pani naszą wczorajszą rozmowę?

— Oczywiście...

Zaległa pomiędzy nimi chwila milczenia. Zofia szła patrząc prosto przed siebie i mrużąc oczy z nadmiaru słońca. Była spokojna. Tylko szczęście mogło dawać taki spokój. Kroczący u jej boku mężczyzna zjawił się w samą porę, gdy usychała z braku szczęścia. W opalonych dłoniach, w szerokich ramionach, w subtelnym, mądrym uśmiechu przynosił życie. Był spokojny, był opiekuńczy, wrażliwy jak artysta, miał nieprzeciętny talent — był mężczyzną... Zofia od czasu zamążpójścia

w Wieliczce nie miała do czynienia z prawdziwym mężczyzną. Była mężatką, ale czyż to przeszkadzało jej marzyć, tęsknić, czekać? Czyż nie miała prawa być szczęśliwą?

— Pragnę stworzyć film o miłości — rzekł skupionym, przejętym głosem. — Ta myśl nawiedziła mnie w miejscu, gdzieśmy się spotkali. To jest właśnie mój niedokończony poemat.

Musiał przerwać, ponieważ nadjechał i rozdzielił ich wózek z jarzynami. Na ulicy robiło się coraz tłoczniej. Zofia zatęskniła za tym, ażeby być teraz na chłodnej, pustej plaży i z głową opartą o jego ramię patrzeć na przesuwające się w dali białe żagle.

— ...Chcę pani opowiedzieć o filmie, który chciałbym stworzyć. Jest w tym moim marzeniu coś jak tęsknota do miłości, którą się przeczuwa.

Nie patrząc na niego, leciutko wsunęła dłoń pod jego ramię. Jakże była mu wdzięczna, że okazał tyle subtelnego taktu, tyle delikatności nie nazywając rzeczy po imieniu.

Mówił „film", a myślał o miłości. Jako człowiek ze świata artystycznego był zbyt wytworny, zbyt wymagający, aby brutalnie zdążać do celu.

— Proszę, niech pan mówi dalej, to bardzo interesujące — szepnęła, gdy wyminęli ciężarówkę z bańkami z mlekiem.

— Film będzie dla takich jak pani. Dla tysiąca, źle mówię, dla tysięcy młodych kobiet. Film o czekaniu na wielkie uczucie, o nieśmiałym marzeniu dziewczyny ze skromnego miasteczka, o jej bezsennych nocach. Film o czekaniu i nadziei, którą zawsze mieć wolno, nieprawda? — dodał spoglądając w uniesione ku sobie oczy. — Proszę wybaczyć mi niedyskrecję. Ale to interesuje mnie jako przyczynek do tezy, na

której chciałbym oprzeć założenie filmu. Czy pani sama, osobiście, wyszła za mąż z miłości?

Wysunęła rękę spod jego ramienia i szybkim, stanowczym głosem odpowiedziała:

— Ja, proszę pana, niczego nie udawałam. Byłam młodą dziewczyną w... w małym miasteczku.

— Tak właśnie myślałem.

— Miałam oczywiście kolegów. Byłam podobno niebrzydka. No cóż. Zawsze jakąś drogą dochodzi się do poznania mężczyzny, który zostaje tym wybranym. Były randki, chodziliśmy do kina. Małżeństwo nie było mi w głowie. Ale w kamienicy, gdzie mieszkałam, były wolne dwa pokoje z kuchnią. Przydział mógł być zrealizowany tylko dla małżeństwa. Pobraliśmy się. To wszystko.

— Dziękuję pani — powiedział z prostotą.

— Za co?

Musiała poczekać na odpowiedź, bo w tej chwili duży motor z przyczepą wpakował się na środek ulicy. Gdy wyminęli go, mężczyzna rozpoczął od nowa:

— Pani opowieść utwierdziła mnie w moim zamyśle. Jestem wdzięczny pani za to. Teraz z nowym zapałem będę mógł się zabrać do pracy nad nim. Czy pani zechce posłuchać?

Mijali wolną ławkę stojącą pod kasztanem. Zofia rzuciła na nią wzrokiem. Jej towarzysz podchwycił to spojrzenie i skinął głową. Usiedli na ławce. Zofia podniosła z ziemi uschłą gałązkę i obrywając z niej pokurczone liście, słuchała.

— ...Ja to sobie wyobrażam tak: Zajeżdża pociąg. Widzimy małą stacyjkę. Z pociągu wysiada młoda, ładna dziewczyna. Dałbym jej czarny płaszcz, jaki nosiła Michele Morgan w swoich najlepszych filmach, czarny beret na rozrzuconych jasnych włosach. Dziew-

czyna idzie krzywymi uliczkami starego miasteczka. Ujęcie przez jej ramię na stary kościółek...

— Co, proszę pana? — rzuciła Zofia pospiesznie.

— To jest wyrażenie filmowe w naszym fachowym języku. Dziewczyna staje na rynku. Podjeżdża kamera. Widzimy obraz prowincjonalnego miasteczka. Krzywe kamieniczki, plac ze straganami, ludzie chodzący bez celu. To będzie miało wymowę oskarżycielską... Z dalszego ciągu dowiadujemy się, że dziewczyna przyjechała specjalnie tutaj, gdzie nikt jej nie zna, z wyjątkiem przyjaciół, u których się zatrzymała. Przeszła jakiś dramat i chce o nim zapomnieć w obcym otoczeniu. Jej twarz — duże zbliżenie. Wciąż smutek. A przecież stara się znaleźć zapomnienie. Idzie do kościółka. Tu można kapitalnie jechać kamerą. Stary organista, fisharmonia. Wchodzi mocny akcent muzyczny.

W tej chwili do ławki zbliżyła się para: chłopiec i dziewczyna. Usiedli trzymając się za ręce. Spoglądali na siebie i chichotali cicho. On trącił ją kilka razy nosem w szyję. Dziewczyna wytarmosiła go za ucho. Wstali z ławki i leniwie poszli naprzód, nie rozłączając splecionych rąk. Zofia patrzyła uparcie za nimi. Mężczyzna mówił dalej:

— ...Pewnego wieczoru dziewczyna wraca do swego pokoiku. Zasiada do pisania listu. Ujęcie przez jej ramię na wiszący na ścianie stary zegar. Dziewczyna pisze list. Duże zbliżenie zegara. Dwunasta godzina w nocy. Zakleja list i nocą idzie na pocztę. Pełne ujęcie ulicy. Krzywa stara latarnia, jakieś postacie znikające w mroku. Kamera podjeżdża do skrzynki pocztowej na murze. Widzimy wyeksponowaną skrzynkę pocztową i rękę wrzucającą list. Na tym kończy się pierwsza część filmu. Druga i właściwa część to filmowym językiem opowiedziana treść listu. Historia mi-

łości, przed którą dziewczyna uciekła do małego miasteczka. O tym wszystkim opowiada list.

— Jaka była ta historia opowiedziana w liście? — spytała Zofia z wysiłkiem.

— Tego właśnie jeszcze nie wiem. W każdym razie będzie tam samotność kobiety, może mężatki — to będzie bardziej zaskakujące — mężatki tęskniącej za miłością. Jej spotkanie z mężczyzną, który staje się dla niej olśnieniem. Rezerwa ukochanego, który nie domyśla się uczucia, jakie potrafił wzbudzić. Jej tłumaczenie sobie tego delikatnością jego uczuć. Oczekiwanie kobiety, aż ukochany spostrzeże, że jest tak bardzo kochany. Jej rozczarowanie, gdy tamten okazuje się egoistą zapatrzonym w siebie. Jej ból i nagłe przebudzenie się dumy, która nie pozwala na okazanie cierpienia. Nagła ucieczka kobiety, zanim nie będzie za późno. A teraz proszę mi powiedzieć, jak się pani ten pomysł podoba, czy uważa go pani za życiowy? Z panią pierwszą rozmawiam o nim tak swobodnie.

— Owszem — rzekła czując nagłe zmęczenie. — Jest bardzo życiowy.

— Chciałbym pójść dalej i pokazać, że ten kochany i nie kochający mężczyzna jest artystą. I będzie tu odwieczny konflikt pomiędzy bezinteresownym umiłowaniem mężczyzny dla swojej sztuki a miłością kobiety, która przy wszystkich pozorach braku egoizmu jest zawsze interesowna. Chce ograniczenia wolności mężczyzny, uzależnienia od swojej miłości. Ponadto, widzi pani — rzekł wstając z ławki — ja jakoś wypoetyzowałem sobie całą tę historię z małą stacyjką, samotną kobietą i jej rozterką. Byłoby w tym dużo nastroju, melancholii.

Nie mogła już dłużej słuchać. Rozejrzała się wokół, szukając rozpaczliwie ratunku. Nadjechał wózek z owocami.

— Przepraszam, ale muszę pożegnać pana. Obiecałam naszej gospodyni, że kupię owoców. Miałam zaraz wrócić. Pan wie, jak to jest z gospodyniami, gdy ogarnie je szał konfitur. — Uśmiechnęła się bohatersko.

— Pani wybaczy, że nie odprowadzę jej, jestem umówiony z kolegami, którzy przyjechali z Łodzi. Będziemy kręcili film na wybrzeżu. Do zobaczenia — ucałował jej dłoń.

Pożegnali się jak co dzień.

Gdy Zofia wróciła do domu, zastała Piotrusia leżącego na łóżku. Miał rozpalone czoło i kaszlał. Zrobiła mu kompres i wysłała depeszę do męża.

Wieczorem byli już w sleepingu. Piotruś po zażyciu aspiryny miał się lepiej. Patrząc przez okna kabiny na przesuwające się wzdłuż toru latarnie, spytał:

— A dlaczegośmy się nie pożegnali z tym panem z kosza?

— Był zajęty i ja też nie miałam czasu — odpowiedziała szybko.

Zawijając się w koc do snu, pomyślała z niechęcią o morzu, które o tej porze wyrzucało na brzeg zdechłe węgorze i oślizłe wodorosty. Skróciła swój pobyt o tydzień, ale nie miała czego żałować. Mało się opaliła, pogoda nie dopisała, miała niezbyt wygodne mieszkanie, za które słono przepłaciła, męczyła się cały czas sama z dzieckiem. O innych rzeczach postanowiła nie myśleć, za wszelką cenę odsuwać je od siebie. Jeszcze raz tylko przed zaśnięciem przeniosła się wyobraźnią na płaski brzeg morza, ujrzała pusty kosz i siebie siedzącą samotnie na dziecinnym kocyku na dzikiej plaży. Potrząsnęła energicznie głową, otarła łzę zaplątaną w rzęsy i zasnęła.

Lipiec, 1957 r.

Miotła

— Żadna z opowiedzianych tu historii nie ma nic wspólnego z prawdziwą miłością — stwierdził starszy pan z niezadowoleniem.

Siedział w fotelu, założywszy nogę na nogę, uroczysty w nienagannie skrojonym, ciemnym garniturze i białej koszuli ze sztywnym kołnierzykiem. Grono zaproszonych na przyjęcie przyjaciół mecenasostwa pamiętało bujne lata jego młodości, gdy uchodził za wybitnie zdolnego biologa i namiętnego wielbiciela pięknej mecenasowej, dziś obchodzącej tak uroczyście dwudziestopięciolecie swego małżeństwa.

Była późna godzina w nocy. Towarzystwo znużone rewelacjami z życia Mazurkiewicza i jego trzydziestu sześciu kochanek, z inicjatywy prywatnej, przeszło na temat prawdziwej miłości. Zaczęto się zastanawiać nad pytaniem, czy takowa istnieje, a jeśli tak, to skąd się bierze, w jakich okolicznościach powstaje i do czego prowadzi?

— Chcecie usłyszeć historię prawdziwej miłości? Posłuchajcie, co przydarzyło mi się w latach studiów — zaproponował biolog.

— Ależ oczywiście... Prosimy bardzo... — rozległy się zachęcające okrzyki.

— Umówmy się zatem, że bohaterkę mojej miłości będziemy nazywać...

— Ireną — podpowiedziała któraś z pań.

— Niech będzie Irena. Wszystko jedno. Wybaczcie

teraz małą dygresję. Wiąże się ściśle z głównym tematem, o czym przekonacie się zaraz. W jedenastej klasie, gdzie miałem zastępstwo za chorego kolegę, jedna z uczennic przyszła wczoraj na lekcję tylko w spódniczce i opalaczu. Na moją uwagę o niestosowności swego stroju odpowiedziała zuchwale, czemu nie zdziwi się nikt znający dzisiejszą młodzież. Jeśli ankieta personalna, tańczenie krakowiaka na eliminacjach w Pocimiu i biegi narodowe w majtkach oddziaływują na oceny przy egzaminach, to nic dziwnego, że wychowana w takim duchu młodzież nie ma za grosz szacunku dla starszego pokolenia.

Z początkiem lekcji wywołałem dziewczynę przed katedrę, żeby ją zawstydzić, i... zaniemówiłem. Była zdumiewająco podobna z urody do Ireny. Nawet ekstrawagancja jej postępku i stroju była czymś, co zbliżało je do siebie. Z tym oczywiście, że Irena... No cóż, takie kobiety jak Irena trafiają się na świecie rzadko. W zaśmieconym dołku na plaży, obok ogryzków i strzępów papieru leży sobie kawałek bursztynu. W jego powstawaniu współdziałało morze i ziemia, powietrze i słońce. Jeśli dostanie się w ręce artysty, mogą powstać z niego cuda. Dzisiaj najczęściej robi się z nich klipsy.

Poznaliśmy się z Ireną na wyższej uczelni przed wojną. Ja przygotowywałem się do dyplomu, ona zastępowała chorą maszynistkę w sekretariacie. Mogę opisać wam po kolei jej nos, oczy, zęby, ale tego czaru, który na nas rzuciła, opisać się nie da. Jak gromada osłów, tłoczących się w upał wokół drzewka, staraliśmy się bodaj pozostawać w jej cieniu. Dlaczego wybrała akurat mnie, na uśmiech zaczęła odpowiadać uśmiechem i w tłumie studentów odnajdywała wzrokiem — nie wiem. Prawda, że nigdy w niczym nie uchybiłem żadnej kobiecie. Z domu wyniosłem tzw.

Dobre wychowanie, miałem wrodzone poczucie estetyczne i wzniosłość poglądów, trzymałem się zdrowych moralnych zasad, a przy tym byłem niegłupi i zbudowany podobno bez zarzutu. Przypuszczam, że te walory musiały zrobić wrażenie na bystrej, żywej, inteligentnej dziewczynie. Zaczęliśmy chodzić na spacery do parku. Dumny z jej piękności, umyślnie wybierałem miejsca, gdzie mogli nas spotykać znajomi. Irytowało mnie, że Irena wymawia się od chodzenia na dansingi twierdząc, że nie lubi tłoku publicznych miejsc. Nie było to prawdą, ponieważ na uczelni otaczali ją zawsze rojem studenci prawiąc dusery i komplementy. Uśmiechała się wtedy samymi oczyma. Miała przepiękny owal twarzy, cudowne zęby, no a szyja... ach, mój Boże. Jak ja w ogóle się w niej kochałem.

Kiedyś posprzeczaliśmy się z racji adoratorów, którzy o każdej porze kręcili się koło jej biurka. Powiedziałem Irenie, że widzimy się po raz ostatni. Na to odpowiedziała:

— Czy jutro ma nastąpić koniec świata, że dzisiaj widzimy się po raz ostatni? Niech zresztą będzie koniec świata. Ja i tak cię odnajdę, chociażbym nawet miała szukać w nieskończoności.

Już wtedy zaczynało mnie drażnić, że Irena używa napuszonych wyrazów, a całe jej zachowanie trąci ekstrawagancją, będącą wrogiem dobrego smaku. Zachwycała się utworami nowych poetów, biegała na wystawy do Pałacu Sztuk Pięknych, chodziła do Filharmonii, bezceremonialnie dyskutowała o zagadnieniach wymagających średniego bodaj wykształcenia. Oczywiście, nie było jej winą, że miała ukończone tylko sześć klas szkoły powszechnej i dwa lata jakichś wieczorowych kursów. Jej ojciec, jak mi wyznała, był bezrobotnym rzemieślnikiem.

Patrząc na nią, trudno było nie żałować, że Irena

nie rozwijała się w domu, gdzie podlotek staje się mimowolnym słuchaczem refleksji na temat filozofii, etyki, sztuki, gdzie przyjmuje myśli, zaczerpnięte z dzieł klasyków, i w ten sposób przyswaja sobie ogólnoludzką kulturę.

— Pańska Irena w dzisiejszych czasach zapewne zrobiłaby przyśpieszoną maturę i została przewodniczącą ZMP na szczeblu wojewódzkim... — wtrąciła z dowcipnym uśmiechem któraś z pań.

— Irena zmarła w obozie — wyjaśniła żywo mecenasowa. — Tragiczna historia i naprawdę nieszczęśliwa dziewczyna. Kto z państwa pozwoli jeszcze tortu? Radzę spróbować, jeśli ktoś lubi migdały...

— Próbowałem już dwukrotnie, ale tort jest zbyt wielką pokusą — oświadczył biolog sięgając ostrożnie srebrną łopatką. — Ale wracajmy do miłości. Irena stale podkreślała, że wszystko, co ludzkie, warte jest zainteresowania. Robiłem studia z określonej specjalności, potrzebowałem spokoju. Niestety, nigdy nie miałem pewności, czy Irenie nie strzeli do głowy, ażebym zajmował się mineralogią. Poznałem ją w okresie, gdy kształciłem sobie silną wolę i wierzyłem głęboko, że panując nad zmysłami, posiądę tzw. „mocny charakter". W osiągnięcie tego ideału wkładałem wiele samozaparcia. Oczekiwałem nawet z pewną niecierpliwością, kiedy koledzy zaczną mówić o mnie głośno jako o człowieku, który może imponować panowaniem nad sobą.

Ćwiczyłem sobie wolę również i w ten sposób, że przebywałem sam na sam z Ireną w parku czy Lasku Wolskim, umyślnie odwlekając moment pierwszego pocałunku. Przypuszczam, że Irena, przejrzawszy moje zamiary, musiała pokpiwać z nich w duchu.

Pewnego wieczoru przyszła niespodzianie do mej pracowni. Wyglądała prześlicznie. Pocałowaliśmy się wtedy po raz pierwszy. Wtedy po raz pierwszy po-

myślałem, że moraliści przeceniają znacznie rozkosz płynącą z posiadania tzw. silnej woli. Przez następne wieczory ulepszaliśmy wynalazek pocałunku. Ja nadal trzymałem się w granicach zakreślonych sobie własną wolą. Dumny z wytrzymałości swego charakteru, gotów byłem wystawić się na najcięższą próbę.

Okazja ku temu nadarzyła się rychło. Rodzice z siostrami wyjechali nad morze. Mogłem więc Irenę zaprosić do mego domu.

Przyszła, aczkolwiek nie wywierałem na nią żadnego nacisku i mogła była odmówić. Dziewczyny są mniej subtelne, wbrew temu, co się im przypisuje. Nie przejmują się tak bardzo. Ja natomiast byłem przybity i załamany. Silna wola, której byłem tak pewny, spłatała mi figla... Dla kogoś o mniejszych skrupułach moralnych byłaby to rzecz bez znaczenia. Ja jednak ugrzązłem w rozterce duchowej. Łatwe osiągnięcie celu, dla którego moi koledzy poświęcali wiele daremnych zabiegów, wzbudziło moje podejrzenia. Gdybym miał pewność, że Irena uczyniła to z miłości, a nie dla kaprysu, ciekawości czy ekstrawagancji... Łatwość, z jaką to czyniła, budziła we mnie poważny niepokój.

Jako człowiek uczciwy, który miał szczęście lub nieszczęście — być pierwszym w życiu dziewczyny, przez szereg tygodni mocowałem się z problemem, czy mam się z Ireną ożenić. Mówiąc szczerze, nie czułem się do tego przygotowany. Irena była osobą bez wykształcenia. Nie znałem jej rodziny, domyślałem się wścibskich krewnych z przedmieścia...

W efekcie takich rozważań oblałem dwa egzaminy, schudłem, źle sypiałem i straciłem spokój ducha.

Gdy ja nie mogłem dać sobie rady ze samym sobą, Irena — spokojna, szczęśliwa — kwitła, piękniała i, jak mi wyznała sama, ani przez chwilę nie zaprzątała sobie głowy sprawą małżeństwa. Jej wystarczała miłość.

Tak więc problem, który na pewien czas przysłonił mi świat, dla niej wcale nie istniał. Przyniosło mi to ulgę. Jednak moja ambicja i próżność cierpiały, boleśnie dotknięte. Byłem w okresie, kiedy młody człowiek uważa, że każda zakochana dziewczyna pragnie wydać się za swój ideał. Świadomość, że nie jestem dla Ireny tym ideałem, nie była dla mnie przyjemna. Wierzcie mi, drogie panie, że nic tak nie odpycha i jednocześnie nie przyciąga mężczyzny jak pewność, że jest wymarzonym celem życia kobiety. Oczywiście, że na tej męskiej słabości wygrywa tylko Urząd Stanu Cywilnego. Obie bowiem strony zazwyczaj przegrywają.

— Irenie nie zależało na małżeństwie z panem? — roześmiała się mecenasowa. — Niechże pan nie będzie tak naiwny, niepoprawny idealisto... Niech mi kto pokaże dziewczynę, której nie zależałoby na małżeństwie z przystojnym, zamożnym, młodym człowiekiem z dobrej rodziny.

— Tłumaczyłem jej — ciągnął biolog — że powinniśmy być ostrożniejsi. Niecierpliwa, nadal odwiedzała mnie wieczorami w pracowni. Po kompletnym fiasku silnej woli drżałem, ażeby z naszego powodu nie wybuchł na uczelni skandal. Wystarczyłoby, aby któremuś z woźnych przyszła ochota napomknąć coś o tym dyrektorowi znanemu z ostrości charakteru i mało liberalnych poglądów.

Było niemożliwością ukryć naszą miłość przed cudzymi oczami. Kręcił się tam jeden woźny. Starszy człowiek, z podłużną twarzą, wysoki, łysawy, o pomarszczonym czole. Od pewnego czasu zaczął spoglądać na mnie krzywym okiem. Kilkakrotnie zdybałem go pod drzwiami pracowni. Ilekroć Irena szła poprzez hall, stary odwracał się za nią i patrzył, dopóki nie zniknęła mu z oczu.

Chciałem jakoś ugłaskać faceta. Poprosiłem umyślnie, ażeby przyniósł mi książkę z biblioteki i przy okazji wetknąłem mu w kieszeń pudełko papierosów. Odmówił, a spojrzenie, jakim mnie obrzucił, świadczyło o wybitnej niechęci do mnie. Wbrew temu, co szeptał rozsądek, byłem o sto mil odległy od podejrzenia, że łysawy facet z miotłą stanie kiedyś Irenie na drodze szczęścia...

Opowiadający zamilkł i zadumał się.

— Bardzo ciekawe i niezwykłe... — żywo zawołała mecenasowa, obiegając spojrzeniem twarze zebranych.

— Zazwyczaj mówi się, że los z mieczem w ręku dybie na głowy nieszczęsnych ludzi. Bzdury... z tego, co mnie się przydarzyło, wynika jasno, że ów przysłowiowy miecz w rękach Losu może zastąpić zwykła miotła...

Jeszcze dziś pamiętam ten dzień doskonale... Stałem w hallu uczelni wraz z dwoma kolegami, rozmawiając wesoło... W tym momencie Irena wyszła z sekretariatu. Przerwaliśmy pogwarkę, żeby na nią popatrzeć.

Wszystko odbyło się jak w teatrze. Tak, to był najprawdziwszy teatr, lepszy od tego, który nam pokazują teraz. Dekoracje z rzeczywistego zdarzenia. Pusty, rozległy hall z kolumnami, szerokie, marmurowe schody na wprost wejścia, wiodące na górę. Irena przystanęła na środku hallu, ja z kolegami pod kolumną, wszyscy trzej wpatrzeni i namiętnie zakochani... I wtedy na szczycie schodów ukazał się stary człowiek z podłużną twarzą. Nasz woźny w chałacie, z miotłą pod pachą. Skończył właśnie zamiatanie sal wykładowych i schodził na dół.

Nigdy nie byłem skłonny do poezji. Żywiłem do niej sporo nieufności, ale wtedy coś mnie tknęło. Jakby to nie nasz woźny, ale sam Los, przebrany w chałat,

schodził ku nam. Gdy zeszedł ze schodów, spostrzegłem, że kieruje się prosto ku znieruchomiałej dziewczynie. Chciałem podbiec do niej, schwycić za rękę, odciągnąć na bok albo zasłonić. Stałem jak słup, opanowany absurdalną myślą, że stary za chwilę zamierzy się na Irenę miotłą.

Podszedł do Ireny, wyjął klucze z kieszeni fartucha i wciskając w jej dłoń, powiedział:

— Oddaj klucze matce.

Nawet nie spostrzegłem, w której chwili zniknął za wahadłowymi drzwiami.

Oburzony, wściekły, że ktoś ośmiela się tykać ją po imieniu, spytałem kolegów:

— Co to ma znaczyć? Jak on do niej powiedział?

Wzruszyli ramionami. Dla nikogo nie było tajemnicą, że piękna maszynistka jest córką woźnego.

Nazajutrz odesłałem Irenie jej fotografię. Całą noc nie mogłem zmrużyć oka. Zdarza się, że ambicja stawia mężczyźnie najwyższe wymagania. Tak właśnie było ze mną. Irena naraziła mnie na śmieszność, robiąc ze mnie w oczach kolegów durnia. Uczyniła to z zimną krwią, wiedząc, że ją kocham. Wbrew bowiem obojętności, z jaką odnosiła się do sprawy zamęścia, powziąłem zamiar zaręczenia się z Ireną. Chciałem uczynić to w zimie, zaraz po egzaminach. I teraz wyobraźcie sobie, że w karnawale, dorocznym zwyczajem, mój ojciec, matka, siostry przychodzą na bal do Instytutu. Ojciec Ireny razem z czterema innymi woźnymi zdejmuje paniom futra, odbiera parasole i śniegowce od mego ojca, odnosi okrycia do szatni...

Czy miałem cierpieć za ustrój, który postawił ojca Ireny przy miotle? Doszedłem do wniosku, że dla Ireny będzie najlepiej, jeśli po prostu przestanę ją widywać. Po kilku dniach przysłała mi list z zapytaniem, co ma oznaczać moje zachowanie? Odpisałem jej jakoś

tak głupio, że nie mogę łączyć się z kimś, kto raz zawiódł mnie i oszukał, nie wyznając całej prawdy. Przyznaję się, że pisząc odpowiedź, odczuwałem pewien niesmak. Sądząc po zapalczywości, z jaką Irena mnie uwielbiała, musiała trochę boleć nad zerwaniem, które mnie tyle kosztowało. Sądzę, że rychło się pocieszyła kimś innym. Znajomi twierdzili, że nie dopuściła nikogo na opuszczone przeze mnie stanowisko. Byłoby to rzeczywiście bardzo ładnie z jej strony i po części zmazywałoby jej winę. Jednakże nie łudźmy się... Kobiety umieją maskować się ze swoimi zachciankami...

Najgorsze było to, że zerwawszy z Ireną, nie przestałem za nią tęsknić. Przypominało mi się, że koledzy nazywali ją żartem „ciemnowłosą Izoldą". Byłem więc bardzo smutnym Tristanem.

Aby oderwać się od wspomnień, wyjechałem, osiedliłem się w innym mieście. Chorowałem. Po dwóch latach, wyleczony na ciele i na duchu, wróciłem do rodzinnego miasta.

Idąc od stacji przez park, spostrzegłem z daleka siedzącą na ławce kobietę z książką w ręce. Złośliwie przekorny los umieścił Irenę akurat przy mojej ścieżce, gdy chciałem wejść w nowe życie. Zwolniłem kroku i sam nie wiem, jak dotarłem do ławki.

Zaczytana w książce, bujając nogą, nie zwróciła na mnie uwagi. Prócz nas dwojga nie było nikogo na ścieżce. Nasza miłość stanęła mi przed oczami jak żywa. Wzruszony, ze ściśniętym gardłem, już byłem gotów upaść przed ławką na kolana. Zwróciło moją uwagę, że Irena znacznie wyszczuplała. Miała na sobie bardzo skromną, bardzo tanią sukienkę. Było z nią krucho. Tak krucho, jak to bywa tylko z dziewczynami, które z winy własnej wygórowanej ambicji tracą grunt pod nogami. Czytywanie poezji, odwiedzanie salonów

malarskich i dyskusje z akademikami musiały przewrócić w głowie dziewczynie, która, bądź co bądź, miała skończonych tylko sześć klas szkoły powszechnej i dwa lata kursów.

Odchodząc miałem łzy w oczach. Obawiałem się, czy po dwóch latach znajdę Irenę taką samą, jaką była wówczas, gdy lgnęła do mnie, pełna czarującej tkliwości. A przede wszystkim, jakież byłoby dla mnie upokarzające, gdyby Irena wróciła do mnie z powodu swej lichej sukienki... Nie wierzyłem, ażeby mogła mnie kochać dla mnie samego.

Przeszedłem obok ławki krokiem złodzieja, który czuje ogień na plecach i mróz na karku.

Więcej już jej nie widziałem. Wybuchła wojna, zabrano ją do obozu. Zgolono jej ciemne włosy, układała cegły, nosiła belki i zmarła. Moi rodzice zginęli w zbombardowanym pociągu. Obawy, że ojciec Ireny skompromitowałby mnie miotłą przed moją rodziną — unicestwiła sama historia. Sądząc po jego upartej brodzie, dawny woźny, zrobiwszy w dzisiejszych czasach karierę, został gdzieś III sekretarzem Dzielnicowego Komitetu.

Ja, utraciwszy raz na zawsze zaufanie do kobiet, nie ożeniłem się nigdy. Jako jedyna pociecha zostało mi tylko przeświadczenie, że byłem zdolny w życiu pokochać i kochałem prawdziwą miłością.

Marzec, 1955 r.

Najuczciwszy

Dziecko nagle zachorowało na wsi i trzeba było natychmiast przewieźć je na klinikę do miasta. Maria w poszukiwaniu auta udała się do pewnej nadrzędnej instytucji, której szef, zaprzyjaźniony z jej mężem, znany szeroko ze swych zasad i krystalicznego charakteru, mawiał o sobie, że zjadł zęby na poznawaniu ludzi. Takie wyznanie było mu zresztą poczytywane za wybaczalną kokieterię, ponieważ zęby miał wszystkie w idealnym porządku.

Siedząc już w aucie koło szofera, Maria z wdzięcznością pomyślała o starszym panu, który na pożegnanie uścisnął jej dłoń mówiąc:

— Dostaliście na podróż najlepszy wóz, jakim rozporządzamy, i najuczciwszego, jakiego znam, szofera. Zwróćcie uwagę na niego.

Zwrócenie uwagi w zaleconym kierunku przyszło Marii tym łatwiej, że godzina jazdy znudziła ją okropnie. Pola zalane wiosennymi roztopami i obmokłe drzewa, które nadbiegały z obu stron nagie i rozcapierzone, nie mogły budzić zainteresowania. Szofer natomiast był przystojnym, silnie zbudowanym mężczyzną, lat około trzydziestu pięciu. Energiczna twarz z głęboką zmarszczką na czole nasunęła Marii myśl, że ten skądinąd prosty człowiek może posiadać bogate życie wewnętrzne. Wiedziona ciekawością, wdała się z nim w rozmowę na tematy rodzinno-osobiste.

— Pan ma dzieci? — zaczęła miękko. — Bo ja właśnie jadę po synka.

— Mam — odpowiedział patrząc prosto przed siebie.

— Pewnie chłopczyka?

— Dziewczynkę i chłopczyka.

— Duże?

— Chłopczyk kończy cztery, dziewczynka trzy lata.

— A pan pewnie woli synka?

— Bez różnicy. Oboje lubię.

— O, to pan musi być dobrym człowiekiem... — westchnęła przekonana. — Ojcowie wolą przeważnie synów.

Jechali teraz pustą szosą. Szofer zmniejszył szybkość. Zapaliwszy papierosa zaczął z wahaniem:

— To właściwie nie są moje dzieci. Tyle że zaopiekowałem się nimi.

Na Marii wywarło to wielkie wrażenie. Siedzący obok niej szofer musiał być surowym, mocnym człowiekiem, prawdziwie kochającym bezbronne dzieci. Inaczej nie mówiłby o zaopiekowaniu się nimi jak o rzeczy najnaturalniejszej pod słońcem.

— Pan rzeczywiście wziął je pod opiekę na zawsze?... — wykrzyknęła z podziwem.

— Dzieci to są dzieci — wyjaśnił przepuszczając pędzącą ciężarówkę.

Maria oczarowana nie spuszczała z niego oczu przez dłuższą chwilę. Odgadując jej myśli, wyznał z uśmiechem:

— Tak się do nich przyzwyczaiłem, jakby to były moje własne.

— A ich ojciec? — wtrąciła cichutko.

— Ojciec? — szofer pomilczał chwilę. — Ojciec siedzi w więzieniu. — Ściągnąwszy brwi, dodał z namysłem: — Widzi pani, ja mam taką naturę, że nie po-

trafię odmówić, jak mnie o coś proszą. Tamten ojciec prosił mnie, żebym się nimi zaopiekował.

— A gdzie matka? — spytała z zamglonymi rozrzewnieniem oczyma, przeczuwając, że maleństwa musiały dawno matkę stracić.

— No cóż, jak matka — szofer strącił popiół z papierosa. — Gdzie ma być? Jest przy dzieciach.

— Ach... Jest przy swoich starszych dzieciach?... — wykrzyknęła poruszona do żywego.

— Nie ma starszych — roześmiał się wesoło. — Na nas wystarczy tych dwoje. Matka jest zadowolona, że dzieci mają dobrze. Bo, wie pani, my jesteśmy spokrewnieni.

— Ano, to teraz rozumiem... — zawołała odczuwając żal, że to, co wydawało jej się tak niezwykłe, okazuje się całkiem, całkiem zwyczajne. — Jeśli ona jest pańską krewną, to pan spełnia po prostu obowiązek rodzinny i nic więcej...

Z uśmiechem przytaknął głową:

— Teraz pani zgadła. Wszystko poszło stąd, że jesteśmy spokrewnieni. Obcemu nieraz trudno odmówić, a cóż dopiero swojemu.

— Ona jest pańską bliską krewną?

— Ona? Skąd... Jeszcze dwa lata temu nie znaliśmy się wcale. Jej mąż jest moim kuzynem.

— To ja już nic nie rozumiem.

— Powiem pani, tylko niech ta historia zostanie między nami.

Zapalił nowego papierosa i zaczął opowiadać:

— Mój kuzyn, z zawodu harmonista, grał na zabawie w Łęgu. To będzie jakie dwa lata temu. W czasie zabawy powstała bijatyka. Wyrwali mu z rąk harmonię, ktoś przydeptał instrument, drugi szarpnął, harmonia pękła i wypadł z niej pistolet. Milicjanci wzięli

od razu kuzyna pod pachy, zaprowadzili na komendę: gadaj teraz, skąd masz ten pistolet?

Kuzyn tłumaczył się, zaklinał, że jak pragnie żyć, nic o żadnej broni nie wiedział, harmonię kupił zwyczajnie od jakiegoś faceta na tandecie i nigdy mu w głowie nie powstało, że tam coś może być w środku. Tyle jeszcze miał chłop szczęścia, że znajomy porucznik z milicji wystarał mu się o pozwolenie widzenia ze mną...

— No, wywołałem wilka z lasu, akurat teraz przyhamowali nas... — zakończył zatrzymując wóz.

Do auta podszedł milicjant, zażądał okazania papierów, sprawdził tylne światło, reflektor i sygnał. Oddawszy papiery, zasalutował i odstąpił od wozu.

— Na czym to ja stanąłem? — podjął szofer, gdy ruszyliśmy w drogę. — Aha... przyszedłem na milicję, wyprowadzili kuzyna do mnie, spostrzegłem, że dosyć nawet schudł, przywitaliśmy się i on zaczyna opowiadać, jakiego miał pecha z tą harmonią.

Żal mi się zrobiło, pytam, czy mają taki marny wikt. Na to on machnął ręką, że z jedzeniem nie jest tak źle, tylko że gryzie się o dom. Akurat na trzy dni przed aresztowaniem dostał przydział na piękne mieszkanie i wprowadził się z żoną i dziećmi na nowe miejsce.

— Dlatego bardzo cię proszę, Karol — powiedział na końcu, jak się już wyżalił — idź do mojej Maryśki i rób wszystko tak, jakbyś był jej mężem. W latach jesteśmy równych, nosimy jedno nazwisko, w kamienicy nikt mnie jeszcze nie zna, zobaczą cię, będą myśleć, żeś ty jest ten nowy lokator. Cztery lata trudno kobiecie wytrzymać w domu bez mężczyzny. Wolę, żebyś ty tam był z rodziny, niż żeby obcy zbałamucił mi kobietę i jeszcze na ostatek okradł mi mieszkanie. Wiem, że jesteś porządny chłop i postarasz się, żeby Maryśka była zadowolona. Dzieciom też krzywdy nie

zrobisz, one przyzwyczają się, będą wołać na ciebie: tata. Wszystko będzie w porządku, a jak ja wyjdę, załatwimy pomiędzy sobą.

Na ostatek złożył ręce jak przed ołtarzem i powiada:

— Zaklinam cię, Karol, i proszę jak brata, zrób to, jeśli masz Boga w sercu. Inaczej kto bądź z kamienicy doniesie do Urzędu Kwaterunkowego i wtedy albo dokwaterują żonie kogo, albo odbiorą przydział, a tego bym nie przeżył... Ja, bracie, trzy lata chodziłem za tym mieszkaniem.

I znowu dalej mnie zaklina, żebym szedł zaraz, a on mi to wynagrodzi, jak wyjdzie, i zwróci koszta.

Trochę mi głupio było. Raz, że to kuzyn, może nie bardzo bliski, ale zawsze kuzyn. Razem chodziliśmy w młodości na zabawy, w jednej drużynie graliśmy w piłkę. Drugie, że tamtej kobiety na oczy nie widziałem, bo ostatnie lata mieszkałem w Katowicach. Powiedziałem, że się namyślę. Na to Franek o mało się nie rozpłakał, że taki jestem nieużyty. Więcej niceśmy nie porozmawiali, bo wizyta się skończyła.

Co miałem robić? Sam rozumiałem, że stracić mieszkania przez głupią historię z harmonią — nie ma najmniejszego sensu, skoro można to inaczej załatwić. Tak właśnie jak Franek mówił. A znowu bałem się, że wpadnę w jakąś kabałę i potem, nie daj Boże, będzie się z niej trudno wyplątać. Najwięcej żal mi było Franka. Bardzośmy się zawsze lubili, a teraz nie dosyć, że chłop siedzi, ale jeszcze truje się myślą, czy jakiś typ nie zbałamuci mu żony i nie okradnie domu.

„Było nie było — myślę sobie. — Można pójść obejrzeć. Wypadnie nie po mojej myśli, to się wycofam, a Frankowi powiem przy sposobności, że przenoszą mnie służbowo do innego miasta".

Jak to wymyśliłem, to już byłem spokojniejszy.

Wziąłem jakiś stary rachunek i z nim walę pod wskazany adres na Szlak. Już w bramie spostrzegłem, że jak na początek wcale nieźle się zaczyna. Kamienica komfortowa, czyściutko, winda czynna. Zachwyciłem się.

Z rachunkiem w garści idę na pierwsze piętro. Na wprost drzwi wizytówka na drzwiach: „Fr. Łątkowie".

„To tu" — myślę sobie. Dzwonię do mieszkania.

Otwiera mi kobieta wysoka, postawna, przyjemnie zbudowana. Na oko jakie trzydzieści lat. Pyta, do kogo?

Odpowiedziałem, że mam rachunek do Franciszka Łątka.

— Pan chyba zaczeka albo przyjdzie innym razem, bo męża w domu nie ma — powiedziała i stoi czerwona, wlepia we mnie oczy, widzę, że ma stracha, czy to nie będzie jakiś wywiad z milicji...

Teraz musimy na chwilę stanąć, ale to będzie bardzo krótko.

Auto stanęło, szofer wysiadł. Chwilę dłubał coś koło opony. Siadając z powrotem na swoim miejscu i zatrzaskując drzwiczki, powiedział:

— Na czym to stanęliśmy?

— Jak ona powiedziała panu, żeby pan zaczekał — pośpieszyła Maria przejęta.

— No właśnie. Zaczekałem wtedy w mieszkaniu i do dzisiejszego dnia żyjemy razem. Zameldowany jestem jako mąż i wszyscy w kamienicy myślą, że to moja żona i dzieci. Kobieta tak się do mnie przyzwyczaiła, że nie chce słyszeć o powrocie do Franka. Gospodarna jest, nie szasta pieniędzmi i grzeczna we wszystkim, tak właśnie jak ja lubię. Nie mogę narzekać, gdybym sam szukał, tobym lepszej nie znalazł. Dzieci też są za mną. A Zosia wprost przepada. Franek może spokojnie swoje odsiadywać, bo w domu wszystko w najlepszym porządku. Mieszkanie dałem

odmalować, dzieci są ubrane, żonie kupiłem nową jesionkę, całe lato byli na wsi. Zrobiłem wszystko, o co kuzyn prosił, a że to wyszło trochę inaczej, niż on miał na myśli, to już za to nie odpowiadam. Taka moja natura, że czego się podejmę, musi być zrobione na sto dwa.

— A pański kuzyn co na to?...

Szofer westchnął:

— Też to właśnie. Gdybym tak nie lubił Franka, nigdy bym się nie zgodził na to zastępstwo. Po co mi było leźć w kłopot? Chciałem ratować kuzyna w nieszczęściu. Pewnie, że nic na tym nie straciłem. Żonę dostałem dobrą, dzieci odchowane, mieszkania mógłby mi niejeden naczelnik pozazdrościć. Inny na moim miejscu patrzyłby tylko, jakby samemu najwięcej skorzystać, a na koniec zostawiłby kobietę z dzieckiem i szukaj wiatru w polu. Ja znowu inaczej. Przez te dwa lata więcej zaganiałem, żeby w domu niczego nie brakowało, niż do swojej kieszeni. To i owo sprawiło się do mieszkania, nowe firanki, karnisze, linoleum do przedpokoju i kuchni, dzieci trochę chorowały, zeszłego tygodnia sprzedaliśmy z żoną starą sypialkę, a wzięło się nową na raty. Jutro przyjdą przerabiać piec w łazience i też parę stówek poleci. Dom i rodzina kosztuje tyle, że niech ręka boska broni. Gdybym był sam, tobym za te pieniądze miał już chyba ze cztery garnitury.

— A jeśli on się upomni? — wyrwało się Marii.

— O co? O mieszkanie i o te graty? — zamilkł patrząc w dal przed siebie. Po chwili podjął: — Upominać się może, tylko że to tyle pomoże, co szczekanie psa na księżyc. Te rzeczy nie należą już do niego, tylko do żony. A gdybym ja nie dawał na dom, musiałaby wynosić po kawałku i spuszczać za połowę ceny. Mieszkanie też by się nie uchowało. Zresztą o mnie tu nie

chodzi. Byłem sam i było mi dobrze. Mogę żyć dalej sam. Szczęścia nikomu nie zazdroszczę. A kuzynowi w drogę wchodzić, to mi nawet niemiło. Ale żona się nie zgodzi. Powiedziałem, że nie chcę nikomu życia psuć, do Franka żadnej złości nie mam. Ale jak tak sobie o wszystkim myślę, to mi Maryśki i dzieci żal. Licho wie, jak tam było naprawdę z tym pistoletem? Bo niby skąd broń w harmonii? Nie byłem tam, nie widziałem. Ale coś to jest w nieporządku. Franek wyjdzie i niech znowu wkręci się w jaką kabałę. A wtedy co? Żona i dzieci mają pójść z torbami przez jednego postrzelonego dławidudę? Na to nie mogę pozwolić.

Zgasił papierosa i spokojniejszym tonem podjął:

— Ja już nieraz przemyśliwałem, jakby to załatwić. Coby nie było pomiędzy nami, zawsze to swoja krew, kuzyn. Pewnie, że nie najbliższa rodzina, ale przecież rodzina. Sam bym skoczył na takiego, który by chciał go skrzywdzić. Więc już tak wszystko obmyśliłem, żeby Frankowi żadna krzywda się nie stała. Pomógł mi trochę w tym mój zawód. Człowiek jeździ tu i tam, kogoś się pozna w drodze czy odwiedzi i znajomość gotowa. Wyszukałem Frankowi narzeczoną i pilnuję jej dla niego. Jak Franek wyjdzie, pobiorą się i mogą mieszkać przy jej rodzicach, na wsi. Dla niego to nawet lepiej będzie, bo na wsi o grosz łatwiej. Graniem po weselach czy chrzcinach więcej zarobi. A ja wolę, żeby mi nie kręcił się po Krakowie. Jeszcze by nachodził żonę i odciągał dzieci. Ta narzeczona Frankowa ma skończone dziewięć klas. Chciała iść na posadę do miasta, czemu ja się sprzeciwiłem, bo w mieście pierwszy lepszy mógłby ją zbałamucić. Taka dziewczyna chciałaby się i ładnie ubrać, i pokazać przed koleżankami, a jak w domu nie ma na to, zaczyna szukać faceta, który by dawał na nylony. Dlatego za każdym razem, jak tam jestem, przywożę dziewczynie prezent. Sam

mam i zadowolenie, że niczego jej nie brakuje, i pewność, że nie pójdzie za drugim. Na gwiazdkę dostała setkę na kostium. Kosztowało półtora tysiąca, ale nie żałuję, bo drugiej takiej dziewczyny ze świecą szukać. Grzeczna, nie wymagająca, sama sobie szyje. No i smaczna, prawdziwe jabłuszko. Na tym to ja już się znam. W czasie wojny byłem na Zachodzie, przerzuciłem wiele dziewcząt, ale gdzie im tam do niej...

Przymknął oczy, uśmiechając się do jakiegoś obrazu.

— Franek będzie mi mógł podziękować — oznajmił otwierając powieki — nie kupowałem kota w worku. Jutro tam jadę. Obiecałem jej przywieźć fotografię narzeczonego.

Zamilkł. Przed nimi środkiem szosy jechał motocyklista. Usłyszawszy za sobą sygnał, zjechał na bok. Szofer dodał gazu, wyjechali na klinkier.

Maria zrozumiała, że opowieść jest skończona. Wstrząśnięta do głębi swej sentymentalnej natury, zawołała:

— Pan, żona, dwoje dzieci, tamta narzeczona — przecież to wszystko musi strasznie drogo kosztować?...

— Oczywiście — kierowca uśmiechnął się z zadowoleniem. — Ja zaraz poznałem, że pani jest swoja kobita. Oczywiście. Sporo kosztuje i pensja by nie wystarczyła. Ale ja byłem na Zachodzie. Moja narzeczona z Belgii przysyła mi co miesiąc paczkę na PKO.

Luty, 1956 r.

Świecznik

Tym razem Amelia czuła, że to już naprawdę koniec. Serce, stawy, przełyk odmawiały posłuszeństwa, jakby każdy organ mówił: „Robiłem, co mogłem, teraz ty rób, co uważasz." Amelia uważała zatem, że nie zwlekając należy przygotować się do zejścia z tego świata.

W tekturowym pudle na szafie leżała czarna suknia z żabotem, czarne pończochy i płaskie pantofle. Ponieważ zawsze lubiłą w życiu rzeczy solidne, martwiły ją trochę tekturowe podeszwy pantofli. Wolałaby skórkowe, ale ostatecznie nie odgrywało to już większej roli. W szufladzie stołu leżał spis zawierający ostatnią wolę Amelii. Żelazne łóżko z pościelą — dla dozorczyni. Szafa, stół, krzesła — dla Wydziału Opieki Społecznej. Niechże ucieszy się nimi jakieś małżeństwo studenckie. Doktorowi, który dwa razy ją odwiedził, pudełko herbaty oryginalnej, angielskiej. Naczynia i przyrządy gospodarskie jak: żelazko, młotek, szufla do węgla — weźmie sprzątaczka Janina.

W spisie rzeczy rozmyślnie pominęła świecznik. Była w tym niedopatrzeniu szczypta wyrachowania i chytrości. Po cóż bowiem przyśpieszać sprawę, której koniec był i tak przesądzony z góry? Gdy Amelia zamknie po raz ostatni oczy, znajdą się skwapliwe ręce, które sięgną po świecznik. Ale dopóki stał na szczycie szafy — masywny, wykuty z brązu na kształt pnia o czterech konarach, skupiając o zmroku ostatnie świa-

tełka blasku, dopóty świadczył, że Amelia żyje jeszcze.

Niegdyś błyszczał w gabinecie ojca Amelii, a potem na biurku jej męża. Przez długie lata był świadkiem upojenia, jakie dać może pełne i szczęśliwe życie. Ominęły go grabieże wojen i smutne konieczności czasów biedy. Teraz, u schyłku lat życia Amelii, zdawał się do niej mrugać szelmowsko ze szczytu szafy, jak gdyby mówił: „Jeszcze nic straconego!" Z dawnej świetności otoczenia pozostało to jedno, że jak dawniej, sprzątaczka okurzała go co dzień i raz na miesiąc czyściła kredą.

Janina odwiedzała Amelię z regularnością wieczornego cienia. Amelia słyszała jej kroki na schodach — ciężkie i powolne, potem otwierały się drzwi do przedpokoju i wybuchał blaszany łoskot. To trącone skrzydłem drzwi przewracało się wiadro. Odmykały się drugie drzwi i do pokoju wkraczała Janina. W niebieskim fartuchu, o miękkiej, pełnej figurze, falistych włosach i zadumanym spojrzeniu przejrzystych oczu, ta trzydziestokilkuletnia sprzątaczka była ostatnim łącznikiem Amelii ze światem.

Janina przechodziła przez pokój, stawała na balkonie i wsparta o poręcz przyglądała się dachom, kotu łażącemu po rynnie, czarnym od sadzy gzymsom — albo nie przyglądała się niczemu, tylko stała bez ruchu, jakby śniąc z otwartymi oczyma. Gdy już zmierzchało, powracała do pokoju, siadała na krześle, brała do ręki jeden i ten sam ilustrowany tygodnik, leżący na stole od niepamiętnych czasów, i oparłszy szeroko rozstawione łokcie o stół, a głowę o pięść — zapadała nad nie czytaną gazetą w drętwe zamyślenie. W niepewnym świetle miękko zaznaczał się zarys jej ramion, karku i pełnych piersi. Chwilami wzdychała. W niektóre dni zagotowywała sobie herbatę, którą

przynosiła w papierku, i stojąc nad piecem piła z garnuszka powoli i z namysłem, jak gdyby wysączała ziółka.

Amelia śledziła przebieg wizyty trwożnym okiem spod bandaża, nie ośmielając się przeszkodzić Janinie w czynnościach. Gdy zapalały się miejskie światła na ulicy i blask podwórzowej latarni padał na zakopcone ściany, na zimny piec, omszałe od pajęczyn kąty, na żelazne łóżko z brudną pościelą — Janina wstawała od stołu, mówiła miękkim głosem: „Dziękuję" niby uczennica dobrze wychowana i leniwie opuszczała pokój. Zwykle po niej zjawiała się dozorczyni, ażeby nakarmić chorą kilkoma łyżkami zupy ze stołówki, przesłać łóżko, wynieść basen, przewietrzyć pokój. Była to zwyczajna zapobiegliwość, życzliwa, choć nie pozbawiona pewnej szorstkości (dozorczyni spieszyła się do obowiązków w kamienicy) pomoc, jaką człowiek zdrowy i wyrozumiały na cudze nieszczęście może okazać choremu. Usługi dozorczyni nie naruszały w niczym spokoju Amelii, natomiast ekstrawaganckie wizyty Janiny wprawiały ją w stan napięcia, trwogi lub niepokoju.

I tak pewnego razu Janina wstała nagle od stołu, pozostawiając w garnuszku nie dopitą herbatę, i bez słowa, ze zwieszonymi ramionami, opuściła pokój jak człowiek złamany ciosem, którego nieludzkość dopiero teraz w pełni sobie uświadomił. Albo stojąc pod piecem gryzła w zębach listek bzu, patrząc sennymi oczami w światło latarni. Któregoś wieczoru, klęcząc nad otwartą, pustą szufladą szafy (czego tam szukała?), wybuchnęła rozdzierającym płaczem.

Na strwożone Amelii: „Co się stało?" — Janina otarła twarz i rzuciwszy wzgardliwie: „Komu ma się złe przytrafiać jak nie ludziom?" — odeszła urażona.

Po tym zdarzeniu Amelia z odnowioną goryczą po-

żałowała czasów, gdy w teatrach szły sztuki jej męża, a Janina była prostoduszną służącą, która sprzątała, pastowała podłogi, robiła zakupy i na odchodnym, przystając w drzwiach, pytała nieśmiało: „Czy mogę już odejść, proszę pani?"

Od tamtego czasu minęło sporo lat. Wszystkie sceny, jakby zgodnie się zmówiwszy, uznały sztuki zmarłego męża Amelii za niegodne współczesnej widowni. Odtąd listonosz przynosił już tylko rachunki z gazowni lub z administracji, firanki wisiały nie prane od niepamiętnych czasów, podłoga poczerniała, a prostoduszna dziewczyna i służbista służąca okazała się być osobowością skomplikowaną, tajemniczą i niepokojącą.

Amelia w czasach młodości i wieku dojrzałego była dość lekkomyślną ateuszką, jednakże żyła wystarczająco długo, a pod koniec życia aż nadto biednie, ażeby ukorzyć się i uznać, że los człowieczy jest marnością i niczym. Dlatego też pogodziła się z życzeniem Janiny, którą w ostatnich miesiącach ogarnęła desperacka pobożność, ażeby Amelia u schyłku życia pojednała się z Kościołem.

Kapucyn, przyprowadzony do chorej, spełnił swe zadanie bez uchybienia. Po kilku kolejnych odwiedzinach Amelia czuła się gotowa do ostatecznej podróży niczym przesyłka, na którą przybito stempel urzędowy, gwarantujący przyjście we właściwym czasie i na właściwe miejsce przeznaczenia.

Zainteresowany zbytkownym przedmiotem na szafie, kapucyn dobrotliwie podsunął Amelii myśl ofiarowania świecznika na ołtarz boży.

— Sprawi to ulgę pani duszy jako widomy znak jej powrotu na łono Kościoła — zakończył.

Amelia, z bijącym trwożnie sercem, zerknęła na świecznik. Wyglądał jak zwykle — okazale i pięknie. Teraz zaś zdawał się mieć groźne błyski, jakie widzia-

ła na twarzy swego ojca, gdy w blasku palących się świateł świecznika pisał swoje wolnomyślne dzieła.

— Naturalnie, proszę księdza... — szepnęła. — Zaraz po mojej śmierci.

Kapucyn zapewnił uprzejmie Amelię, że nie ma powodu do pośpiechu. Dobra intencja toruje sobie drogę zawsze sama.

Po wyjściu zakonnika Janina, która stała za drzwiami na balkonie, weszła do pokoju, ukazując Amelii wzburzoną twarz.

— Pani nie wolno tego robić. To nie może być. Ja już obiecałam ten świecznik dla kościoła Świętego Szczepana. Tam modlą się za pani szczęśliwą śmierć i także na moją intencję, com ją księdzu podała. U Szczepana dostanie pani całkowity odpust. To ja już tak załatwiłam i tak musi zostać. Niech pani sama powie, jakby to wyglądało, gdybym ja teraz przyszła i odwołała?

Amelia, przerażona gniewem Janiny, skinęła głową na znak całkowitej uległości. Janina dała się udobruchać. Tymczasem kapucyn, zasobny w dobroć ludzi nieustępliwych, powtarzał odwiedziny. Nie wracając do tematu świecznika, mówił ogólnie na temat ludzi, których ostatnie chwile życia skażone są zbytnim przywiązaniem do rzeczy ziemskich, gdy uwolnienie się od nich daje duszy oczekiwany spokój i pogodę.

Amelia potakiwała strapiona, a Janina, wysłuchawszy nauk kapucyna z twarzą napiętą i czujną, przypominała Amelii, że kościół Świętego Szczepana już drugi miesiąc odprawia mszę świętą za szczęśliwy zgon staruszki. Amelia, uwikłana w tajemny spór obydwóch stron, tracąc z każdym dniem siły, nie znajdywała ich już w sobie na podźwignięcie ducha ku wysiłkom, których nie szczędziły obie strony, ażeby zabezpieczyć Amelii śmierć pogodną i szczęśliwą.

Z nieznanych Amelii powodów kapucyn nagle przestał przychodzić. Chora nie śmiała pytać Janiny o przyczyny, sama zaś Janina udawała, że nic nowego nie zaszło. Przestała mówić o kościele Świętego Szczepana i zaniechała praktyk nabożnych. Pewnego dnia jednym ruchem ręki zmiotła ze stołu poświęcone obrazki, wodę święconą wylała z balkonu na ziemię, kredę wrzuciła do wiadra. Na stole ostała się tylko gromnica. Amelia, wstrząśnięta dziełem zniszczenia, zdołała wykrztusić:

— Co... co się stało?

Janina, zwrócona twarzą w stronę drzwi, na głos Amelii, obróciwszy się ku niej, rzekła głucho:

— Niech pani mi go da...

— Co? co?

— On pani niepotrzebny — dowodziła z przejęciem Janina przysuwając się do łóżka. — Świec i tak się nie pali. Zresztą sama pani wie, że już niedługo umrzeć musi. Narzeczonemu raz wspomniałam o nim i teraz ciągle słyszę: „Przynieś i przynieś". Wszystko przez tę wódkę. Żebym to ja pieniądze miała... o mój Boże! — rozpłakała się krótko. — Ofiarę dałam u Świętego Szczepana i nic nie pomogło. Żebym ja pieniądze miała, toby on się ze mną ożenił i dziecko by miało ojca...

Postępując ku szafie z wyciągniętą ręką i spojrzeniem wlepionym w świecznik, ciągnęła namiętnie:

— ...Niech pani pozwoli zabrać go, żebym chociaż mogła pokazać draniowi, bo mi zabronił przychodzić bez niego. Jak uśnie, odniosę z powrotem...

Świecznik zakołysał się i zsunął w dół. Amelia doznała wrażenia, jakby coś uderzyło ją w serce. Od tego uderzenia zamąciło się jej w głowie, straciła pamięć i ciemność zakryła oczy.

Gdy otworzyła powieki, pokój był czarny i cichy. Amelia staczała się gdzieś łagodnie, osuwała się coraz niżej, tracąc poczucie swego ciała, jakby kołysana

przez wielką falę. Nie wiedziała, gdzie jest ani co się z nią stało. Wokół niej szumiało. Jakieś szpule nawijały się i odwijały, pokój ruszał się, drżał i trzeszczał niczym tkacki warsztat. Naraz nastąpił potężny wstrząs. Rozległ się grom łoskotu. Przeciąg, który wdarł się przez otwarte podmuchem drzwi, załopotał firanką. Głos, który zabrzmiał jak wezwanie trąby na dzień Sądu Ostatecznego, zapytał:

— Czy tu mieszka Amelia Pałużyńska?

Amelia, skurczona na pościeli, zamrugała powiekami. Funkcjonariusz z gazowni miejskiej, położywszy na stole kopertę, powiedział:

— Jest rachunek za gaz. Pani nie zapłaciła za ubiegły okres. Jeszcze dochodzą wyrównania za zwłokę. Pani teraz zapłaci czy potem?

Nachylił się nad łóżkiem i widząc, że staruszka wytrzeszcza oko spod bandaża, dodał:

— Jak pani tak wygodniej, to niech pani wyśle pocztą.

Odgłos kroków umilkł. Amelia miała uczucie, jakby wielka fala niosła ją z powrotem ku porzuconemu brzegowi. Obok łóżka czerniał masyw stołu z nie zapaloną gromnicą. Szafa ciemniała jak odłupana skała. Wiatr szarpał firanką.

Wyciągnęła rękę i namacała na stole kopertę. Obracała ją w zdumieniu w palcach, jak gdyby rzadki minerał spadł na jej łóżko. Ten dotyk dodał bodźca siłom Amelii. Odnalazła zapałki i zapaliła gromnicę. Sięgnąwszy głębiej pod poduszkę, wyciągnęła stamtąd grubą kopertę. Wsparta łokciem o pościel przysunęła się bliżej do gromnicy. W świetle płomyka wyjmowała z koperty, jeden za drugim, stare rachunki i rozkładała na kołdrze. Nie wypuszczając koperty, legła na poduszkach, ażeby nabrać sił. Serce biło bezładnie, szybki oddech poruszał piersi. Gromnica pryskająca przy

wezgłowiu oświetlała policzki, które zabarwił rumieniec, nie przykryte bandażem oko błyszczało w podnieceniu, palce obejmowały kurczowo plik kwitów.

Amelia dźwignęła się i usiadła. Drobną dłonią wyprostowała zgięte rogi kwitów, sprawdzając kolejność dat. Na koniec wszystkie ułożyła w dawnym porządku i wsunęła do koperty, zachowując przy sobie ostatni.

Teraz mogła odpocząć. Jej kwity były w porządku. Nie była winna gazowni miejskiej ani grosza. Chciano ją oszukać przed śmiercią. Doznała uczucia gniewu. Jeszcze nie jest z nią tak źle, ażeby dała się nabrać nieuczciwym smykom.

W tym samym czasie, kiedy na skutek podrażnienia nerwowego cały ustrój wegetatywny Amelii doznał dobroczynnego wstrząsu, posłaniec z gazowni spotkał na ulicy Janinę niosącą świecznik ukryty pod szalem. Poznawszy ją, zatrzymał się i zawołał:

— Leć pani do starej. Prędko pani leć. Coś się jej stało!

Janina zawróciła na miejscu i przyciskając do piersi świecznik, popędziła co tchu. Słowa gońca wzbudziły w niej lęk i drżała zbliżając się do drzwi mieszkania. Na palcach przysunęła się do progu i przyłożyła ucho do deski.

W tejże chwili z głębi mieszkania rozległ się okrzyk:

— Kto tam?! Chodźcież tu! Ha, myśleliście, że jak człowiek umiera, to można go już oszukać. Niech Janina przyniesie mi coś zjeść. I szybciej na dół po kopertę. Już ja im odpiszę.

Amelia, mimo że nadal nie może opuszczać łóżka, po dziś dzień wykazuje zadziwiającą krzepkość. Stan jej zdrowia poprawił się i można wierzyć, że staruszka pożyje jeszcze ładnych kilka lat.

Brązowy świecznik znikł z szafy wymieniony na wózek dziecinny dla dziecka Janiny. Amelia, patrząc na puste miejsce, marszczy się niecierpliwie. Jej zdaniem handlarz okpił ją haniebnie. A w ogóle bywa w dobrym humorze, tylko na wspomnienie posłańca z gazowni posępnieje i wzdycha. Gdyby nie obrzydliwe niechlujstwo tej instytucji, ona by już dawno pozbyła się wszelkich ciężarów.

1957 r.

Przeprowadzka

Jan Krępka, pracownik Zjednoczenia Instalacji Przemysłowych w Opolu, otrzymał z puli przedsiębiorstwa mieszkanie składające się z pokoju, sionki i wnęki z sedesem i umywalnią. Skromny i pogodny młodzieniec, zadowolony z przydziału, przyjął go jako dar losu i pełen najlepszych nadziei udał się do swego naczelnika z prośbą o dzień urlopu dla dokonania przeprowadzki.

Naczelnik pogratulował mu i bez wahania udzielił jednodniowego urlopu. Koledzy ofiarowali swą pomoc przy przeprowadzce. Krępka miał sposobność stwierdzić, że wszyscy dokoła są jak najżyczliwiej usposobieni, cieszą się z jego życiowego sukcesu i z ochotą korzystają z okazji okazania uczuć koleżeńskiej sympatii.

Przy ich pomocy zawinął się tak dzielnie, że około południa wszystko było gotowe. Meble, które w swoim czasie rozlokował po znajomych — zostały zawiezione na nowe mieszkanie. Przyniósł z MHD radio, zakupione kilka dni temu, nabył w Cepelii siedem metrów chodnika, w sklepie meblowym stolik pod radio, jeszcze kilka drobiazgów, które wydały mu się niezbędne do kawalerki, i rozejrzawszy się po niej stwierdził, że, jak na razie, wszystko gra. Do pełnego komfortu brakowało tylko narzuty na nieco już sfatygowany tapczan, ale i bez tego całość prezentowała się wcale ładnie.

Wodząc wzrokiem po mieszkaniu, Krępka uświa-

domił sobie, że wszyscy, z którymi miał do czynienia z okazji przeprowadzki, wyświadczyli mu wiele serdeczności.

„Ludzie lubią pomagać takiemu, któremu dobrze idzie" — pomyślał i jego wzrok padł na płaszcz leżący niedbale na krześle. Schwycił go i wyniósł do przedpokoju. Tu zreflektował się, że jego wieszak, zakupiony dwa dni temu w MHD, został w biurze. Spojrzał na zegarek. Dochodziła trzecia. Jeszcze zdąży przed zamknięciem biura. Wybiegł z domu i wskoczył do autobusu. Po dwudziestu minutach był na miejscu.

Wieszak tkwił w jego pokoju biurowym w kącie za szafą, w miejscu, gdzie go był zostawił. Z wieszakiem pod pachą zamierzał wyjść z pokoju, gdy na biurku odezwał się telefon.

— Czekaj, Janek... Tu jakiś Zenek pyta o ciebie — powiedział kolega odkładając słuchawkę.

— Co powiesz? — zawołał Krępka do telefonu, poznawszy po głosie starego kumpla. — Ja się dziś przeprowadzam. Dostałem kawalerkę. Tej nocy już będę spał na nowym mieszkaniu. Co mówisz?

W słuchawce coś skrzeczało, piszczało, dzwoniło, aż z gmatwaniny dźwięków wypłynęły słowa:

— ...Ja ją tu przytrzymam dla ciebie. Będę ją miał na oku, żeby jej nikt nie poderwał, rozumiesz? Kiedyś pokazywałeś mi, że taką chciałbyś mieć. Czekam róg Śląskiej. Żebyś zaraz był.

Z ucichłą słuchawką w dłoni Krępka stał osaczony wątpliwościami. Ani rusz nie mógł domyślić się, o co Zenkowi chodziło? „Taką chciałbyś mieć" — to obiecywało zbyt wiele. Krępka znał dobrze zamiłowania starego kumpla. Zenek miał tylko dwie namiętności — handel i dziewczęta, a Krępka z nim nie handlował.

Zszedł na dół i oddał wieszak w ręce portiera.

— Pan mi go zatrzyma. Ja tylko skoczę na róg Śląskiej i zaraz wrócę...

— Dobrze, żeś pan przyszedł — powiedział woźny odbierając wieszak. — Miałem już iść po pana. Naczelnik chce z panem mówić.

Gdy Jan Krępka wszedł do pokoju naczelnika, ten wyraźnie ucieszył się z tego.

— Jak tam z mieszkaniem? Urządził się pan już?

— Tak jest, panie naczelniku. Już się urządziłem.

— Aha, to pan rzeczy już przywiózł? — naczelnik był wprost rozradowany — tapczan, pościel — wszystko?

— Ma się rozumieć, panie naczelniku, tapczan, pościel i inne rzeczy też.

Naczelnik wstał z krzesła i zbliżył się do Krępki.

— I jak tam teraz u pana wygląda? Normalnie, jak w mieszkaniu? Pytam o to, bo u kawalerów to różnie bywa.

— Wszystko zależy od usposobienia, panie naczelniku — odrzekł Krępka urażony nieco. — Niektórzy potrafią zrobić chlew z najprzyzwoitszego mieszkania. U mnie każda rzecz jest na swoim miejscu. Jeszcze tylko wieszak mam postawić. Nie będę przecież walił gwoździa w ścianę, żeby haratać mur.

— Oczywiście, oczywiście... — przytaknął naczelnik i bystro spojrzał na młodzieńca. — Słowem — można już tam nocować?

— No chyba...

— Bo ja tu robię mały zamach na pana — naczelnik zasiadł na swoim miejscu za biurkiem. — Niech pan posłucha: Z Centralnego Zarządu przysłali do nas trzech facetów. Sekretarka nie zamówiła w porę miejsc w hotelu. Dwóch panów udało się nam jakoś ulokować, a co do trzeciego jest prośba, ażeby pan wziął go na noc do siebie. Niech pan ratuje sytuację. Będziemy

panu to pamiętać. Strasznie głupia sprawa. Dyrektor zlecił mi, ażebym to załatwił, a oni będą tu już za pół godziny. Cała nasza nadzieja w panu.

Krępka zdołał ukryć głębokie niezadowolenie i skłonił się przed biurkiem.

— Ja zawsze bardzo chętnie, jeśli tylko mogę pomóc, panie naczelniku. To jak pan naczelnik uważa — zostawić od razu klucze od mieszkania?

— A pan?

— Ja chciałbym teraz skoczyć do miasta. Mam jedną pilną sprawę do załatwienia.

— W porządku. Klucze zostawi pan u mojej sekretarki. Zdjął pan nam kamień z serca.

Po wyjściu od naczelnika Krępka udał się na róg Śląskiej. Zenek już czekał.

— To jak? Sam jesteś? — spytał Krępka zdziwiony.

— A jakeś chciał? Szykuj 400 zł. Ona już tam czeka na ciebie. Sam kupiłem takie trzy. Sprzedam na targu i jeszcze zarobię po setce na sztuce. Każda baba ze wsi da za taką narzutę po 500 zł.

Jan Krępka nieco zawiedziony w swoich oczekiwaniach kupił za 400 zł. narzutę na tapczan, pocieszając się, że ostatecznie była mu potrzebna, po czym poszli z Zenkiem do baru. Tu spotkali się z paczką znajomych i razem pociągnęli do Zenka oblać mieszkanie Krępki.

W wyniku oblewania Krępka został na noc u przyjaciela.

Nazajutrz była niedziela. Krępka wstał, umył się, ubrał i nie budząc kolegi, wyniósł się cicho z domu.

Pakunek z narzutą przypomniał mu, że powinien wstąpić na portiernię po wieszak.

Portiera nie zastał. Otworzyła mu żona woźnego, wręczyła wieszak i klucze od mieszkania.

— To jakiś pan przyjezdny zostawił wczoraj wieczo-

rem o jedenastej dla pana — powiedziała. — Mówił, że dostał sleeping i nie będzie u pana nocował.

Krępka doznał lekkiego rozczarowania na myśl, że jego wspaniałomyślność była daremna i że stracił okazję poznania figury z Centralnego Zarządu.

— Ale to dobrze — oznajmił po namyśle. — Wie pani, zawsze lepiej nie liczyć na żadną znajomość. Tak jest lepiej, chociażby się na tym nie zyskiwało. Człowiek powinien liczyć tylko na samego siebie. Ja, widzi pani, dostałem mieszkanie bez żadnej protekcji. Tyle że mi się należało z puli. I nikt nie może mieć do mnie o to pretensji.

Z wieszakiem pod jedną, z narzutą pod drugą pachą ruszył do domu, w którym nareszcie miał zamieszkać.

Jednopiętrowy, czterorodzinny dom stał na skraju budującego się osiedla, otoczony placem porytym rowami i zawalonym materiałami budowlanymi. W chwili gdy Krępka zbliżał się do domu, na placu przed wejściem do kamienicy piętrzyły się meble, toboły, przedmioty kuchenne rozrzucone w nieładzie i pośpiechu.

Krępka domyślił się, że ktoś nowy wprowadza się do domu i z przyjemnością odczuł, że on ma już trud przeprowadzki za sobą.

Gdy podszedł całkiem blisko, sprawa rzeczy przed domem nabrała odmiennego wyglądu. To, co brał za wprowadzenie się, było generalnym opuszczaniem kamienicy przez lokatorów. Ich nagłe wybieganie z bramy i zawracanie miało charakter panicznego popłochu.

„Przymusowa eksmisja — zabierają dom na urząd"— błysnęło mu w myśli i momentalnie zdecydował, że on przesiedlić się nie da.

Zdenerwowany przestąpił bramę domu i natknął się w korytarzu na zgromadzenie wszystkich lokatorów. Stali tutaj razem i uradzali nad czymś głośno, okropnie

wzburzeni. Na widok wchodzącego Krępki zamilkli nagle i utkwili w nim oczy.

Krępkę uderzyła niemile zgęszczona, przykra woń, jakby spalonego włosia. Był na schodach, gdy ktoś głośno za nim zawołał:

— Panie! Przecież to pańskie mieszkanie. Jak tak można na miłość boską?

Krępka, zdziwiony, odwrócił się uprzejmie twarzą do zgromadzonych, ażeby zapytać, czego od niego chcą. Ujrzał ich przed sobą. Krzyczeli wszyscy na raz, jakby ich opętało:

— Czuje pan, jak się smędzi? Ognia nie widać, ino ten swąd. Czuje pan? Śmierdzi jak cholera. Mój wstał rano i pierwszy zauważył ten swąd. „Wstawaj, Helka" — mówi. Na wypadek pożaru wynieśliśmy graty przed dom. Zresztą wszyscy już wynosili... Takie się zrobiło larum, że nie miał kto lecieć po straż. Już by się dało znać, ale akurat nadszedł pan...

Gdy trzęsącymi się rękami Krępka zdołał otworzyć drzwi, ogień tlący się w mieszkaniu buchnął pod wpływem przeciągu i objął pokój.

Przybyła straż pożarna, zlikwidowała szybko pożar. Nikt z sąsiadów Krępki nie ucierpiał, tym bardziej że rzeczy ich leżały już przed domem. Krępce spaliło się wszystko.

Wypadek Krępki wywołał wielkie wzburzenie w zakładzie pracy. Wszyscy byli jednego zdania, że c o ś należy zrobić i że t a k nie można sprawy zostawić. Nikt jednakże nie wypowiedział się jasno w kwestii: c o i j a k?

Komisja ustaliła, że przyczyną pożaru musiał być niedopałek papierosa pozostawiony w tapczanie przez tego, kto wyszedł z mieszkania. Na tym wyjaśnieniu sprawa niejako się zakończyła.

Dyrekcja odmówiła Krępce odnowienia mieszkania,

uważając, że sprawa niedopałka papierosa nie może jej dotyczyć. Bardziej humanitarni napiętnowali to stanowisko, inni zaś ekonomicznie myślący, przyznali rację stanowisku dyrekcji. (W związku z tym ktoś pozwolił sobie na żart, że Krępka powinien był wstawić zaplanowany pożar do budżetu przedsiębiorstwa i wtedy udałoby się uzyskać limit na renowację spalonego mieszkania.)

Ostatecznie, na tle tej sprawy wystąpiło ogólne zniechęcenie do zajmowania się nią. POP, na którą spadł niemiły obowiązek ustosunkowania się do negatywnego stanowiska dyrekcji, zaakceptowała je czterema głosami przy dwóch wstrzymujących się. Jednakże ze względu na interes człowieka pracy, jakim był niechybnie Jan Krępka, POP wypowiedziała się pozytywnie do Rady Zakładowej w sprawie podania Krępki dotyczącego wypożyczenia mu 2 krzeseł i biurka.

Na wiadomość, że poszkodowanemu Janowi Krępce wypożyczono 3 krzesła i biurko z remanentów biurowych — wszyscy odetchnęli z ulgą. Coś nareszcie zostało w tej sprawie zrobione, a ze względu na trudną sytuację ekonomiczną w kraju trudno było więcej wymagać. Tak więc Krępka zamieszkał w spalonym mieszkaniu, gdzie na skutek ognia popękał mur, farba oblazła z futryn, w podłodze były wyżarte czarne dołki. Jedyną nową ozdobą mieszkania, która raziła w tym otoczeniu, był nowy błyszczący wieszak. Resztki mebli i radia w postaci niedopalonych kawałków wyniósł Krępka na podwórze i wysypał do kosza.

Sąsiedzi nie lubią Jana Krępki i mają po temu swoje racje. Trudno się dziwić, że nie czują sympatii do człowieka, który ich zdaniem postąpił co najmniej niedorzecznie pozostawiając nowiutkie mieszkanie na łasce obcego faceta. Nie lubią go, ponieważ ich poczucie sprawiedliwości uraża fakt, że Krępka unika wszelkich

stosunków z sąsiadami, jakby to nie on, a oni postąpili nierozsądnie i nie po ludzku, strzegąc swych rzeczy przed pożarem i wynosząc przed dom.

Koledzy też są zdania, że Krępka zmienił się wybitnie na niekorzyść. Ostatecznie nikt nie zmuszał go do przyjmowania na noc obcego człowieka, a skoro już to zrobił, nie powinien męczeńskim wyglądem przypominać o tym stale swemu otoczeniu. Cóż to za przyjemność siedzieć przy biurku z człowiekiem, którego jedyne ubranie czuć odorem spalenizny?

Co do sprawcy pożaru, nie zdołano ustalić, kto nim był. W tym samym bowiem dniu gościło w dyrekcji trzech panów z Centralnego Zarządu i nie wiadomo nawet było, który z nich korzystał z gościny Krępki. Oczywiście, można dowiedzieć się bez trudu, gdyby ktoś tego chciał. Ale nikt nie chce. Bo i po co?

1957 r.

Posiadacz

Z panem Alfredem spotykaliśmy się codziennie przez cały miesiąc z okazji wspólnych posiłków w Domu Zdrojowym. Ten pięćdziesięcioletni kawaler o nieco ascetycznej twarzy i szczupłej figurze obdarzony był umiejętnością przydawania uroku najpospolitszym rzeczom i najbłahszym zdarzeniom. Sposób, w jaki zbliżał do ust widelec z piątkowym dorszem, czynił z tej ryby wyszukane danie. Gdy przekręcał gałkę radia, zgromadzeni słuchacze ulegali podniecającemu złudzeniu, że za chwilę uczestniczyć będą w wybornej rozrywce umysłowej. W jego towarzystwie mężczyźni nabierali wiary we własny charakter, a kobiety czuły się urodziwe i światu potrzebne. Nie należy tego rozumieć w ten sposób, jakoby pan Alfred prawił mężczyznom komplementa lub głaskał kobiety spojrzeniami czułej adoracji. Zabierał głos raczej wstrzemięźliwie i rzadko, nie narzucał się nikomu, a mimo to każdy rad garnął się do niego, ponieważ była w nim równowaga i pogoda, które tym ludziom ekscytującym się łatwo, męczonym przez ich własne złości, zawiści i plotkarstwo, pożądliwie spragnionym jakiejś odmiany w życiu — wydawały się czymś zdumiewającym i godnym pozazdroszczenia.

Niejedna z pań, dopatrzywszy się uwodzicielskiego uroku w ściągłej twarzy, siwych skroniach i zręcznej sylwetce księgarza usiłowała tkliwością lub brawurą dobrać się do tajników jego serca. Niezależnie od tego,

jak głęboko sięgały ich poszukiwania, na powierzchnię nie wypłynęły żadne inne wiadomości poza tymi, które każdy z nas już wiedział: że pan Alfred miał barwną, zajmującą przeszłość i wiele w swym życiu podróżował...

Pewnego dnia siedzieliśmy na tarasie, rozmawiając głośno na temat, w jaki sposób każdy z nas zużytkowałby przypadłe mu niespodzianie bogactwo. Wypowiedzieli się wszyscy, tylko pan Alfred milczał.

— A pan? niechże pan powie... panie Alfredzie? — posypały się pytania.

— Nie wiem, o jakie bogactwa wam chodzi — odpowiedział spokojny, nieco ironiczny głos. — Bogactwem może być zarówno parcela na Powiślu, jak i bezinteresowna kochanka, dobrze funkcjonujący narząd trawienia czy talent szybkobiegacza. Zależy, na czym komu zależy...

Podniosły się głosy protestu. Najsilniej sprzeciwiały się kobiety, których wyobraźnia z upodobaniem pracuje w jednym kierunku.

— Konkretnie. Co by pan zrobił, gdyby tak kopiąc w ogródku wykopał pan dwa brylanty dużej wartości?

— Połknąłbym je.

Odpowiedź przyjęto wybuchem śmiechu. Ktoś rzucił uwagę, że pan Alfred, jak zwykle, wykręcił się dowcipem. Jednocześnie wygasło zainteresowanie dla przedmiotu dyskusji. Zabrzmiał gong wzywając na kolację i towarzystwo rozeszło się do pokojów. Na tarasie pozostał tylko pan Alfred i piękna pani Monika. Stary kawaler palił w milczeniu papierosa. Pani Monika, wyciągnięta na fotelu, podniosła w górę ramiona i splatając dłonie na karku, rzekła przekornym głosem, który tak nieodparcie działał na narząd męskiego słuchu:

— Czy często się panu zdarza połykać brylanty, panie Alfredzie?

— Jeśli nie co wieczór, to przynajmniej raz na dwa dni, łaskawa pani — odrzekł dość oschle pan Alfred.

— Naprawdę? To musi być szalenie interesujące. Niech pan opowie.

Nie podejmuję się rozstrzygnąć, co skłoniło pana Alfreda do zwierzeń. Czy noc, której banalne, lecz wypróbowane powaby potrafią uwieść najbardziej wyrafinowane estetycznie dusze? Czy męska próżność połechtana zainteresowaniem, a może tylko kaprysem pięknej rozwódki? Bóg to raczy wiedzieć. Dość, że pan Alfred zaczął opowiadać...

— ...W 43 roku zostałem wywieziony z Warszawy i zamknięty w obozie w południowych Niemczech. Zapytany przez władze o zawód, powiedziałem: „ogrodnik". To mnie uratowało. Przydzielony do grupy więźniów mających pod swoją pieczą ogród komendanta obozu, zająłem się gorliwie hodowlą kwiatów. Jeszcze nie urodził się kret, który by rył w ziemi z większym zapamiętaniem aniżeli czyniłem to ja. Każda grudka ziemi na klombach została roztarta w moich rękach i przesiana kilkanaście razy. Widząc moje starania, mianowano mnie przełożonym nad resztą moich pomocników. To stanowisko, nie gwarantując mi życia, dawało pewne przywileje, jak długo mogłem utrzymać się na nogach i wypełniać swoje obowiązki. Dostawałem papierosy od żony komendanta, a kiedy zapadłem na zapalenie płuc, sam komendant polecił mi dać chininę. Akurat wtedy przyszło kilkadziesiąt krzaków róży Marèchal i trzeba było wszystkie posadzić. Wetknąwszy ostatni krzak w ziemię, zemdlałem. Krzaki się przyjęły. Dostałem pochwałę i paczkę papierosów. Było to dla mnie wystarczające szczęście.

Pewnego dnia, pamiętam, było to po ulewnym desz-

czu, grzebiąc około sadzonek, natrafiłem na twardą grudkę w klombie. Gdy roztarłem ją w palcach, na dłoni pozostały mi dwa spore brylanty.

Nikt tego nie zauważył. Moi pomocnicy zajęci byli spulchnianiem ziemi. Chcąc zachować brylanty, należało ukryć je błyskawicznie. Nie miałem sekundy czasu do stracenia. Jedyny schowek, którym rozporządzałem, to było moje ciało. Połknąłem oba kamienie. Potem otarłem spoconą twarz i teraz już mogłem zastanawiać się, co dalej robić z fantem, który leżał w moim żołądku.

Sam fakt znalezienia drogich kamieni na terenie obozu nie był niczym osobliwym. Razem z ludzkim życiem wdeptano tam mnóstwo bogactw w ziemię. Brylanty mógł zagrzebać w klombie przypadek, którego nie siliłem się odgadnąć. Może ktoś, kto pokładał w nich ostatnią nadzieję, odrzucił je precz w geście rozpaczy czy w paroksyzmie śmiechu, ujrzawszy, że wszystko jest nadaremne. Teraz z kolei ja stałem się ich posiadaczem. Czy z pożytkiem — to się zaraz okaże.

Łatwiej przecież było znaleźć brylanty w tym upiornym śmietniku żywych i zmarłych, nieludzkiej nędzy i ściekających wraz z transportami bogactw — aniżeli przechować skarb w obozowych warunkach. Na dłuższą metę stawało się to wręcz niemożliwe. Ja jednak postanowiłem dokonać tego. Zdawałem sobie sprawę z wartości kamieni, a fakt, że właśnie mnie przypadło znalezienie skarbu, napawał mnie nadzieją, iż będzie mi dane przeżyć i wyjść z obozu na wolność. Myślałem o moich rodzicach i cieszyłem się, że po powrocie nie będę im ciężarem. Wartość posiadanych przeze mnie brylantów pozwoliłaby osłodzić ostatnie lata życia staruszków...

Tu pan Alfred zakaszlał się nieco i po chwilowej przerwie rozpoczął od nowa:

— Nie będę się nad tym długo rozwodził. Zważywszy, że mieliśmy wspólne prycze i wspólne latryny i że w obozie żywy czy nieboszczyk nie miał prawa cieszyć się samotnością, kosztowało mnie ogromny wysiłek nerwów i całą dostępną mi przebiegłość, ażeby w pewnych okolicznościach fizjologicznych być samemu. Trwało to trzy lata. W ciągu tych trzech lat mój przewód trawienny zasłużył na największe pochwały. Nie zrobił mi zawodu, służąc wiernie i bez protestów za rodzaj safesu dla moich kamieni.

W roku 45, uwolniony z obozu, zabezpieczony w dwa brylanty na nową drogę życia — powróciłem do domu, którego już nie zastałem, i do rodziców, którzy już nie istnieli. Otrząsnąwszy się z pierwszego przygnębienia i urządziwszy się na początek jako tako, zacząłem się rozglądać za korzystnym spieniężeniem kamieni. Z konieczności musiałem nawiązać znajomości z tzw. czarną giełdą i szukać handlarzy określonego typu. Zanim jednakże zdążyłem sprzedać brylanty, znalazłem się w więzieniu oskarżony o handel obcą walutą. Za pociechę wystarczał mi fakt, że miałem czyste sumienie, a oba brylanty ze sobą. Doświadczenie wyniesione z obozu pomogło mi ukryć je przed czujnością strażników więziennych. Było nas w celi czterech. Moi współtowarzysze, ludzie znacznie bardziej ode mnie wyrobieni, nie mieli nic przeciwko temu, ażebym za papierosy lub chleb kupował ich pobłażliwość. Nie narzucali mi się zbytnio ze swoją ciekawością, tak że w sumie sześciomiesięczny pobyt w więzieniu był dla mnie odpoczynkiem i wspominam go nawet z życzliwością.

Po sześciu miesiącach znalazłem się znów na wolności. Zniechęcony do interesów nie myślałem już o spieniężeniu brylantów, tym bardziej że pomoc przyjaciół i niezła posada powstrzymywały mnie od tego rodzaju pokus. Obrzydziwszy sobie świat giełdy i spekulantów,

wystrzegałem się pilnie wszelkich podejrzanych kontaktów handlowych, unikałem ludzi, o których można było mniemać, że maczają ręce w nieczystych aferach, i wdzięczny państwu, że dało mi szansę nowego życia, garnąłem się do uciech towarzyskich, łaknąłem pociechy rozrywek kulturalnych, pilnie uczęszczałem do kin, na koncert i do teatrów, w najgorszym razie kontentując się dansingiem. W tym stanie ducha z radością przyjąłem propozycję mego dawnego kolegi z gimnazjum, z którym łączyły mnie więzy z konspiracji, ażeby przyjść na czwartego do brydża. Poszedłem. Karta szła mi nadzwyczaj dobrze. Partia nie została skończona. Umówiliśmy się na następny dzień.

Pech chciał, że jeden z grających był poszukiwany przez władze Bezpieczeństwa. Za co? Nie pomnę. Następnego dnia zostałem wezwany jako świadek na milicję. Idąc na przesłuchanie, siłą nabytego przyzwyczajenia połknąłem oba brylanty.

Partii brydża nie udało mi się skończyć. Jej licytacja rozegrała się dla mnie w miejscu, gdzie czas wolny od pewnych nieodzownych zajęć mogłem poświęcić rozmyślaniom nad zgubnymi skutkami gier towarzyskich. Moje zachowanie było zadowalające. Przewód pokarmowy, dostosowany już od dawna do roli nosiciela dwóch kamyków, nie sprawiał mi zawodu. Przyznać muszę, że mój stosunek emocjonalny do nich uległ całkowitemu przeobrażeniu. Łykałem je z przyzwyczajenia, jak inni łykają z lenistwa pigułki, w których skuteczność od dawna przestali wierzyć. Jeśli z pojęciem brylantów kojarzy się blask dostatków, rozkoszy życiowych i łechcąca próżność spełnienia zachcianek, to u mnie kojarzyły się z nimi kłopotliwe i nużące czynności i nic ponadto. Nie ja byłem ich posiadaczem, ale one posiadały mnie, posługiwszy się mną jak narzędziem zmuszonym systematycznie do łykania i wydalania dwóch kamyków. Sta-

nowiłem rodzaj puzderka z ludzkiej skóry, sakiewki, w której pasożytowały bezpiecznie i wygodnie, pewne, że mój worek mięsny ochroni je od złej przygody.

Żywiąc złudzenie, że może komuś innemu przyniosą szczęście, powziąłem decyzję pozbycia się ich.

Pewnego wieczoru wsunąłem oba brylanty w szparę pod oknem i z uczuciem ulgi zasnąłem na pryczy. Następnego dnia, włożywszy rękę do kieszeni, znalazłem je z powrotem. Można było mniemać, że same przypełzły do mnie jak złowrogie tarantule.

Gdy szliśmy do pracy, mój towarzysz, z którym spaliśmy obok siebie, chudy, czarny, sympatyczny Grzegorz, rzekł półgłosem, nie patrząc na mnie:

— Nie rób tego więcej. To niedobrze. Ja tego nie wezmę. Źle pokazywać ludziom, że się ma takie rzeczy.

Tego dnia w lesie Grzegorza przywaliło drzewo. Płakałem z żalu nad zmarłym i ze wściekłości.

W kilka dni potem przyszła wiadomość o moim zwolnieniu. Gdy znalazłem się w rodzinnym mieście i uzyskałem pokoik przy rodzinie, pierwszą moją myślą było uwolnić się od przeklętych kamyków. Nie czyniłem żadnych starań, ażeby je spieniężyć — o nie! Wszelkie zabiegi, które musiałbym podjąć w związku z tym, świadomość, że znowu brylanty grają tu decydującą rolę, była mi wstrętna. Po prostu wrzuciłem je do szuflady w stole, nie troszcząc się o to, czy mi je kto ukradnie. Po cichu liczyłem trochę na to.

Niedługo potem położyłem się do łóżka, bliski śmierci, powalony boleściami żołądka. Sprowadzono lekarza. Zabrany zostałem na obserwację do szpitala. Podejrzewano raka. Badania wykazały, że wewnętrznie jestem zdrów jak ryba. Lekarz, którego pieczy mnie poruczono, widząc, że bóle nie ustępują (mimo pomyślnej opinii konsylium), wyraził przypuszczenie, że jest to skutek ukrytego schorzenia żołądka.

To oświadczenie, w połączeniu z okropnymi cierpieniami, które wzmagały się z każdą chwilą, odebrało mi resztkę sił do panowania nad sobą. Uniosłem się na poduszkach i krzyknąłem z wściekłością w twarz lekarza:

— Pan to mówi mnie, który mogłem łykać i trawić brylanty jak inni trawią cukierki?

Upewniwszy się, że powiedziałem to serio, lekarz zapytał:

— Przez ile lat łykał pan te swoje brylanty?

Policzyłem:

— Dwa lata, potem sześć miesięcy, potem osiem miesięcy. Razem trzy lata i dwa miesiące, panie doktorze.

— Czy ma je pan nadal do swojej dyspozycji?

— Mam.

— Więc niech pan je łyka.

Posłuchałem. Po kilku dniach byłem wyleczony. Ból ustąpił. Mogłem normalnie żyć, pracować, kochać się. Byłem tym wstrząśnięty. Wartość brylantów objawiła mi się w całkiem nowej i nieoczekiwanej postaci. Już ich nie lekceważyłem ani nie mogłem nienawidzić. Przyniosły mi zdrowie. Lekarz radził mi zastąpić brylanty dwoma kamyczkami, a potem przejść na łykanie fasoli. Nie miało przecież sensu łykać do końca życia brylanty, skoro można było zastąpić je czymś innym, a w skutkach podobnym.

W tym czasie poznałem pewną uroczą panienkę, tak tkliwą i bezinteresowną, jak tylko potrafi nią być kobieta szukająca dozgonnego towarzysza życia. Oświadczyłem się i zostałem przyjęty. Był to rozkoszny okres mego życia. Ulegając słodkim prośbom narzeczonej, opowiedziałem jej swoją przeszłość nie ukrywając niczego. Moja narzeczona okazała wiele zrozumienia. Prosiła tylko, ażebym pozwolił jej obejrzeć brylanty. Ujrzawszy je wyznała, że ze względu na rolę, jaką odegrały w mo-

im życiu, pragnęłaby zatrzymać je przy sobie. „Będzie to tak, jakbym miała cząstkę samego ciebie, drogi Alfredzie" — mówiła słodko.

Czyż można w bardziej subtelny sposób wyrazić swoje uczucia, niż uczyniła to ona? Nie byłem w stanie odmówić prośbie tak chwytającej za serce. Otrzymawszy brylanty podziękowała mi najtkliwszym pocałunkiem i promiennym spojrzeniem, do którego tylko szczerze zakochana kobieta jest zdolna. Pamiętając radę lekarza, zacząłem połykać w miejsce brylantów polerowane kamyczki, ziarna fasoli, korale. Niestety, żołądek rozpoznał natychmiast fałszerstwo i zareagował. Dawne bóle powróciły ze zdwojoną siłą. Narzeczona, widząc, że zbladłem, zaniechałem spacerów, że siedzę osowiały, zaczęła mi wyrzucać oziębłość. Rozbrojony jej łzami, nie chcąc dłużej ranić oddanego mi serca, odsłoniłem powód mych niedomagań. Jeśli miałem żyć i być zdrów — brylanty musiały powrócić do mego żołądka. Usłyszawszy to, słodka istota wpadła w okropny gniew. Nazwała mnie egoistą, wyrachowanym skąpcem, zimnym lubieżnikiem łykającym dla rozpusty drogie kamienie. Rozstaliśmy się. Ona, nie przebaczając zawodu, który jej sprawiłem — ja, ze złamanym sercem i z brylantami w kieszeni.

Wróciłem do dawnego trybu życia i po pewnym czasie byłem najzdrowszym człowiekiem. Wiedziałem już, że moim przeznaczeniem jest nie rozstawać się nigdy z dwoma drogimi kamykami, które los w osobliwym zamiarze położył na mojej drodze. Są ciężarkami równowagi na szalach mego życia i tylko tak widzę je teraz, rezygnując z wszelkich innych pokus, które mógłbym osiągnąć za ich cenę. Przyznaję, że przez cały czas, odkąd są w mym posiadaniu, używałem ich egoistycznie, z wyłączną myślą o sobie, ale może ludzkość mnie zrehabilituje, gdy po mojej śmierci i sekcji

zwłok, oba brylanty zostaną przekazane — zgodnie z moim ostatnim życzeniem — na cele humanitarne dla dobra ludzi.

Pan Alfred zamilkł. Z fotela, gdzie siedziała piękna pani Monika, podniosło się westchnienie:

— Czy chce pan przez to powiedzieć, że... że ma pan je nadal przy sobie?

— Tak jest, łaskawa pani.

— Jestem taka oszołomiona tym, co usłyszałam... Czy mógłby pan je pokazać?

— W tej chwili — niestety nie. Połknąłem je o dziewiątej po śniadaniu. Ale jutro rano, a w każdym razie przed obiadem, jeśli to panią interesuje, będę mógł służyć.

— Och... — szepnął wzruszony głos — jak to ślicznie z pana strony. Pan jest niezwykłym człowiekiem, panie Alfredzie...

Na taras wtargnęło hałaśliwe towarzystwo. Rozmawiający umilkli.

Po moim wyjeździe z Domu Zdrojowego doszła mnie wiadomość, że pan Alfred poważnie zaniemógł na żołądek. Pani Monika pielęgnuje go z tym poświęceniem, do jakiego tylko piękne kobiety są zdolne. Pan Alfred mimo ogromnych cierpień nie traci otuchy. Zapewne wierzy, że jak zwykle w jego życiu — i tym razem wszystko pomyślnie się ułoży.

1957 r.

Połamany widelec

historia zmyślona

Zdarzenie, które mam zamiar opowiedzieć, jest tak ubogie w treść duchową, iż gdyby nie pewność, że wszyscy wraz ze mną potępicie ograniczoność i głupkowatość tego przypadku, nigdy nie ośmieliłabym się ściągać waszej uwagi ku sprawie tak miernej i pospolitej.

Nazywał się Alojzy Motyl. Była to osobowość biedniacka, ciemna i nieświadoma zarówno roli, jaką klasycy marksizmu wyznaczyli jej w swych kapitalnych dziełach, jak i epokowości momentu historycznego, w którym wypadło jej żyć. Pracował w PGR Zamęcin, lecz, niestety, do pola jego widzenia nie dotarły błogosławione zmiany wynikłe z faktu, iż rolnictwo stanęło w centrum zainteresowania partii i rządu. System wyciągania wody wiadrem ze studni w Zamęcinie pozostał bowiem taki sam w okresie odnowy, jakim był w epoce upadku rolnictwa. Tak samo teraz, jak i przedtem, pewna ilość owsa ulatniała się, zanim dotarła do żłobów, administracja piła, a dziewczyny były ładne i pociągające, dopóki nie zaczynały dokuczać dzieckiem, które miało się urodzić.

Gdyby Alojzy Motyl pozostał na swoim stanowisku parobka przy koniach, zapewne doczekałby w Zamęcinie rozkwitu reform rolnych. Być może, odszedł z niego przedwcześnie, pociągnięty nie tyle urodą życia

w osobie panny Franciszki Proszek, ile zamianą stanowiska parobka na — kierownika sklepu żelaznego w gminie Zamęcin.

Co do osoby panny Franciszki Proszek, nie będzie od rzeczy wspomnieć, że miała lat czterdzieści i obfitość ciała. Dzięki długoletniej praktyce na posadach w PZGS-ach, kontrolerki w mleczarni, maszynistki w GRN zdobyła ten stopień pogardy i lekceważenia potrzeb klienta, który u nas jest nieodłączny i konieczny dla utrzymania się w randze niższego urzędnika. Panna Proszek doszła nadto drogą awansu służbowego do odkrycia prawdy: nic tak dobrze nie świadczy o charakterze człowieka, jak pewna ilość drogiego towaru, który można pokazać na sobie.

To mniemanie łączyło Franciszkę Proszek zarówno z rodziną Morganów i Rockfellerów, jak i z dyrektorami Centralnych Zarządów w demokracji leżącej nad Wisłą. Pracując w rachubie w PGR Zamęcin, Franciszka posiadła niejaki wpływ na starszego buchaltera, którego opuściła żona i który zwracał się ku pannie Proszek chcąc przezwyciężyć tęsknotę za niewierną. Ponieważ jednak buchalter pił coraz więcej, a Franciszka już w tym okresie nosiła bieliznę marki „Riosana" z ostatniej partii importu z NRD, więc nic dziwnego, że zapragnęła znaleźć kogoś, kto by te wartości należycie ocenił.

Wybór padł na Alojzego Motyla. Oceniwszy właściwie jego zalety, gdy jako młodsza siła biurowa stała w oknie, zaś Alojzy w spodenkach kąpielowych oblewał się wodą przy studni — poczuła gotowość do okazania mu tkliwszych uczuć.

Zapewne wszystko byłoby dobrze i nastroje tych dwojga osiągnęłyby szczęśliwą harmonię, gdyby na skutek radykalnych pociągnięć decentralizacji u góry — panna Proszek nie odeszła z administracji w PGR.

Dzięki przemożnemu wpływowi bielizny marki „Riosana" zdołała przed odejściem przekonać starszego buchaltera o konieczności odprawienia Alojzego od koni i zwolnienia go z pracy. Z kolei Franciszka została kasjerką w zarządzie Spółdzielni i znowu zalety firmy „Riosana" przemówiły tak silnie do kierownika, że dał się namówić na powierzenie Alojzemu Motylowi funkcji kierowniczej w żelaznym sklepie w gminie Zamęcin.

Funkcja ta czekała na fachowca od czasu, gdy ostatnia kontrola z Wojewódzkiego Wydziału Handlu wykazała niezbicie, że kierownik sklepu jest pół- (a nawet, jak niechętni twierdzili — całym) analfabetą i kwalifikacji kierowniczych poniekąd nie posiada. Alojzy Motyl umiał się podpisać, miał też trochę wiadomości z czterech działań arytmetycznych, tak że powierzenie mu stanowiska kierowniczego w sklepie było w stosunku do przeszłości niewątpliwą oznaką postępu gospodarczego, który wychodząc za rogatki Warszawy dosięgnął i Zamęcina.

Sam Alojzy, jako 26-letni zrównoważony kawaler, przyjął ze spokojem zarówno fakt nominacji, jak i łóżko, które panna Proszek odstąpiła mu w kuchni swego mieszkania na prawach współlokatorskich. Pieszczoty Franciszki też nie zdołały wytrącić go z równowagi, ponieważ do pieszczot był przyzwyczajony dzięki trwającej u nas od dziesięciu lat akcji wykopków, na które przyjeżdża do PGR-ów rzesza niewiast różnego wieku, tak że każdy podchodzący ze zrozumieniem do kwestii kobiecej trafiał na coś odpowiedniego dla siebie wedle gustu i serca. Co innego natomiast zdumiało Alojzego. Mianowicie fakt, że większość czasu ma spędzać w sklepie.

Pierwszego dnia pełen najlepszych chęci obsłużenia klienta stanął za ladą. Czekał dwie, trzy godziny. Przez

ten czas miał możność stwierdzić, że sklep jest ciemną, brudną dziurą, śmierdzącą żelazem, naftą i jeszcze czymś, czego nie potrafił określić. Gdy minęły trzy godziny i klient się nie pokazał, Alojzy zamknął sklep i poszedł do Gospody Ludowej na piwo. Tu zastała go Franciszka, zgarbionego nad kuflem.

— A ty czego tu? — zagadnęła ostro.

— A czego nie mam być? — postawił się, ponieważ już sobie podpił.

— Zabieraj się stąd, inaczej stary wyleje cię ze sklepu. Masz siedzieć i nie wolno ci wyjść aż o siódmej.

Alojzy oznajmił przyjaciółce, że woli powrócić do koni niż sterczeć jak głupi w śmierdzącym sklepie, o który pies z kulawą nogą nie zapyta. Kłócąc się tak, wyszli z gospody i trzeba było dopiero pewnych zdecydowanych ze strony Franciszki zagrożeń, ażeby Alojzy ustąpił i wrócił do sklepu. Uczynił tak, ponieważ niełatwo zrezygnować z bezpośredniego towarzystwa kobiety, która w Zamęcinie wciąż uchodziła za szykowną i którą bielizna marki „Riosana" czyniła jeszcze bardziej ponętną.

Nie można powiedzieć, ażeby Alojzy jako odpowiedzialny kierownik sklepu żelaznego nie starał się. Kiedy przywieziono do sklepu dwie beczki płynu do spryskiwania drzewek owocowych, przyjął obie, choć mógł tego nie czynić zważywszy fakt, że w Zamęcinie drzewek takich nie było, ponieważ stare sady wycięto w ramach zalesiania, a na ich miejsce zaprowadzono szkółki drzewek iglastych.

Można by rzec, że dla Ministerstwa Przemysłu Lekkiego, Ministerstwa Handlu Wewnętrznego i podległych im central zbytu oraz ogniw dystrybucji sklep żelazny w Zamęcinie był szczególnie ważnym ośrodkiem eksperymentu. Świadcząc o pogardzie dla utartych asortymentów i narodowym zamiłowaniu Pola-

ków do hazardu handlowego, przychodziły do Zamęcina dziesiątki kilogramów skamieniałej farby, lakieru, który można było ciąć siekierą, gdyby te posiadały ostrza po temu, przychodziły blaszane naczynia z dowcipnie ukrytym felerem, łopaty rozlatujące się w zetknięciu z ziemią, konewki o sitkach nie przepuszczających wody, dziesiątki lamp naftowych pozbawionych cylindrów, latarki z uszkodzoną baterią, spękane muszle klozetowe i połamane ruszty. Nad wszystkim zaś przeważała mnogość środków owadobójczych o trwałej woni, której niesposób było uniknąć. Sądząc z ilości, w jakich ten towar nadchodził, demokracji ludowej groziło w najbliższym czasie pożarcie przez robactwo i Zamęcin awansował na ośrodek koncentrycznego przeciwuderzenia w skali krajowej.

Alojzy Motyl dobrodusznie przyjmował każdy towar, przekonany w skrytości ducha o słusznej mądrości tego, kto decydował o wysyłce. Przyjmował więc i podpisywał kwity odbioru.

Tak mijały miesiące. W magazynie urosła góra przedmiotów, o które nikt nigdy nie pytał. Alojzy, sterczący za ladą, wychudł i przybladł. W tym czasie Franciszka, która na drodze postępującej decentralizacji została sekretarką przewodniczącego GRN w Zamęcinie, zniechęciła się pod pewnym względem do swego sublokatora.

— Dlaczego ty tak wciąż śmierdzisz? — dziwiła się nerwowo.

— To od tych środków, które mają truć owady — tłumaczył się ponuro. — Śmierdzi faktycznie, ale ja już przywykłem.

Na uporczywą woń nie pomagała nawet woda kwiatowa „Ewa", którą na rozkaz Franciszki obficie skrapiał swoje ubranie.

— Nic nie skutkuje — rozpaczała. — Zaśmierdzisz

mi cały dom. Wynoś przynajmniej swoje ubranie na noc.

Alojzy zaczął wynosić swoje ubranie na strych. Z kolei Franciszka odebrała mu pościel. Stanąwszy nad gołym siennikiem, Alojzy mógłby zmierzyć głębię swego upadku i poniżenia, gdyby nie fakt, że tak sypiać był z dawna przyzwyczajony. Bardziej przykro natomiast odczuł odmowę panny Proszek, gdy ta, tłumacząc się okropnym zapachem wnoszonym przez sublokatora, zabroniła mu wejścia do jej pokoju. Chcąc stłumić woń, będącą powodem tak przykrego pomiędzy nimi rozdźwięku, Alojzy zaczął pić. Im dłużej pił, tym zapach stawał się bardziej nieuchwytny. Wystarczyło jednakże przestać pić, ażeby zapach w całej swej okropności powracał. Broniąc się przed nawrotami cuchnącego zapachu trzeźwości, Alojzy zaczął zabierać butelkę do sklepu. Przechodnie, zamiast jak dawniej omijać sklep, zatrzymywali się i zaglądali do środka zwabieni dochodzącym z wnętrza monologiem. Alojzy, wymachując rękoma, zwierzał ścianom i sufitowi swoje uwagi, w których pewną rolę odgrywała bielizna marki „Riosana".

Wyrównując sobie moralne straty, które w ten i w inny sposób poniosła na skutek szerzących się plotek, Franciszka Proszek zaczęła zapożyczać się z kasy sklepu. Alojzy nie protestował, zachwycony, że ona znowu go odwiedza, a ponadto rozumował, że należy się jej ta odrobina pocieszenia. I znowu wszystko by się jak najlepiej ułożyło pomiędzy tymi dwojgiem, gdyby nie kontrola skarbowa, która zawitawszy pewnego dnia do sklepu żelaznego oznajmiła Alojzemu stan manka: 40 tysięcy.

Alojzy tylko potrząsnął ze smutkiem głową. Po pierwsze nigdy podobnej sumy w ręku nie miał. Po drugie — skąd taki deficyt w sklepie, gdzie w szufladzie

rzadko kiedy leżało 100 złotych? Nie zaprzeczał, że czasem pewną drobną sumkę pożyczał sobie na piwo. Ale o 40 tysiącach mowy nie ma... Prawdą również jest, że podpisywał kwity i odsyłał nie sprawdzając, czy to, co na nich napisane, zgadza się ze stanem i ilością towaru. Ale po cóż miał kontrolować, skoro ci, co wysyłali, musieli wiedzieć, w jakim celu to robią?

W tym oświadczeniu była duża doza wielkodusznego zaufania i lojalności w stosunku do wyższych handlowych władz, jednakże trzej kontrolerzy byli tylko kontrolerami. Stwierdzili więc manko i obciążyli nim Alojzego Motyla.

Pech chciał, że na scenę nieporozumienia przyszła Franciszka Proszek. Była kusząca, kiedy tak stanęła w różowej bluzce, wsparta o beczkę płynu do spryskiwania drzewek. Trzej mężczyźni, przeglądający księgi, źli byli i znudzeni. Miejscowość wydała im się nad wyraz podła, piwo, które posmakowali w bufecie, najlichszego gatunku, a kierownik sklepu wyzuty z ludzkich uczuć. Trzeba zaiste być bez rozumu i bez serca, ażeby, widząc zdrożonych ludzi, szczególnie urzędników skarbowych, nie postawić bodaj butelki dla odświeżenia gardła.

Alojzy nieświadom złego wrażenia, jakie wywierał, nie ogolony, w brudnym ubraniu, z pożółkłą cerą (w ostatnich czasach gorliwie starał się stłumić owadobójczy zapach) sterczał za ladą niecierpliwie czekając, aż natręty zostawią go w spokoju. Jeden z przybyłych, wysłuchawszy zapewnień Alojzego o jego niewinności, rzekł chłodno:

— No tak, panie Motyl. Albo odda pan tę sumę, albo pójdzie pan siedzieć. Z dniem dzisiejszym zostanie pan zwolniony ze stanowiska kierownika sklepu.

Alojzy usłyszał to, na co właśnie czekał. Że może sobie pójść. Gotów był nawet zaraz to uczynić. Bał się,

że tamci mogą się rozmyślić i każą mu zostać. Odnośnie zaś kryminału, nie brał pogróżki na serio. Kontrolerzy mogli go tylko tak straszyć, robiąc z niego balona. A w ogóle miał już na całe życie dosyć sklepu. Minęło południe i czas był pójść na obiad.

Sięgnąwszy po czapkę, ruszył do drzwi, gdzie wsparta biodrem o beczkę stała Franciszka.

— Pan dokąd? — spytał kontroler.

— Tam, gdzie mi się podoba — odrzekł, widząc za szybą łagodne zielone pola i czując bliskość różowej bluzki, perfumowanej na wypukłościach.

— Nigdzie pan teraz nie pójdzie.

— A właśnie że pójdę.

— Zobaczymy.

Łaskotliwy śmiech Franciszki był zapewne przyczyną, że mężczyźni strasznie się zacietrzewili. Alojzy, chcąc wyjść, chwycił za klamkę. Tamci zaś schwycili go za marynarkę. Franciszka wciąż się śmiała. Nie wiadomo, kto kogo pierwszy uderzył. Podobno Alojzy zamachnął się i chybił. Tamci zaś nie chybili. Na to Alojzy porwał się do bitki. Atakowani nie pozostali mu dłużni. Krzyk Franciszki ściągnął przechodniów. Ktoś zawezwał pogotowie. Koniec końców karetka zabrała pobitego Alojzego do szpitala.

Nazajutrz Alojzy wyszedł ze szpitala cały i zdrów. Śledztwa nie było, gdyż świadkowie zeznali, że napadnięci kontrolerzy działali we własnej obronie.

Alojzy dwa dni przebałaganił u kolegi, którego przypadkiem spotkał był na ulicy, a na trzeci dzień powrócił do Zamęcina.

Mieszkanie Franciszki zastał zamknięte. Jej samej nie było w biurze. Urzędujące tam dwie smarkule spojrzały na Alojzego kryjąc śmiech. Nie pozostało mu nic innego, jak pójść do sklepu.

Sklep zastał otwarty. Na ścianie na wprost drzwi

wisiał ołtarzyk, którego tu dawniej nie było. Za ladą siedział łysawy grubas i czytał gazetę. Poza tym nic się nie zmieniło. Alojzy wsunął palec za kołnierz i suwał nim po szyi zakłopotany.

Czytający złożył gazetę, spojrzał na Alojzego:

— Wy czego chcecie?

— Nic takiego — wytłumaczył dobrodusznie Alojzy. — Przyszedłem tylko tak popatrzeć. Bo ja tu byłem przed wami.

Nowy kierownik skinął głową na znak, że mu o tym wiadomo, a Alojzy uśmiechając się z zażenowaniem ciągnął dalej:

— Zabrali mnie do szpitala, ale rychło wyszedłem, bo mi powiedzieli, że mam iść. Zdrów jestem.

— Mieliście manko, będziecie siedzieć.

Alojzy potrząsnął głową w łagodnym uporze:

— Za nic nie będę siedział. Dość się nasiedziałem w sklepie. Prędzej ucieknę.

— Złapią was.

— Może nie złapią. Mało to ludzi kradnie i nie siedzą? A ja nie kradłem. Tyle co sobie wziąłem, należało mi się za fatygę. Wolałbym najgorszą robotę w polu niż siedzieć w takim świństwie.

Chciał jeszcze dodać, że pójdzie stąd jak najprędzej do Franciszki odebrać swoje ubranie, ale kierownik zabrał głos:

— Wam się poszczęściło, 40 tysięcy piechotą nie chodzi. Aż dziwię się, jakeście to sprokurowali, kiedy tu sam szmelc. Ja robiłem w dewocjonaliach, zeszłe lata można było nieźle zarobić. Ale teraz uwzięli się, żeby nas zgubić. Każdy, kto chce, dostaje zezwolenie. Konkurencja nas zeżre. Takie świństwo nam zrobili.

— A mnie wypuścili po dniu ze szpitala — wyznał Alojzy idąc za biegiem swoich własnych myśli. — Też

świństwo. Powiedzieli, że mi nic nie jest, i kazali iść. Co by im szkodziło, żebym sobie poleżał kilka dni?

— Trzeba było postarać się o gorączkę — zauważył nowy. — Z gorączką by was potrzymali. I nawet byłaby podstawa do wystąpienia o odszkodowanie od tych, którzy was pobili.

— Nie miałem gorączki — pożałował Alojzy.

— To trzeba tak zrobić, żeby przyszła gorączka, wtedy zabiorą was z powrotem do szpitala.

— I jeszcze tamci będą musieli dać odszkodowanie, które mi się należy — ucieszył się Alojzy.

Tymczasem kierownik, przechyliwszy się przez ladę, stłumionym głosem spytał:

— Może wam zostało coś z towaru? Ja zaraz odkupię. Zapłacę gotówką i zostanie między nami.

— Pokost i smoła by szły, ile by nie było — rzekł Alojzy z westchnieniem. — Ale nic z tego, bo towaru nie ma.

Kierownik usiadł na swoim miejscu jakby urażony i biorąc do ręki gazetę, rzekł chłodno:

— Panna Franciszka kazała, żebyście zabrali swoje ubranie.

— Też tam właśnie idę — oświadczył Alojzy ucieszony okazją do przedłużenia rozmowy.

— Nie potrzebujecie iść. Sam zniosłem to gówno ze strychu. Leży tam za beczką — składając gazetę zakończył z przyganą. — Zapuściliście pluskwy w łóżku. Musieliśmy z panną Franciszką lać to śmierdzidło z beczki i pluskwy rozniosły smród po mieszkaniu. Lepiej żebyście nie pokazywali się Franciszce na oczy.

Alojzy odszedł ze sklepu zadumany głęboko. Na zdradę ze strony Franciszki był przygotowany. Że jednak jej powodem będą pluskwy, to go rozczarowało. Ruszył do gospody, gdzie coś niecoś przekąsił. Na noc wprosił się do kolegi. Dali mu spać na strychu. Było

ciemno, ale wygodnie i ciepło. Rozścielił sobie na słomie stare worki. Przez otwór w dachu wpadał świeży powiew łagodnej nocy. Było mu przytulnie i nieomal tak dobrze, jak u matki pod pierzyną, kiedy był jeszcze bardzo mały. Jutro nie pójdzie do sklepu. Jeśli dobrze pomyśli, znajdzie sposób, ażeby zabrali go z gorączką z powrotem do szpitala. Jak będzie gorączka, wtedy sąd uzna, że przyszło pogorszenie i tamci trzej, którzy by radzi go wsadzić do paki, jeszcze będą musieli bulić odszkodowanie.

Alojzy rozochocony jął przypominać sobie, co by najbardziej pragnął mieć. I tak w prostokątnym otworze w dachu ujrzał cyferblat zegarka błyszczący jak patelnia. Zamigotał i znikł, a na jego miejscu ukazał się dwurzędowy garnitur na wieszaku. Alojzy jeszcze nie zdążył przyjrzeć mu się dokładnie, gdy w okienku usiadła Franciszka mrugając sztywnymi rzęsami. Jak gwiazdy głowę świętą, tak ją otaczał wieniec zapalonych lamp kuchennych. Byłby się jej zapytał, czego od niego chce, ale w ciasny otwór wepchnęła się czerwona WFM-ka i nie chciała już stamtąd zejść.

Alojzy westchnął, przewrócił się na bok. Potrzebna mu była gorączka, taka duża gorączka, ażeby lekarze chodzili koło niego i siostra wtykała mu termometr i żeby przystawali nad jego łóżkiem i pytali go: „Jak pan się czuje, lepiej panu?".

Kryjąc twarz w słomę zaśmiał się cicho. Miał już ten sposób na gorączkę. Miał go przy sobie, w kieszeni. Kolega, który kiedyś siedział w więzieniu, powiedział mu: „Z początku będzie trochę bolało — ale to nic".

Alojzy pomyślał z uciechą, jakiego to figla spłata i doktorom, którzy się tak szybko pozbyli go ze szpitala, i Franciszce za to, że go wykiwała, i tym trzem, którzy teraz będą musieli płacić odszkodowanie...

Jak to się stało, że Alojzy Motyl, kilka dni temu wypuszczony zdrów ze szpitala, powrócił do niego z tak wielką gorączką — nad tym głowił się internista i chirurg w powiatowym szpitalu. Brali w rękę kartę chorobową, na której złowieszczym garbem widniała czerwona krecha, i dotykając pulsu nieprzytomnego, wzruszali ramionami.

Padł rozkaz: prześwietlić od góry do dołu.

Nieprzytomnego zaniesiono do kabiny. Kilka par oczu pochyliło się pożądliwie nad zdjęciami. Jeszcze wilgotne, jakby zadymione i oślizłe klisze prezentowały nieskomplikowany porządek Alojzowego wnętrza: czaszka, krtań, przełyk, płuca, żołądek, kręgosłup, miednica, jelita — cały Alojzy Motyl.

— Tu — wskazujący palec chirurga przykleił się do ciemnej plamy wrzecionowatego kształtu, widocznej na kliszy.

Po kilku godzinach żmudnej operacji chirurg ujął w dwa palce i podniósłszy w górę pokazał asyście wyjęty z jelita kawałek blaszanego widelca. Tenże sam trzonek widelca spowodował, że w kilka dni po operacji kościelny w kościele parafialnym wpisał do księgi ofiar 50 zł. za duszę Alojzego Motyla. Ofiarę wpłaciła Franciszka Proszek, roniąc łzy nad nieszczęsnym, który pozbawił się życia, obierając trzonek od widelca za narzędzie wyrafinowanej zemsty na niewiernej kochance.

Biedny Alojzy Motylu — do ciebie kieruję me westchnienie na zakończenie tej historii, której ograniczoność i pospolitość została pokazana. Odejście twoje z szeregów człowieczych odbyło się w sposób mało dumny i, zaiste, niezbyt zaszczytny. Ale któż z nas, żyjących, poważy się zuchwale twierdzić, że gdy na niego wypadnie kolejka w ogonku śmiertelnych, śmierć jego nastąpi z powodów bardziej wzniosłych

niż ów kawałek nieszczęsnego widelca? Bądźmy więc skromni. A jeśli umysłów wnikliwych krytyków nie zadowoli ta konkluzja, przyjmijmy za prawdę, że symbolem zejścia Alojzego Motyla z doczesnego świata było błędnie migocące światło gwiazd, gdy patrzał w niebo przez prostokątny otwór na strychu.

1956 r.

Spekulant

Pierwszą rzeczą, która na ulicy rzucała się w oczy Leonowi Paździorkowi, był wielki afisz obramowany czarno niczym klepsydra i wypełniony gęstym, tłustym drukiem.

DO WSZYSTKICH UCZCIWYCH, DO WSZYSTKICH, CO JESZCZE NIE OTĘPIELI NA KRZYWDĘ LUDZKĄ...

Upłynęło kilka dobrych minut, zanim całe ogłoszenie przeczytał do końca, a potem jeszcze kilkakrotnie, ze szczerą satysfakcją, powracał do pewnych zwrotów.

Afisz z apelem młodzieży ZMS zwiastował rozpoczęcie społecznej kampanii przeciwko spekulacji, marnotrawstwu, nadużyciom i wszelkiej nielegalnej działalności handlowej. Postulował tworzenie Ochotniczych Komitetów Obywatelskich, czuwających nad porządkiem i uczciwością w tej dziedzinie.

Paździorek doznał głębokiego wzruszenia. On sam jako pracownik wydziału geodezyjnego MRN z pensją 762 zł. przynosił swoją postawą zaszczyt samozaparciu niższej klasy urzędniczej, jednakże nikt w rodzinie nie doceniał moralnego aspektu tej sprawy, a Paździorkowa mawiała często do męża: „Widzisz, bałwanie, sam, że zarabiasz tyle, co kot napłakał".

Mimo tak znacznych przeciwieństw losu Paździorek zachował skłonność do marzycielstwa. Skłonności tej dał dowód, postanawiając kupić sobie motor. Tak więc

Leon Październiorek był pierwszym geodetą, jaki pojawił się w MRN, obierając sobie za gwiazdę przewodnią słowa: „Iść za marzeniem, iść za marzeniem i tak usque ad finem".

Dzięki tej bezprzykładnej wytrwałości Październiorek był dwa razy o krok od kupna motoru i dwa razy obiekt jego marzenia wymknął mu się na skutek zbawiennych i uzdrawiających — według zapewnień ekonomistów — posunięć Ministerstwa Finansów. W dalszym procesie rozwojowym wypadków pomiędzy Październiorkiem a Ministerstwem Finansów wytworzył się stosunek podobny do tego, jaki może łączyć zmotoryzowany sztab armii z żołnierzem doganiającym swoją kompanię pieszo. Sztab rozwijał dalekosiężne operacje, a Październiorek poznawał ich skuteczność jedynie po bólu odcisków na nogach.

Jednakże dalekosiężne operacje dały prawidłowy i zamierzony skutek, tak że Leon Październiorek po kilku latach zaciekłego oszczędzania odkupił od kolegi używaną SHL-kę. Po roku jazda SHL-ką zbrzydła mu doszczętnie, jako że to grat uciążliwy i przy swoich czterech koniach mechanicznych całkowicie nieprzydatny dla szerokoskrzydłowych marzeń Październiorka. Albowiem w duszy geodety, siedzącego za biurkiem, zabezpieczona przed wglądem żony łkała tęsknota za szeroką szosą, za wolną przestrzenią pól, za długim sznurem lamp, których światła padają na suchy, pachnący smołą asfalt. Za odpoczynkiem nad rowem, pełnym suchych liści i czerwonych witek ostrężyn. Za noclegiem w nieznanej stodole, owianej wieczornym dymem. Za wszystkimi rankami i nocami, które nie będą miały nic wspólnego z trzeszczącym tapczanem ekstraklasy I gatunek, wypchanym słomą, rozgrzanym ciepłem Walerii. Które nie będą podlegać mechanizmowi budzika i zawijania w papier chleba ze smalcem.

Śmierć ciotki, po której zostało trochę gratów, w połączeniu ze zwyżką cen mebli dobroczynnie odmieniły ten stan rzeczy. Paździorek sprzedał SHL-kę oraz ciotczyne graty i za uzyskane pieniądze odkupił używaną WFM-kę od kolegi, który dostał talon na Jawę. Paździorek jeździł już miesiąc na WFM-ce, a ponieważ nigdy w życiu nie posiadał uroczej, tkliwej, oddanej kochanki, jako że Waleria stała się od razu żoną, którą tak szczelnie wypełniały cnoty i wymagania, iż nie pozostawało już tam miejsca na powab i wdzięk — przeto mogło mu się zdawać, że mając WFM-kę pomiędzy kolanami, posiada najlepsze, co może posiąść mężczyzna.

Teraz, gdy stał przed afiszem, mówiącym prawdę o ludziach, którzy bez zmagań z przeciwnościami losu, bez wysiłku, niejako obróciwszy się z boku na bok zagarniali fortuny, odżyły w Paździorku wszystkie wyrzeczenia, wszystkie ciche niedole i małe poniżenia, jakie ponieść musi niski rangą urzędnik dla zdobycia czegoś, co jest ponad stan tej klasy. „Paździorek zadziera nosa, bo kupił sobie motor" — mówili koledzy. „Kupił motor, ażeby móc zadzierać nosa" — dodawali perfidniejsi.

Oczywiście, żadnemu z nich nie przyszło do głowy, że Paździorek ulokował w WFM-ce swoje pragnienia, które niegdyś przepełniały małego, piegowatego chłopca, gdy dosiadał długiego kija. Owego chłopczyka strąciła brutalnie z patyka wojna. Wojna już się skończyła, ale wtedy nie było ani czarodziejskiego kijka, ani piegowatego chłopca. Jego miejsce zajął tak samo piegowaty, blady i chudy młodzieniec z technikum geodezyjnego. Ten nie jeździł już na patyku. Chodził dużo i zawsze się spieszył. Młodzieniec nie miał nawet czasu zastanawiać się, kiedy to nastąpiło, że został mężem, a potem dwukrotnie tatą i ostatecznie pracownikiem

MRN-u. Jednakże chłopczyk strącony niegdyś z patyka dopominał się o swoje prawa, niejako ciągnął geodetę za poły marynarki. Październiorek dosiadając WFM-ki wszedł z tamtym chłopczykiem w ścisły kontakt, o czym, oczywiście, nie wiedziała Waleria. Nikt w ogóle nie wiedział o tym i to było dodatkowym urokiem jazdy na motorze.

Czytając apel ZMS-u Październiorek czuł wzbierający w nim gniew na tych wszystkich, dla których posiadanie takiej WFM-ki było drobiazgiem nie wartym zachodu. Czuł się rozgoryczony i rozczarowany. Jego motor wydał mu się czymś mniej godnym pożądania. Dopiero w drodze powrotnej do domu przyszło na niego uspokojenie.

„Nareszcie ktoś weźmie się za tych łajdaków — rozmyślał. — Wille, samochody — wszystko za spekulację. Ruszyło się któregokolwiek — zaraz lekarz świadectwo wystawiał. I już — broń Boże, nie wolno tknąć! Chory albo niepoczytalny. Im więcej ludzi uczciwych i energicznych znajdzie się w Komitetach Obywatelskich, tym prędzej zrobi się porządek. Ja sam wystąpię w biurze o założenie u nas czegoś takiego..."

Tu Październiorek ujrzał siebie w roli gromiciela spekulantów i aferzystów, o których mówił afisz. A potem myśl jego przerzuciła się na najbliższe sąsiedztwo w kamienicy i aż zdumiał się ujrzawszy odstręczający obraz ludzi, których dotychczas uważał za porządnych.

Żona tego Pęczki z parteru kupiła sobie białe czeskie pantofle. Czy kupiła legalnie? Waleria stała w ogonku po pantofle i na niczym się skończyło. Walasińscy z pierwszego piętra przeprowadzają się na nowe mieszkanie. Podobno przyjeżdża do nich córka repatriantka z dwojgiem dzieci. Ale kto dzisiaj dostaje większe mieszkanie? Ten, kto posmaruje. Fistak z oficyny co

roku bierze urlop zdrowotny. On, Październiorek, od czterech lat kaszle i jakoś nie wysyłają go nigdzie, tylko każą przestać palić. Ale Fistek musiał wetknąć coś w kieszonkę lekarzowi. Jurkowski umieścił syna na politechnice, bo Jurkowski ma kolegów w Miastoprojekcie. Szwagrowska chodzi z czwartym dzieckiem w ciąży. Kto dzisiaj może robić tyle dzieci? Ten chyba, kto...

Październiorek osłupiał, ujrzawszy się otoczony w kamienicy przez złodziei, defraudantów, łapówkarzy i nicponi. Skądinąd ludzie ci wyglądali na życzliwych, skromnych i spokojnych. Utrzymywali jedni z drugimi przyjazne stosunki i pomagali w drobnych kłopotach. „Wszystko obłuda, dwulicowość i zanik moralności" — zadecydował w duchu, widząc teraz jak na dłoni swoją łatwowierną wielkoduszność, ślepą na przywary bliźnich.

„Powinienem zerwać z nimi stosunki" — pomyślał wchodząc do kamienicy i udając, że nie słyszy, jak Jurkowski mówi mu grzecznie: „Dzień dobry".

Przy obiedzie, sztucznym spokojem pokrywając wewnętrzne napięcie, powiedział do żony:

— Zdaje mi się, że wstąpię do Ochotniczego Komitetu Obywatelskiego. Proszą mnie o to.

— Co tam będziesz robić? — spytała podejrzliwie.

Ponieważ było do przewidzenia, że żona z zasady sprzeciwi się temu, na co on miałby ochotę, rzekł sucho z obawy przed dyskusją.

— W końcu ktoś musi się zająć wyrzucaniem ze społeczeństwa śmieci. Przypuszczam, że zechcą mnie zrobić przewodniczącym. To jest poważna akcja, która dać może miliony a nawet miliardy.

Usłyszawszy o pieniądzach, żona okazała się wyrozumialsza. W dowód pojednania ulała z serca trochę

alów, których tam zawsze było pełno, i nie bez pewnej słuszności z jej strony.

— Ja tam nie mam głowy ani czasu zajmować się komitetami. Józek znowu dostał anginy w przedszkolu, Zosia ma trzeci migdał. Lekarz mówił, że teraz wyjąć nie można. Ty masz czas gonić po komitetach, a ja nawet gazety nie mogę przeczytać...

Tak się rozrzewniła i uniosła, że nie było innej rady, jak nałożyć czapkę i wyjść z domu.

Na klatce schodowej nie odkłonił się Fistkowi. Koło Szwagrowskich ciągnących wózek na czwarte piętro przeszedł jak gdyby nigdy nic. Na uprzejme Jurkowskiej: „Co pan dzisiaj nie w humorze?" — skrzywił się tylko. „Wszystko to jest banda i czas najwyższy, ażebym zerwał z nimi" — pomyślał w duchu.

W ciągu następnych dni nie mówiono w biurze Paździorka o niczym innym, jak o wykrywaniu spekulantów. W toczonych polemikach padały żądania surowych sankcji, atmosfera nasycona była bezkompromisowością i żarliwym oddaniem sprawie. Duszą tych rozmów był sam Paździorek, który nieustannym ich podsycaniem doprowadził do rewolucyjnego — w pewnym sensie — napięcia. Stanąwszy na czele Ochotniczego Komitetu Obywatelskiego, zapowiedział wydanie nieubłaganej walki wszelkim nadużyciom, bez względu na więzy koleżeństwa, które mogłyby akcję hamować. Dzieło naprawy rozpoczął od własnego wydziału, tu jednakże doznał pierwszej porażki. Pracownicy zarabiali po 762 zł, nosili obstrzępione spodnie, a dwaj koledzy, którym zwrócił uwagę, żeby rozliczyli się z pobranych kopert listowych — obrazili się, oświadczając publicznie, że złożą do naczelnika skargę o zniesławienie.

Paździorek jednakże się nie załamał. Nie tracąc nic z bojowości, wypracował już własne koncepcje co do

tego, jak należy zwalczać spekulację. Nosił się nawet z zamiarem przesłania merytorycznych uwag odnośnej komisji w rządzie. Idąc dalej za swym nowym marzeniem, widział się już wezwanym do Warszawy, do biura Prezydium Rady Państwa, gdzie jeden z ważniejszych członków, przyjąwszy Października, wręcz mu powie:

„Przeczytaliśmy wasz list z wielką uwagą. Na takich jak wy liczy społeczeństwo, klasa robotnicza. Chciałbym, żebyście utrzymywali z nami bliższy kontakt".

I bardzo się zdziwi, usłyszawszy, że Październik jest tylko geodetą w MRN.

Uporczywość marzenia bywa rzeczą niebezpieczną dla natur mało odpornych. Człowiek, owładnięty nim, zdaje się na łaskę nieobliczalnych sił, które sam niebacznie wyzwał. Październik widział się już w marzeniach za kierownicą przydzielonej mu służbowo „Warszawy". A tymczasem efekty działalności Października, o której głośno już było w całym biurze — nie dały długo na siebie czekać. Władze zwierzchnie włączyły się do akcji i Październik został wezwany do rady miejscowej.

Ucieszony, że jego akcja budzenia sumień poruszyła instancje kierownicze, stawił się na zebranie, gdzie poproszono go, żeby usiadł.

Październik, pobladły od wzruszenia, miał przygotowane godne i skromne słowa, którymi odpowie na pochwały, i tym milej mu się zrobiło, gdy ujrzał, że wszyscy obecni patrzą na niego skupionym wzrokiem.

— Jak zapewne słyszeliście, obywatelu — rozpoczął przewodniczący z zakłopotaniem — mamy teraz akcję przeciwko spekulacji, handlowi nielegalnemu i tak dalej...

— Wiem... — powiedział Październik z powagą.

— Dlatego zawezwaliśmy was, ażeby zapytać, skąd wzięliście pieniądze na kupno WFM-ki?

— Odkupiłem od kolegi — rzekł Paździorek blednąc.

— Od kogo? Dokładnie. Nazwisko?

— Od... od Frącaka.

Przewodniczący zerknął na papierek leżący przed nim:

— Zgadza się. Ale skąd mieliście pieniądze na zakup?

Paździorek zaczerpnął tchu.

— Sprzedałem starą SHL-kę, sprzedałem stary zegarek, kilka gratów... ale przepraszam, ja nie rozumiem, właściwie dlaczego...

— Spokojnie. Wszystko wyjaśnimy. Ile daliście Frącakowi za jego WFM-kę?

— Sie... siedem tysięcy.

— Nieprawda.

Paździorek spocił się i zaczął drżeć. Siedzący wokół koledzy też milczeli. W ich surowych spojrzeniach była ta wzniosła sprawiedliwość, której nie ugną względy łatwego koleżeństwa. Przewodniczący odchrząknął.

— Frącak kupił Jawę za 24 tysiące. Zapytany, skąd miał pieniądze, wyznał, że daliście mu za jego WFM-kę dziesięć tysięcy.

— Dałem mu dziesięć tysięcy — wyszeptał Paździorek zduszonym głosem.

Zebrani odprężyli się. Poszedł pomiędzy nimi szmer. Nachylali się jeden ku drugiemu. Przewodniczący podniósł głos:

— Proszę o spokój. Za ile, Paździorek, sprzedaliście swoją SHL-kę?

— Za... za sześć tysięcy — wykrztusił chrapliwie.

Przewodniczący spojrzał ze smutkiem na sufit.

— Ale kupiliście ją znacznie taniej. Niełądnie, Paź-

dziorek. Tego się klasa robotnicza po was nie spodziewała. Spekulujecie. Wiadomo wam przecież, że wyszła ustawa zabraniająca odsprzedawania z zyskiem towarów państwowych. Bardzo nieładnie, Październik. Państwo się stara, rząd robi wysiłki, wkraczamy na drogę poprawy, a wy cynicznie sobie handlujecie, podbijacie ceny, wykorzystujecie brak towarów na rynku. Mieliśmy w tym miesiącu przyznać wam premię, ale nie kwalifikujecie się moralnie.

— I w dodatku jesteście dwulicowi — rzekł sekretarz patrząc przez okno na latające wróble. — W oczy niby jesteście z nami, zdawałoby się, nasz człowiek, a poza oczy, kiedy my mobilizujemy wszystko, co zdrowe i patriotyczne, żeby realizować wskazania VIII Plenum — wy swoją postawą hamujecie i wiążecie się z elementami kapitalistycznymi, które chciałyby powrotu starego.

Jako trzeci miał zabrać głos personalny, ale zanim otworzył usta, Październik zemdlał.

Ocucony, powrócił do domu bez siły. Rzucił się na łóżko i jęcząc zażądał herbaty z dwoma proszkami od bólu głowy.

— No, mów, co tam z twoim Ochotniczym Komitetem? — spytała Waleria, która jak każda żona była przeciwna temu, ażeby mąż się angażował, a jednocześnie dumna z tego, że jej chłop ma głowę do rzeczy, do których nie mają jej inni.

— Daj mi spokój! — jęknął Październik.

Tknięty jakąś myślą, zerwał się z łóżka, gorączkowo odszukał w szufladzie arkusz papieru, ołówek i poleciał z tym do sąsiadów. Wrócił późno wieczorem, blady, wymęczony, pochudły, ale spokojniejszy. Na nalegania żony oświadczył z otuchą:

— Wszyscy są ze mną. Nie dam się zniszczyć.

Następnego dnia zgłosił się do przewodniczącego

rady zakładowej. Uroczyście pokazał pismo. Na liście szereg osób stwierdziło własnoręcznym podpisem, że Leon Paździorek jest obywatelem lojalnym i uczciwym, szczerze przekonanym do budownictwa socjalizmu, brał aktywny udział w pracach Frontu Narodowego i w kampanii wyborczej za głosowaniem bez skreśleń. Nigdy nie zajmował się spekulacją, a motor jest mu potrzebny dla celów rodzinnych. Posiada żonę i dwoje dzieci. Żona dorabia pracą w przedszkolu.

Przewodniczący przeczytał i westchnął:

— Dobrze już, dobrze. Tym razem nie będziemy wyciągać z tego konsekwencji. Pamiętajcie na przyszłość, że dla spekulantów nie ma u nas miejsca ani pobłażania. — Rzuciwszy okiem na podpisy dodał: — A to czyje nazwiska?

— To wszystkich moich sąsiadów z kamienicy, najuczciwszych ludzi — oświadczył Paździorek rozrzewniony, czując, że jeszcze nigdy tak nie kochał bliźnich, jak kochał w tej chwili Fistka, Szwagrowską, Jurkowskiego, Pęczkę, Walasińskich — wszystkich tych dobrych ludzi, swoich sąsiadów.

Sierpień, 1957 r.

Lola

Marian Chaber wracał z biura do domu w doskonałym humorze. Od chwili kiedy zakupił na talon motor „Jawa", każdy z upływających dni zamieniał mu się w rozkoszną przygodę. Pogoda była piękna, wieczory długie i ciepłe, wymarzone do jazdy. W tych okolicznościach nietrudno było o nawiązanie znajomości.

Lądowało się na jakiejś łączce w cieniu, pod lasem albo nad rzeką, w pobliżu szosy. Opodal — los już tak chciał — opalała się zazwyczaj jakaś miła dziewuszka i od słowa do słowa dochodziło do prezentacji, potem do bliższej znajomości, przy czym z ust dziewczyny padały zwykłe słowa: „Mógłby mnie pan przewieźć? Ja uwielbiam motor... A pan jest bardzo sympatyczny. Nie wiem sama, dlaczego czuję do pana zaufanie..."

Zresztą nie miał sobie wiele do wyrzucenia. Sprawiało mu przyjemność, gdy z tyłu siedziała na siodełku zgrabna młoda dziewczynka, obejmowała go mocno pod pachy i trochę się przyciskała do niego. Jego żona straciła tę dziewczęcą wiotkość i sprężystość dawno, zanim kupił motor. Pakowała się na siodło niezgrabnie jak gęś, tłusta i ciężka. W czasie jazdy kręciła się tak, że podwójnie musiał zważać na równowagę, dmuchała mu na kark, zeskakiwała z siedzenia jak z drabiniastego wozu.

Woził więc Rozalię tylko wówczas, gdy chytrze przewidywał, że po drodze może ich złapać deszcz. Widząc nadciągającą chmurę zatrzymywał motor i mówił: „Będzie ulewa, chcesz, żebyśmy wracali do domu, czy jechać dalej?" Zazwyczaj wracali. Wożenie żony uważał za taki sam ciężki obowiązek rodzinny, jak wynoszenie na strych kosza z bielizną czy trzepanie chodników w sobotę. Jeśli chodziło o znajomość z dziewczętami, przezornie nie dawał się wciągać w dłuższe komplikacje. Najwyżej dwa razy przejażdżka i koniec. Szukał z kolei nowej. I tak miał to, o co mu chodziło.

Koledzy z biura (był urzędnikiem w Elektrowni Miejskiej), którym wpadły w oko przejażdżki Mariana, śmieli się mówiąc z zazdrością: „Widziałeś? Marian ma już nową dziewczynkę?" — „Ten się uwija, niedługo mu zabraknie terenu". Albo wprost do niego: „Wiesz, tamta, z którą byłeś zeszłej niedzieli w Ojcowie, ładniejsza. Ja bym jej nie zamieniał. Gdzieś ty taką znalazł?" — I mrugając okiem dodawali: „A żona co na to?" — „Kto by to przypuszczał, że z Mariana taki spryciarz..." — „Ten umie się urządzić..."

Otóż właśnie o to szło. Dopóki nie miał „Jawy", nikomu na myśl nie przyszło, że z Mariana spryciarz i morowy chłop... Po kupnie „Jawy" miał wprawdzie tę samą przysadzistą postać, pękaty korpus, wielką głowę z odstającymi uszami i krzywe nogi, jednakże posiadanie motocykla nadało tym cechom znamię osobistego waloru. Gdy z rozbiegu wskakiwał na motor, panienka nie zwracając uwagi na dychawiczny oddech towarzysza mówiła z podziwem: „Ach, jaki pan silny. Jak pan zgrabnie motor prowadzi."

Za cenę większej wycieczki do Zakopanego lub Wisły panienki były gotowe do ustępstw bardzo znacznych. Jednakże myśl o Rozalii sprawiała, że był ostrożny

i nie posuwał się za daleko. Teraz zaś zaszło pewne wydarzenie, które przyćmiło mu zdrowy rozsądek.

Nazywała się Karolina, Karola, kazała wołać na siebie Lola. Imię niezbyt mu się podobało, ale za to osoba aż za bardzo... Prościuteńka, zgrabna, wąska w pasie, idąc szeleściła amerykańską spódnicą w czarne koty i żółte liście. Włosy ciemne, lśniące, podczesane w koński ogon, a oczy jasnoniebieskie. Było się w czym zakochać. Poznali się przypadkiem w Myślenicach. Lał wtedy deszcz, on był ubrany lekko i przemókł do koszuli. Zatrzymał motor koło kiosku, nakupił gazet i włożył sobie pod bluzę, żeby uchronić się od wilgoci. Dziewczyna stała pod daszkiem, skubiąc czarną ażurową rękawiczkę. Deszcz wreszcie przestał padać, ludzie zaczęli się rozchodzić. Dziewczyna wciąż stała. Marian, żeby nie być natrętnym, grzecznie zagadnął:

— Zdaje się, że deszcz przechodzi.

Spojrzała na niego i nic nie rzekła.

Jeszcze raz spróbował:

— Pani do Krakowa?

Potrząsnęła głową, co mogło znaczyć i tak, i nie. Ponieważ jednak strasznie mu się w tej chwili podobała, zaproponował:

— Mogę panią podwieźć. Niech pani siada.

Obeszło się bez zwykłego w takich razach certowania w rodzaju: „Ależ ja pana nie znam, co pan sobie o mnie pomyśli?..." — Bez fałszywych zapewnień: „Do pana od razu poczułam zaufanie. Pan jest szczery, to po oczach poznać". Spokojnie zajęła miejsce na siodle, poprawiając spódnicę dokoła kolan.

Gdy wpadli w centrum miasta, powiedziała spokojnie:

— Niech pan stanie, chcę zejść.

Na jego prośby i błagania zgodziła się łaskawie zobaczyć z nim w przyszłą niedzielę.

W niedzielę zabrał ją do Pieskowej Skały. Po powrocie był całkiem odurzony. Dziewczyna mało mówiła, była prawie obojętna, dała się dwa razy pocałować, ale za trzecim razem odepchnęła go tak, że mało się nie przewrócił. Nie mógł przestać o niej myśleć.

Za trzecim razem pojechali do Tęczynka. Miała czarną chusteczkę na głowie, liliową spódnicę w sowie oczy i umalowała usta. W Tęczynku prawie upadł przed nią na kolana, wyznał, że ma żonę, ale już jej nie kocha, dzieci nie mają, zarabia około tysiąca, ale od czasu do czasu handluje czymś, co mu kuzyn przyśle z Zachodu. Teraz ten kuzyn otwiera interes z kaflami w Zgorzelcu i zaprasza go do spółki. Będzie im lecieć z tego dziennie po tysiąc złotych. Wystarczą dwa słowa, żeby zostawił żonie list. Już sobie nawet umyślił, jaki.

Nie odpowiedziała ani tak, ani nie. Pytała się tylko, czy on zna Zgorzelec i jego okolice i czy był tam kiedy? Czy... tam są ładne dziewczęta? To zdawało się ją najwięcej interesować, więcej niż jego oświadczyny. Dziwna była taka. Ale koniec końców dała się pocałować. To sprawiło, że po powrocie do domu napisał list pożegnalny do żony i schował do kieszeni, odkładając wręczenie do sposobniejszej chwili.

Wczoraj widział się znowu z Lolą. Pojechali na kopiec Kościuszki. Tu siedli na ławeczce i Marian wyznał Loli, że żyć bez niej nie może. Siedziała z opuszczoną głową, zdając się nie bardzo słyszeć, co on mówi. Gdy skończył, spojrzała na niego i powiedziała: — Pojadę z tobą — tak jakby chodziło o wycieczkę do Brzeska. Umówili się, że wstąpi po nią jutro na uli-

cę Koletek, gdzie mieszkała z koleżanką w sublokatorskiej ciupie, i ostatecznie rozmówią się w sprawie wyjazdu.

Teraz było popołudnie. Wracał z biura, jutro zaczynał mu się urlop. W perspektywie miał randkę ze swoją słodką dziewczyną, a przed tym czekała go zasadnicza rozmowa z żoną. Właśnie ta myśl przerażała go nieco. W końcu zdecydował, że żadnej rozmowy nie będzie. Jutro rano, korzystając z urlopu, wyśle Rozalię do rodziców, a sam po jej wyjeździe spakuje swoje ubrania, trochę bielizny, nada wszystko na bagaż, zabierze Lolę na motor i pojadą do Zgorzelca.

Tak to sobie w głowie ułożył i zaraz zrobiło mu się lżej. Żeby przychylnie usposobić żonę, wstąpił do sklepu, kupił kilo melona, który bardzo lubiła, cztery parówki na kolację i pogwizdując wszedł do domu. Przestąpiwszy próg, odczuł we wzroku żony coś niedobrego. Na jego wesołe: — Jak się masz?... — spojrzała wściekle, wsadziła rękę w kieszeń fartucha, wetknęła mu w garść kawałek papieru: — Masz — wrzasnęła — czytaj...

Gdy się zawahał, spojrzawszy na papier, tupnęła nogą: — No czytaj, czytaj, jakżeś to sam pisał...

— Żegnaj, żono — zaczął czytać zmieszany. — Była pomiędzy nami miłość, ale już jej nie ma. Nie myśl o mnie źle, tak jak i ja o Tobie nie myślę. Dzieci nie mamy, możesz iść do matki. Każden jeden człowiek ma prawo żyć, jak mu się podoba. Od tego jest wolność...

Wyrwała mu kartkę z ręki i zalała potokiem słów:

— Co to ma znaczyć? Znalazłam w kieszeni w marynarce granatowej. Coś ty sobie myślał? No, czemu nic nie mówisz? Od kiedyś to taki literat, że listy sam pisujesz do siebie, co?

— No widzisz, Róziu — rzekł śmiejąc się nienaturalnie. — Ja to przeczytałem w „Przyjaciółce" i przepisałem sobie, żeby ci przeczytać dla kawału. Schowałem do marynarki i zapomniałem.

Dostał talerzem w głowę. Żona zagroziła pójściem do dyrekcji, do Rady Zakładowej, do Samorządu Robotniczego, do Podstawowej Organizacji Partyjnej, do Ligi Kobiet. Miotała się po mieszkaniu, wymyślając różne niegodziwe rzeczy, z których najłagodniejsze było to, że wsadzi go do więzienia. Kiedy zmożona wreszcie zasnęła, on wiercił się długo, przeklinając nieszczęsny list, który w przypływie natchnienia napisał po powrocie z Tęczynka.

Rano Rozalia podała mu śniadanie, nie szczędząc złośliwych przytyków. Jadł szybko, cierpiąc w cichości nad chamstwem żony.

— Dokąd? — spytała przewiercając go oczyma, gdy wkładał czapkę.

— Kupić łańcuch do motoru — skłamał.

Otworzyła za nim drzwi i na cały korytarz krzyknęła:

— Uważaj, żebyś zamiast do sklepu nie trafił do prokuratora...

Zgnębiony szedł do swojej dziewczyny, niepokojąc się, co jej powiedzieć. Sprawa zawikłała się fatalnie. Po Rozalii można było wszystkiego się spodziewać. Nawet tego, że spakuje manatki i zjedzie im na głowę do Zgorzelca. Pewną nadzieję pokładał w tym, co powie Lola. Choć tak zawsze milcząca, wyglądała na roztropną osóbkę, a ostatnio szczerze zdawała się interesować ich wyjazdem do Zgorzelca. Nawet wczoraj wyraziła zdanie, że chciałaby, żeby się to stało jak najprędzej.

Drzwi od przedpokoju zastał uchylone. Zapukał,

a ponieważ nikt się nie odzywał, wszedł do środka. W pokoju, wsparty plecami o ścianę, siedział na łóżku jakiś dryblas. Na jego kolanach Lola. Trzecią osobą była koleżanka Loli, cerująca pod oknem pończochę. Na widok Mariana, stojącego w drzwiach jak słup, Lola wstała, wyprostowała spódniczkę i podchodząc do Mariana rzekła spokojnie i z godnością:

— Panowie się poznają. Mój narzeczony, Rysiek Kłosek, i pan Marian Chaber, kolega.

Wszystko odbyło się bardzo grzecznie. Usiedli we trójkę przy stole. Marian kompletnie ogłupiały bąknął, że przyjechał na motorze. „Narzeczony" odpowiedział, że on ma też motor, niemiecki NSU. Od słowa do słowa i pogrążyli się w rozmowie o motorach. Lola chodziła koło stołu, stukając obcasikami, z błyszczącymi oczyma, z rumieńcem, jakiego jeszcze u niej nigdy nie widział. Co chwila spoglądała na „narzeczonego", który był takim sobie zwyczajnym bykiem, tyle że nieco wyższy, a o połowę szczuplejszy od Mariana. Czuprynę miał chyba na 30 cm. Lola podała na stół jajecznicę, którą Marian, nie chcąc zrobić jej przykrości, zjadł ze ściśniętym gardłem i spuszczonymi oczyma. Potem Lola, uwiesiwszy się u ramienia Ryśka, odprowadziła Mariana na dół.

— Gdyby pan chciał sprzedać motor, to ja kupię — oznajmił „narzeczony" oglądając z zainteresowaniem „Jawę". — Jutro do pana wstąpię, może ubijemy jakiś interes. Sześć miesięcy byłem na Zachodzie koło Zgorzelca. Coś niecoś się zarobiło. Tylko mojej Loli nudziło się przez ten czas.

— Mnie się zdaje, że panna Lola i bez pana umie się bawić — zemścił się Chaber, gdy był już na motorze, i dodał gazu.

Ostatnio Marian Chaber jest znów w jak najlepszej

formie. Złośliwi twierdzą, że przez miesiąc woził na „Jawie" swoją żonę, ale po dość nierównych szosach. Zaś od dwóch tygodni można go spotkać na motorze z utlenioną blondynką — na zmianę z rudawą brunetką. On sam kiedyś wyznał, że najchętniej jeżdżą we dwójkę z kolegą, niejakim Ryszardem Kłoskiem. Zaprzyjaźnili się i przypadli sobie do serca. Gdy jadą we dwóch, kobiety są im niepotrzebne.

1956 r.

SPIS RZECZY

Sosny na żywicę 5
Gawron 35
Idylla 48
Na stacji 87
Placówka cywilizacji 105
Ogród przy pawilonie psychiatrycznym . . . 118
Wizyta 139
Człowiek z kosza 147
Miotła 161
Najuczciwszy 171
Świecznik 180
Przeprowadzka 189
Posiadacz 197
Połamany widelec 207
Spekulant 220
Lola 230

Obwolutę projektował
ANDRZEJ RADZIEJOWSKI

„Czytelnik", Warszawa 1959. Wydanie I. Nakład 5 205 egz. Objętość: ark. wyd. 10,5; ark. druk. 15. Papier dziel. m/gł 82×104, kl. V, 70 g z fabryki w Kluczach. Oddano do składania 6.VIII.58. Podpisano do druku 3.II.59. Druk ukończono w marcu 1959. Zakł. Graf. „Tamka", W-wa. Zam. 1040/58. W-90.

Cena 12.— zł.
Printed in Poland

CZYTELNIK

Czajka (Izabela Stachowicz)
OCALIŁ MNIE KOWAL

Stanisław Dygat
POŻEGNANIA

Adam Ważyk
MITY RODZINNE

Stanisław Zieliński
STARA SZABLA

Mirosław Żuławski
OSTATNIA EUROPA

CENA 12.— ZŁ